

Andrzej Pilipiuk

Czarownik Iwanow

Data wydania oryginalnego: 2002

TMN

HIENA

Wrześnie słońce stało wysoko. Na cmentarzu panował jednak niepodzielnie cień. Stare drzewa rosły gęsto. Ich liście, choć zmieniały już kolor, trzymały się jeszcze całym mocno gałęzi. Nieliczne jedynie spadły na dół i zdobiły kopczyki ziemi znaczące miejsce wiecznego spoczynku prostych ludzi oraz pompatyczne, lastrykowe płyty, przywalające mogiły miasteczkowych notabli. Pojedyncze opadły na zarośnięte chwastami kamienne nagrobki na prawosławnej części cmentarza.

Tomasz Cieśluk i Jan Grądkowski kopali szpadlami. Na pierwszy rzut oka wyglądali na grabarzy zajętych swoją pracą, jednak nerwowe spojrzenia, którymi obficie rzucali na boki, podważały to wrażenie. Jakub Wędrowycz stał nieopodal i pogryzając w zadumie kawałek kaszanki odwinięty z zatłuszczonej płachty „Trybuny Ludu”, popatrywał to na swojego nieletniego syna, który stał na lipie przy bramie parku sztywnych, to na drogę w stronę Chełma. Wiał zimny jesienny wiatr, przenikający do szpiku kości.

Obaj kopiający chętnie łyknęliby coś na rozgrzewkę, ale Jakub zabronił. Powiedział im już dawno, że na cmentarzu potrzeba jasnego umysłu i precyzji ruchów, co zazwyczaj nie idzie w parze z alkoholem. On był szefem, on wiedział najlepiej i nie musiał tego dwa razy powtarzać.

W swoim zawodzie był artystą najwyższej klasy, co przyznawał nawet ksiądz oraz milicjanci, którzy już kilkakrotnie usiłowali nakryć go przy pracy. Gdzieś daleko ryczały sennie krowy, pędzone do obory. Szosą przetoczył się wóz na żelaznych kołach, ale drzemiący na koźle woźnica nie zwrócił na nic uwagi. Szkapa sama zakręciła w drogę na Czarnołozy. Jakub przeniósł czujne spojrzenie na pobliski plac budowy. Tam także było pusto i cicho. Dwa elewatory na zboże, waga do węgla, hale skupu pozbawione jeszcze dachu.

Popatrzył na zegarek i uśmiechnął się. Wcześniej dzisiaj skończyli. Wiadomo, w dzień po wypłacie nikomu nie chce się robić. Obrócił się w stronę miasteczka. Kryty blachą dach opuszczonej cerkwi majaczył ponad drzewami i dachami chałup.

To moja wieś. Moi ludzie — pomyślał. — Tylko ja stoję na ich straży.

Łopaty kopiających zastukały o wieko trumny. Przełknął ostatni kęs kielbasy i otarł usta gazetą. Kultura przede wszystkim. Zbliżył się do rozkopanego grobu jak tygrys do ofiary, która choć osaczona, może się jeszcze zdobyć na jakiś desperacki cios.

— A jeśli to nie on? — zapytał Tomasz niewyraźnie, bowiem trzymał w ustach gwoździe wyrwane właśnie przed chwilą obcęgami.

— Jeśli będzie pudło, to trzeba będzie odwiedzić tego grubego ruskiego kupca sprzed pierwszej wojny. Jeśli to nie ten, to chyba nie ma...

— Tylko jak go wygrzebiemy sprzed cerkwi? — zdenerwował się Jan. — To przecież prawie w środku wsi.

— Coś się wymyśli.

— A może to ten lekarz Żyd? On miał ręce upaprane we krwi po łokcie. Jak z Josifem poczęstowali tych Szwabów bimbrem, to było piętnaście ofiar...

— Z Żydów nie robią się wampiry — zaprotestował Jakub. — Wampiry robią się ze Słowian i ewentualnie Rumunów. To nie on.

— Ale nie wiadomo, gdzie on leży. Jeśli w niepoświęconej ziemi to łatwo mu wstać. A jako lekarz wie, gdzie są te wszystkie żyły i tętnice.

— Ten — szef trącił nogą trumnę — leży w poświęconej ziemi, a wstaje. A co do żył, wampir nie musi wiedzieć, od tego ma instynkt.

— Może jednak to ten Ruski? Czerwoni szczali na mury cerkwi, to przestała być święta. Może to mu ułatwiło?

— Może i tak. Ale wtedy zaczęłyby wstawać zaraz po wojnie. A ten od trzech lat grasuje.

— Ale już trzy razy robiliśmy akcje i za każdym razem się myliliśmy. Może źle szukamy? Może to ktoś z pierwszej wojny, może i nawet z austriackiego cmentarza? Tego z pierwszej wojny?

— Bliżej by mu było do Huty. A tam spokój.

— Jakub, ze Szwabów robią się wampiry?

— Nie jestem pewien, chyba tak.

— To i z Żydów powinny się robić. Dodawali krwi chrześcijańskich dzieci do macy. Tak mi opowiadała babka...

— E, to tylko bajki. Przecież to by było niekoszerne. — egzorcysta amator błysnął fachową wiedzą.

— A ja bym poszedł na dniach na kirkut i wykopał tego handlarza z rynku. Tego, co sprzedawał ryby... On wprawdzie zmarł jeszcze przed wojną — westchnął Jan, ocierając czoło rękawem.

— A jak go znajdziemy? Cholera mówiłem ludziom, żeby nie brali macew na fundamenty, a ci wszystko rozkradli. Teraz już nie dojdziemy, co Jakub?

— I tak byśmy nie doczytali się: kto i gdzie. Wszystko po hebrajsku.

— E, alfabet pewnie znaleźlibyśmy w encyklopedii, gdyby było trzeba.

— Musi ten handlarz, to na lewo od wejścia. Ten czerwony nagrobek z granitu.

— Ten czerwony był cadyka. Patrz, gdzie leży teraz — Jan machnął ręką.

W odległym końcu cmentarzyska leżał masywny granitowy nagrobek. Na płycie wyryto głęboko pięcioramienną gwiazdę oraz cytaty z Lenina.

— Co u diabła? — zdziwił się Jakub.

— To było wtedy, gdy jeździłeś do Radomia do roboty. Ten bydlak Jakubowski odwrócił płytę do góry nogami i zafundował tej swojej kacapskiej dziwce pochówek jak się patrzy i to za psie pieniądze. Bydlę — wargi Tomasza skrzywiły się, ale nie splunął.

— To ten? Może nie...

— Pewnie, że ten. Weź lewarek, podnieś i zajrzyj. Są litery po hebrajsku.

— Może to ona wstaje?

— Może. Cholera, jeśli to nie ten, to trzeba będzie wykopać.

— Jakubowski nam za to z dupy jaja powyrywa — Jan miał pewne obiekcje.

— Gównu nam robi. O niczym nie musi wiedzieć.

— Jakub, a z komuchów robią się wampiry?

— Jasne. Te najwredniejsze.

— Ale oni nie wierzą w Boga.

— Tym gorzej. No kończmy.

Podnieśli wieko. Wnętrze trumny przedstawiało sobą obraz nędzy i rozpacz. Wyściółka była poszarpana na strzępy. Ubranie, które miał na sobie zmarły, także było podarte. Zwłoki leżały dziwacznie zwinięte.

— O kurwa! Co tu się stało?

— Słodka tajemnica Marka z Truścianki. Ten bydlak sprzedawał ludzi Szwabom. Żydów, partyzantów, jak leciało. No i ktoś pogrzebał go żywcem.

— Marek Biłyj?

— Tego nie powiedziałem.

— A skąd wiesz?

— Od Ałmaza Paczenki. Zaraz po wojnie mi opowiedział. Miał prywatne porachunki z tym tu. Dowiedział się, że Marek go zabił i pochował, więc wykopał go, żeby choć w ciało wsadzić kulę. A ten jeszcze żył.

— I co Ałmaz?

— Zamknął trumnę i zakopał go ponownie. To był człowiek ze stali.

— To by się zgadzało, nie? Ten tu w męce się skończył i ma niewinną krew na rękach. To dlatego go wybrałeś?

— Jasne. No, czas brać się do roboty.

Wędrowycz rozpiął ceratową teczkę. Na pryzmie ziemi położył gazetę, tą od kiełbasy, a na nią zaczął wykladać swoje narzędzia. Drewniany młotek, osikowy kołek, żelazny gwóźdź, buteleczkę wody święconej oraz sierp. Pomocnicy cofnęli się z szacunkiem. Przeżegnawszy się, ujął sierp w spracowaną dłoń i nachyliwszy się nad ciałem, ciął z rozmachem nieboszczyka po gardle. Jan i Tomasz sprężyli się do ucieczki, ale nic się nie stało.

— Spokojnie — powiedział ich szef. Oni nie mają siły za dnia. W nocy, co innego.

— Gdybyśmy robili akcje w nocy, nie myliliśmy się tak często.

— Ale wtedy mogłyby zostać z nas kupki wylizanych gnatów. Teraz trzeba oddzielić głowę. Łopata.

— Dlaczego nie sierpem wszystko? — zapytał Tomasz, podchodząc ze szpadlem.

— Sierpem tylko gardło. — A jeśli nie ma gardła?

— Kość gnykowa zazwyczaj zostaje.

Tomasz zagryzł wargi i walnął. Zachrząściło, ale głowa nie oddzieliła się od tułowia. Szpadel zaklinował się między kręgami. Ten niewielki opór wprowadził go niemal w porażenie.

— Za słabo — uspokoił go szef. Depnij butem. Śmiało. Nie ugryzie cię.

Ten od szpadla nie był o tym w stu procentach przekonany, niemniej jednak przełamał się. Noga obuta w produkt fabryki „Syrena” wzniosła się do góry, a potem opadła na kant szpadla. Głowa potoczyła się w kąt trumny. Tomasz zrobił się zielony na twarzy i zaczął się chwiać.

— Łyknij — Jakub podał mu manierkę bimbru.

Ten człowiek potrzebował czegoś na wzmocnienie.

— Spokojnie. Przywykniesz.

Wydobył głowę z trumny, przesunął ciało w górę skrzyni, a następnie umieścił ją w nogach.

— Drut.

Jan podał mu kawałek grubego drutu i kombinerki. Jakub zebrał ręce nieboszczyka do kupy i oplatał je drutem w nadgarstkach. Zacisnął kombinerkami. Żeby drań nie sięgnął po swoją głowę. Następnie wziął gwóźdź i wbił z rozmachem w środek czaszki.

— Stary sposób — powiedział. — Ale skuteczny.

— A kołek w piersi? — Tomasz odzyskiwał stopniowo równowagę umysłową.

— Zaraz wbiję. To metoda, która przyszła ponoć z Rumunii, ale mnie nauczył jeden Ukrainiec.

Przyłożył kołek do piersi domniemanego wampira. Skóra pomiędzy żebrami była napięta. Po pierwszym uderzeniu młotka ustąpiła z odgłosem pękającego płótna. Z teczki wydobył latarkę i poświecił przez dziurę obok.

— Serce zachowało się — powiedział. Kołek siedzi w dobrym miejscu.

Tomasza zemdliło, odszedł na stronę, ale powstrzymał wymioty, nie chcąc desakrować cmentarza. Jakub pokropił swoje dzieło wodą święconą z butelki.

— Przybijajcie.

Położyli wieko i zaczęli przybijać je wyciągniętymi uprzednio gwoździami. Na zakończenie odwrócili trumnę dnem do góry i zaczęli zasypywać grób. W tym momencie nadbiegł Marek, syn Jakuba.

- Tatko!
- Co?
- Ksiądz i jeszcze dwu gliniarzy biegną drogą!
- Panowie! Chodu!

Wybiegli z cmentarza i pokonawszy chyłkiem szosę, ukryli się na placu budowy. Ksiądz dotarł na nekropolę parę minut później.

— Ja cię ukraińska świnio w więzieniu zgnoję — wydarł się duchowny pod adresem Jakuba. — Mało ci było klątwy biskupa? Ja ci się postaram o dziesięć lat odsiadki!

Oddalili się szybkim krokiem wśród krzaków, ale złorzeczenia goniły ich jeszcze przez wiele minut.

Wieczorem Jakub przemknął się do wsi i zapukał do okna swojego przyjaciela Józefa Paczenki. Kumpel otworzył okno i przyłożył palec do warg.

- Dobry.
- Dobry. Syn usnął dopiero co. Spotkajmy się w stajni.
- Przyniosłem flaszkę.
- Dobra, wezmę coś na ząb.

Po chwili obaj siedzieli w ciepłej stajni. Ustawiona na podmiecionej części klepi-ska lampa naftowa roztaczała łagodne światło. Józef nalał bimbru do szklanek i stuknęli się.

- Oby nam się.
- Zdrowia.

Wypili.

- Ognista gorzała — zauważył gospodarz. To Igora?
- Pewno.
- No to się przygotuj na zmianę dostawcy.
- Co się stało? Kocioł wybuchł?
- Zwinęli go. Za bimber i kłusownictwo.
- Kiedy?
- Dziś po południu. Kiedy ty hmmm...
- Nie dotarła do mnie jeszcze ta wieść. Opowiesz?
- Pewno. Jakiś czas temu zaszedł nasz drogi przyjaciel do stodoły i co widzi?

W jednym kącie leży locha z warchlakami.

- Dziki?

— Ano dziki. Dziewięć sztuk. Inny by wziął siekierę i miałby mięso, ale jak wiesz on ma smykałkę do wszelakich interesów.

— Mówiłem mu nie raz i nie dwa, że ten jego zmysł handlowy doprowadzi go do mamra.

— No to wykrakałeś. Pasł dziki kartoflami, żeby podrosły, pasł, aż na niego sąsiedzi donieśli.

— Cholera! Kto?

— Jeszcze nie wiem, ale się dowiem.

— Już my ich urządzimy. I co dalej?

— No cóż. Weszli gliniarze do stodoły, zobaczyli kojec z dzikami. Potem popatrzyli w drugą stronę i zobaczyli bimbrownię.

— Dużo?

— Podobno pięćset litrów zacieru.

— Rany Boskie! Pięć lat jak obszył. I jeszcze za kłusownictwo.

— Może trochę mu odpuszczą za dobre sprawowanie.

— Z tego, co go znam, raczej dołożą. Tak czy siak, wcześniej jak za trzy lata go nie zobaczymy. Uniósł szklanę do góry.

— Za naszego druha.

Wypili.

— Wiesz — zaczął Józef. — Zachodził do mnie ksiądz.

— Dzisiaj?

— Dziś. Niedawno sobie poszedł. Wiesz, co powiedział?

— Nie mam pojęcia, ale to chyba nietrudno zgadnąć.

— Powiedział: „Zrób coś Józefie i wpłyn na swojego przyjaciela, bo kroczy po bagnie. Do kościoła nie chodzi, nieboszczykom spokój narusza. Może to i nie jest zły człowiek, ale błędzi”.

— Byłem chrzczony w cerkwi i tam brałem ślub! Słuchaj, ty wierzysz w te wampiry, z którymi ja walczę?

— Tak szczerze?

— Szczerze.

— Jeśli mam nie skłamać, to nie do końca. Pluskwy pogryzą dzieciaka, prześciera-
dło we krwi, a matka krzyczy o wampirach. Przecież nie pochwali się, że ma robactwo w mieszkaniu.

— Zobacz to — Jakub podciągnął rękaw koszuli. W czterdziestym pierwszym cią-
łem z Aleksandrem Pilipiukiem drzewo w jego lesie. Noc była ciepła, przysnęliśmy na
mchu. A rano...

Józef patrzył na obnażone ramię przyjaciela, na którym widniały dwie zagojone
dawno blizny. Jak od zębów wampira. Jak od kłów węża.

— Może żmija? — zasugerował.

— A widziałeś kiedyś węża, nawet nie żmiję, jakiegokolwiek węża w naszym lesie?

— Nie. Nigdy.

— Ja także nie. Ani Hawraj nie widział, ani Farfos, ani Kuraszko, ani Miącz, ani Sapięga, ani...

— A wampira ktoś widział?

— Wampirów nie, ale duchy to i owszem.

— Ba! Każdy wie, gdzie straszy. Na drodze koło szubienicy; próbowałeś kiedyś przejechać tamtędy wozem albo konno w południe, albo o zmroku?

— Tak, mój dziadek próbował, mój ojciec, ja. Konie zawsze się płoszą. Boją się. Lękają się czegoś, czego my nie widzimy.

— Mój ojciec też próbował. I ja, to przeklęte miejsce.

— Może trzeba by postawić kapliczkę tam na górze?

A może w samym wąwozie — zastanawiał się egzorcysta.

— Nie wiem. Tam czai się jakieś zło. A łąki koło Mamczynej Góry? Facet z laską w meloniku dwa lata temu pobił tego z Tróścianki. Jak on się nazywał...?

— Ze Starego Majdanu. Florek. Nie! To Miształ oberwał.

— Racja — Jakub dolał sobie do szklanki.

Milczeli przez chwilę, pijąc i zakąszając. Klacz Józefa, Karolina patrzyła na nich ciemnymi inteligentnymi oczyma.

— Józef.

— Tak?

— Widzisz...

— Masz do mnie jakąś sprawę. Wiedziałem o tym, gdy tylko cię zobaczyłem. Mów kumplu.

— Nie chciałem o tym mówić, to dość przykre, ale wampiry powstają zazwyczaj z niepoświęconej ziemi. Paczenko rozejrzał się na boki.

— Czy ty robisz aluzje do mojego ogrodu? — zapytał.

— Wiesz jak to się mówi po wsi. Podobno masz tam złych ludzi pod kwiatkami.

— Są tam zakopani. Poświęć ogród i po problemie.

— To za mało. Z wampirami należy mieć całkowitą pewność. A myślę, że ty wiesz, ilu i gdzie.

— Pamiętam.

— Nie chcę cię naciskać, ale to dość prawdopodobne, że któryś z nich albo i oni wszyscy.

— Wszyscy? To już by nie było tej wsi!

— Ilu?

— Jeden Volksdeustch, dwaj gestapowcy, czterej bolszewicy. A i jeszcze jeden milicjant.

— Słuchaj, a aktyw gminny?

— Jaki aktyw?

— Ci, co ich Ruscy osadzili w 45- tym.

— O nich nic nie wiem. Zresztą, twój ojciec też ich strzelał. Nie pochwalił się?

— Nie zdążył. Ja wiem tylko, że gdzieś pod lasem. W piaskach.

— Może to nawet oni. — Józef ugryzł się w język. — To znaczy chciałem powiedzieć, że z nich mogłoby się zrobić coś takiego. A tak swoją drogą, to opracuj sobie naukową metodę szukania.

— Ba, ale jak? Całą swoją wiedzę czerpię z książki o wampirach jednego Ruskiego. Książka jest przedwojenna.

— Tak, teraz się takich nie drukuje.

— Ale jej bohater nie musiał szukać, wszyscy wiedzieli, że to hrabia Drakula. No cóż, pora na mnie. Już się zrobiło ciemno.

— A uważaj na siebie, gdy będziesz mijał szubienicę. Na gliniarzy też uważaj.

— Pójdę koło kirkutu. Zawsze byłem w zgodzie ze starotestamentowymi. Nie pogryzą mnie.

Pożegnali się i Jakuba Wędrowycza pochłonął mrok.

Dwa dni później

Dziecko płakało. Jakub Wędrowycz w skupieniu badał łóżeczko. Na kołdrze i prześcieradle widniało kilkanaście krwawych plamek. Zdjął materac i odłożył go na bok. Wydobyty z kieszeni szczyrykiem dłuwał bez specjalnego przekonania w spojeniach mebla. Nie wydłuwał nic szczególnego.

— Żadnych pluskiew — stwierdził Jan patrzący mu przez ramię.

Tomasz wygarnął spod łóżka jakieś gałgany i kilka bobków.

Jakub oglądał je przez chwilę w skupieniu, potem przeniósł wzrok na niemowlę. Niewielka rana na dłoni i kilka zadrapań — oto co pozostawiło to coś grasujące w nocy.

— Szczur — zawyrokował wreszcie ponuro.

Obaj jego asystenci skinęli głowami dla potwierdzenia diagnozy.

— Bałwany! Tylko udajecie, że coś wiecie! W moim domu nigdy nie było szczurów. To wampiry. Lęgną się na tym zdevastowanym żydowskim cmentarzu. Mało się naszej krwi za życia nażłopali, jeszcze i teraz próbują.

— Marto! Nie wierzysz mojemu doświadczeniu, to jedź z dzieckiem do doktora. A na noc wsadź kota do łóżka.

— Co wy tam wiecie. Złe dzieciaka pokąsało. Wampir.

— To szczurze bobki — Tomasz wyciągnął w jej stronę otwartą dłoń.

— A tak wyglądają ukąszenia wampira — Jakub podciągnął rękaw koszuli, odsłaniając bliznę.

To zawsze robiło wrażenie. Kobieta zbladła i przeżegnała się zamasyście. Wyszli.

— W takie chwile człowiek żałuje, że nie jest ateistą — powiedział pogromca nieczystych sił i splunął przez lewe ramię, żeby nie zauroczyć.

— A może to z Bończy przyłażą? — zastanawiał się Jan. Tak sobie myślę.

— E, za daleko. Zresztą, ci z Bończy nic do nas nie mieli. Może hrabia Poletyflo... Zabił człowieka krzesłem.

— Mówią, że to jego syn straszy na łąkach. Ten, co się wściekł.

— Ten nienormalny, co to pojechał do Berlina pod podwoziem pociągu? Ja jeszcze nic na łąkach nie spotkałem, zresztą ten biedak nie miał specjalnie możliwości narozrabiać.

— A ja bym się wybrał którejś nocy. Oczywiście z pistoletem nabitym srebrną kulą.

— Dokąd teraz? — Tomasz wgramolił się na furmankę.

— Na Uchańską. Podobny przypadek.

W domu na Uchańskiej dziecko było większe, może czteroletnie. Krew znaczyła prześcieradło jedną, dużą plamą. Śmierdziało upiornie.

— Wampir? — zapytała matka dzieciaka.

W jej głosie wyczuć można było żądzę sensacji. Jakub wciągnął powietrze nosem i pokręcił przecząco głową.

— Dezyderia. Krwawa biegunka. Czyś ty Karolino nie nakarmiła dzieciaka zepsutym mięsem?

— Czego zaraz zepsutym? Cielak się nieżywy urodził. Miałam wywalić tyle żarcia? Mój stary zjadł i nic mu nie jest. Wędrowycz złapał się za głowę.

— Czy ty babo rozum postradała? Trzeba go do Chełma do szpitala. Natychmiast. Weź wóz, albo może zapytaj, czy nie dadzą w gminie samochodu.

— E, może samo przejdzie. Wczoraj wymiotował, a dzisiaj już jak gdyby idzie ku lepszemu.

— Gdy siedziałem w obozie w czasie wojny, to więcej ludzi od tego zmarło, niż od Szwabów — wtrącił się Jan. Zawieź dziecko do szpitala, bo jutro ci na rękach umrze. Cholera, ośrodek zdrowia sto metrów stąd, a tu taka ciemnota!

Uwierzyła. Rozeszli się. Koło poczty dogonił Jakuba posterunkowy Birski.

— Dzień dobry, obywatelu Wędrowycz. Dokąd to podążacie?

— Szacunek, panie posterunkowy. Do Józefa Paczenki.

— Wobec tego pójdziemy kawałek razem. Ja też idę w tamtą stronę.

— Cóż skłania was do szukania towarzystwa tak plugawego degenerata jak ja?

— Ksiądz znowu złożył skargę.

— A fe. Duchowny, a kapuś.

— To poważna sprawa. Zapewne wiecie, że zarówno profanowanie mogił, jak też okradanie nieboszczyków, to przestępstwo? Jest na to odpowiedni paragraf.

— Ksiądz zeznał, że jestem hieną cmentarną?

— Coś w tym guście.

— Jeśli go spotkacie, to przekażcie mu, że rzucanie fałszywych oskarżeń na bliźnich zostało zakazane przez ósme przykazanie Dekalogu.

— Przydałoby się was przymknąć.

— A corpus delieti?

— Że co?

— Dowody winy. Żeby mnie zapudłować, musicie mi udowodnić, że to ja rozkopuję groby.

— To da się udowodnić w toku śledztwa poszlakowego. Zresztą, wcześniej czy później, i tak dorwiemy cię na gorącym uczynku.

Odszedł bez pożegnania. Józef akurat rąbał drwa w szopie.

— Dobry.

— Dobry. Co cię sprowadza?

— O mam kilka spraw.

— A jak ranny obchód miasta?

— Wzywały mnie dwie kobiety. Jedna do dzieciaka pogryzionego przez szczury, druga do dzieciaka z krwawą biegunką. Wyobraź sobie, nakarmiła go zdechłym ciałkiem.

— Borkowa?

— Skąd wiesz?

— Tylko ona jest do tego stopnia skąpa.

— Tak więc z egzorcysty amatora staję się inspektorem sanitarnym.

— Zrób uprawnienia i ciężką forszę zarobisz.

— E, za stary już jestem.

— A wiesz, że stara Skorlińska widziała w nocy Jakubowską?

— Słyszałem. Zamiarowałem wdepnąć do nich.

— Ponoć szła w białej sukni. Z wiankiem na głowie. I świeciła lekko w ciemności.

— Nie ona jedna to widziała. Podobno już z dziesięć osób, tyle tylko, że nie wiadomo dokładnie kto. Poza dwoma pijaczkami. Tyle, że ja pijakom nie wierzę. Ja jak się upiję, to widuję diabły, anioły, a raz nawet kawałek mahometańskiego raję.

— Może ją wykopiesz i przypalujesz? Tak na wszelki wypadek?

— Nie da rady. Będę musiał przerwać na jakiś czas działalność. Gliny niuchają, ksiądz pisuje donosy i grzmi z ambony. Jakubowski zarznąłby mnie tępym nożem i pozszywał drewnianymi igłami. A tak na marginesie, to gdzie szła?

— Wyobraź sobie, że do Ihorszczuka.

— Niemożliwe. Ten facet był jedynym, do którego nic nie miała.

— Ale ludzie gadają, że jego córka była w ciąży z Jakubowskim, ale spędziła.

— E, ludzie każdego obsmarują. A z Ihorszczuków zbyt porządni ludzie, żeby wierzyć w te plotki.

— Może i tak.

— No nic. Czas na mnie. Wpadnę na dniach.

— No to do zobaczenia.

Ruszył dalej. Aleksander stał, opierając się o płot swojego ogrodu. Przywitali się. Aleksander poczęstował gościa skrętem machorki.

— Mam do pana sprawę — zagaił.

— Słyszałem, że pańska matka widziała...

— E, to nieistotne. Ona zawsze coś zobaczy. A to olbrzyma utkanego z ciemności, a to wilka. Pozwoli pan do obory.

Weszli. W oborze stała krowa, jałówka w kojcu oraz piękny kary koń.

— Nu, Kary nastąp się.

Koń odwrócił się, ukazując bok.

— Patrz pan.

Zwierzę miało dwie kłute ranki, od których ciągnęły się sople zakrzepniętej krwi. Zwierzę zarżało cicho.

— O mój Boże — wyszeptał Jakub.

Ze swojej ceratowej teczki wydobyl calówkę i zmierzył odstęp pomiędzy nimi, a potem porównał ze swoją blizną. Zasepił się.

— I co pan powie?

— Chyba to samo.

— Wampir?

— Trudno powiedzieć — podszedł do ściany i zaczął ją badać do takiej wysokości, do której mógł dosięgnąć koń. Wodził ręką po deskach i po spojeniach.

— Czego pan szuka?

— Jakiegoś kolca, zęba od wideł tkwiącego w ścianie, czegoś o co mógł się skaleczyć.

— Ajajaj, czołowy pogromca wampirów szuka przyczyn naturalnych?

— Pan nie wierzy w wampiry. Pan jest człowiekiem wykształconym. Ja wierzę w duchy, ale szukam innych przyczyn.

— I jak?

— I nie znajduję.

Zasepili się obydwaj. Jeden myślał o swoim biednym koniu, drugi o pewnym rosyjskim kupcu pogrzebanym koło cerkwi Eliasza Proroka.

Trzy dni później

Było jeszcze zupełnie ciemno. Padał rześisty deszcz. Trzej, ubrani w pałatki mężczyźni, kopali przy ścianie cerkwi już trzecią dziurę z rzędu.

— Jasna cholera — rozległ się jęk Tomasza.

— Co się stało?

— Patrzcie tam.

Wyciągnął rękę. Koło mleczarni przesuwała się powoli postać ubrana w długą, białą suknię. Postać świeciła wyraźnie w ciemności mglistym, nierzeczywistym światłem.

— Jakubowska — szepnął Jakub. — Tylko ona nosiła taką fryzurę. Znowu ciągnie cholere między ludzi. Ech, gdybym miał pistolet i srebrną kulę...

Widmo przesunęło się w stronę parku. Było teraz bliżej i patrzyło w ich stronę, choć na tle muru byli prawie niewidoczni. Jan, mamrocząc coś gorączkowo, ściągnął brezent z przenośnej klatki. W klatce siedział jego kogut. Zaczął drażnić koguta, wpychając do środka kawałek kija. Ten jednak zamiast pisać, gdakał jak kura. Duch stał i patrzył, a potem zaczął się oddalać.

— Zostaw to ptaszędło, poszła sobie.

— Lepiej niech zapieje. Będzie bezpieczniej.

Ptak w końcu dał się uprosić i zapiał donośnie. Co gorsza, nie chciał przestać.

— Zatkaj mu dziób do cholery, bo wszystkich pobudzi!

— Au! On dziobie!

— Płoszyć duchy ci się zachciało. Sama poszła.

Wreszcie radosne pienia ucichły. Wrócili do pracy. Minęło jeszcze kilkanaście minut i łopaty zabręczały o wieko metalowej trumny. Kopiając pospiesznie, odsłonili ją w całości. Była trochę zaśniedziała.

— Dlaczego metalowa? — zdziwił się Tomasz.

— Bo umarł na trąd. Takich grzebano w metalowych.

— Nie zarazimy się?

— Minęło 150 lat. Zresztą, mam rękawice.

— Tu jest zalutowane.

— Widzę. Myślisz, że po co kazałem Janowi wziąć palnik?

Rozlutowanie złączenia zajęło im kilkanaście minut.

— Tak to on.

Zmarły leżał w trumnie w pięknym sobolowym futrze, które kapinkę się zdefasonowało. Z ciała został sam szkielet.

— O kurczę — jęknął Tomasz, świecąc latarką.

— Co?

— Jego zęby!

Zęby kupca lśniły matową, żółtą barwą. Wszystkie, cały komplet wykonane były z dwudziestoczyterokaratowego złota.

— Ucz się — powiedział surowo Jakub. — Nieboszczyk, nawet wampir rzecz święta. Nasz zawód naraża na pokusy, ale nie jesteśmy hienami.

— Ale to jest z ćwierć kilo.

— Jak nie możesz na to patrzeć, to nikt ci nie każe. Uwinęli się gładko. Łopata drut, kołek, głowa w nogach. Zalutowali, zasypali udeptali. Zniknęli w mrocznej kurzawie. Deszcz zatarł ślady kopania. Dobro należy czynić w milczeniu.

Koło południa dnia tego

Jakub nalewał właśnie karmy z wiadra dla swoich trzech świnek, gdy rozległo się pukanie do drzwi chlewika. Odwrócił się zaskoczony. Na jego podwórku stała wysłużona czarna wołga, a do drzwi pukał sam Jakubowski.

— Dzień dobry — cicho powiedział gminny sekretarz partii.

— Dobry. Cóż was sprowadza towarzyszu sekretarzu do meliny ciemnogrodu i reakcji?

— Mam do was poufną sprawę.

Wyjął z kieszeni kopertę i usiłował niezdarnie wcisnąć ją w ręce Wędrowyczowi. Ten ostatni wziął ją w końcu i ciekawie zajrzał do środka. Wewnątrz tkwiły dwa tysiące złotych.

— To chyba rzeczywiście bardzo poufna sprawa — stwierdził. — A konkretnie?

— Pan słyszał o mojej zmarłej żonie?

— Dużo.

— Od trzech tygodni przychodzi i puka do mojego okna.

Egzorcysta amator oddał mu kopertę.

— Nie zajmuję się zabobonami. Niech pan idzie z tą sprawą do księdza albo napisze do KC z prośbą o instrukcje.

— Jeśli pieniędzy jest za mało, to proszę podać cenę. Pogadam też z posterunkowym, żeby dali spokój swoim podejrzeniom.

— A co konkretnie miałbym zrobić?

— Osikowy kołek, czy jakoś tak.

— Już mówiłem, że się tym nie zajmuję. Zresztą, ateści nie wstają z grobów.

— Dobrze panu mówić. Niech pan się zgodzi. Przyszedłem do pana, bo tylko pan to potrafi.

— A jeśli mi się nie uda?

— Panu? Legendy krążą o pańskim kunszcie! Słyszałem od znajomego z Dubienki, a i z Uchań przyszły wieści.

- Jutro o pierwszej. Niech nikt mi nie przeszkadza.
- Obstawię cmentarz milicją. Nikt nawet nie podejdzie.
- Nie chcę żadnych mundurowych w zasięgu wzroku. Może niech zaproszą na posterunek księdza i przesłuchają go. A pana poproszę, aby nam towarzyszył.
- Czy to konieczne?
- Tak. Na własne oczy zobaczy pan, że wszystko zostanie wykonane bez fuszerki.

Następnego dnia

Czterej mężczyźni zebrali się na cmentarzu. Dwaj kopali, trzeci pogryzał kaszanke. Ten czwarty siedział na odwalonej płycie nagrobkowej i nerwowo obgryzał paznokcie. Dostał szklankę bimbrowa, ale to mu specjalnie nie pomogło. Niebawem ukazała się trumna. Odkręcali śruby dwoma śrubokrętami jednocześnie. Jakub rozłożył na gazecie narzędzia. Jak chirurg przed operacją. Gminny sekretarz milczał. Milczał, gdy odcinali głowę szpadlem. Milczał, gdy przebijali czaszkę gwoździem. Jednak, gdy pętali ręce drutem, nie wytrzymał.

— Czy to naprawdę niezbędne? — jęknął.

— Niestety tak.

Na zakończenie złamali zmarłej obie kości udowe, aby całkowicie uniemożliwić jej wyłożenie z grobu. Czysta, dokładna, fachowa robota.

— To wszystko? — zapytał, gdy zakopywali wywróconą do góry nogami trumnę.

— Tak. Teraz będzie spokój.

Otarł czoło z potu i wydobył z kieszeni trzy koperty.

— Premia uznaniowa — powiedział.

Trochę się wykręcali, ale w końcu wzięli. W kopertach było po tysiąc złotych. Przez następne dni było gorzej niż źle. Zmarła, nic sobie najwidoczniej nie robiąc ze skomplikowanych zabiegów, jakim poddano jej ciało, paradowała po wsi. Widziało ją kilkanaście osób, jednego ze świadków trzeba było hospitalizować, bo dostał zawału na jej widok. Zeznania były sprzeczne. Wedle jednych niosła odciętą głowę w związanych drutem rękach. Inni dopatrzyli się, że nogi zginają jej się w niewłaściwych miejscach. Byli i tacy, którzy widzieli osikowy kołek sterczący jej z piersi. Ksiądz zabarykadował się na plebani i udawał chorego. Mieszkańcy udali się więc, po pomoc na komendę.

Milicja wyśmiała ich, ale co dziwne, dzielni obrońcy prawa nabrali zwyczaju barykadowania na noc drzwi posterunku ciężką szafą z aktami.

Pewnego wieczoru Józef i Jakub zasiedli w stodole tego pierwszego. Mieli swoje tajemnice. W starej, glinianej doniczce leżała srebrna przedwojenna dziesięciozłotówka

z Piłsudskim. Obok znajdowała się forma do lania kul pamiętająca powstanie styczniowe. Józef zapalił palnik acetylenowy i skierował jego płomień na doniczkę. Najpierw rysunek lekko się zamazał, potem moneta zamieniła się w kroplę metalu. Jakub złapał obcęgami doniczkę. Józef ujął w rękę formę. Kropla stoczyła się. Zanurzył formę w słoiku z wodą. Zaśpiewała para. Wytarł kulę chusteczką i podał przyjacielowi.

— No to z Bożą pomocą.

Wyciągnął z kupy siana strzelbę skałkową i spokojnymi wprawnymi ruchami zaczął ją nabijać.

— Wystrzeli ten rupieć?

— W zeszłym roku strzelałem.

— Może lepiej byłoby, gdybym przyniósł karabin...

— O tak. Wiem, że masz zakopaną broń, ale nie dorobię kuli karabinowej. Zresztą pomyśl, co by się stało, gdyby złapali cię z karabinem. Tak masz prawie czyste ręce. Broń powstała przed 1880-tym rokiem. Martwi mnie tylko, że jest jednostrzałowa. Jeśli spudłujesz, to rozszarpie cię na strzępy.

— Może nie będzie aż tak źle. Mam jeszcze srebrny nożyk. Pchnę ją w serce.

Było dobrze po dziesiątej, gdy zasadził się w krzakach koło domu sekretarza. Mijały minuty. Koło dwunastej, gdy już prawie tracił nadzieję, na ulicy pojawił się biały zarys ludzkiej sylwetki. Podsypał świeżego prochu i poprawił krzemień. Postać zbliżyła się. Nie miał wątpliwości. Chód i fryzura były nie do pomylenia. Wycelował i wystrzelił. Postać upadła na ziemię. Z chałup wybiegli ludzie. Ktoś pochylił się nad ciałem.

— Ludzie, to nie Jakubowska, tylko młoda Grzesiuczka! Przebrała się i straszyla...

Pod Jakubem rozstąpiła się ziemia, a może to ugięły mu się kolana.

— Doktora, prędko, jeszcze dycha! — usłyszał.

Była więc jakaś nadzieja. W tym momencie ciężka ręka opadła mu na ramię.

— Jakubie Wędrowycz. Jesteście aresztowani w imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej za usiłowanie zabójstwa z premedytacją, posiadanie niezarejestrowanej broni palnej i profanację grobów.

Obejrzał się z nadzieją na oświetlone okna domu. Zobaczył stół, stojące na nim dwie butelki wódki oraz wiszące dwadzieścia centymetrów nad nim nogi gminnego sekretarza. Wzrok jego podążył ku górze i zatrzymał się na masywnym haku, wbitym w sufit, o który zaczepiony był stryczek. Z tej strony nie mógł się już spodziewać żadnej pomocy.

Skazano go na cztery lata, ale dodano mu jeszcze dwa za złe sprawowanie. Wyrok odsiadywał w jednej celi z Igorem z Tróścianki, który też dostał sześć lat. Trzy za bimber i kłusownictwo, a dalsze trzy za obrazę sądu i pogróżki pod adresem tej instytucji. Dwa dni po aresztowaniu Jakuba, na łące koło zamczyska, zaktywizował się duch w meloniku z laseczką i tak obił jednego pijaczka, że ten poprzysiągł nigdy więcej nie brać do ust alkoholu i wytrzymał prawie pół roku.

CZAROWNIK IWANOW

Rozdział 1

Był koniec marca. Zima odchodziła w niebyt. Nocami jednak potrafiła jeszcze kąsać nielichym mrozem. Tak było i tego dnia, w którym zaczyna się nasza opowieść. Uliczki Wojsławic, niedawno powleczone cienką warstwą asfaltu, pokrywał pancierz zaskorupałego lodu podtopionego lekko na wierzchu. Ponieważ była to środa, zablokowane były jednolitą masą ludzi i wozów zdążających na cotygodniowy targ. W powietrzu unosiła się zdrowa mieszanina rozmaitych targowych woni. Końskie pączki i krowie placki parowały, wydzielając ostry zapach. Częściowo zagłuszał go unoszący się, niczym mgły nad norweskim fiordem, dym z papierosów najpośledniejszego gatunku.

Pośrodku targowiska pewien pomysłowy mieszkaniec Kukawki zaimprovizował koksownik na bazie starego kubła na śmieci i dużej ilości starych szmat. Było już dobrze po jedenastej, gdy na targ nadjechali na swoich klaczkach dwaj starszycy. Ludzie na ich widok skrzywili się, ale nie przerwali swoich zajęć, polegających na wciskaniu rozmaitych ciemnot potencjalnym nabywcom i targów nad każdą z osobną wadą oferowanego towaru. Pierwszy starzec nazywał się Semen Korczaszko. Wiedziano o nim zaskakująco niewiele. Nikt nie był w stanie powiedzieć, ile ma lat, pamiętano jednak, że swojego czasu opowiadał w gospodzie swoje przygody z wojny mandżurskiej. Liczył zapewne koło setki. Miał kilku synów, z których większość poległa w czasie kolejnych wojen oraz w niechlubnym okresie utrwalania władzy ludowej. Posiadał także sporą ilość wnuków, którzy mieszkali w różnych częściach kraju i od czasu do czasu wpadali w odwiedzin. Z reguły wówczas robili rozmaite kuku wszystkim, którzy w ostatnim czasie stanęli dziadkowi na drodze, więc ludzie w miarę możliwości starli się mu nie bruździć.

Semen Korczaszko ubierał się wyjątkowo jednostajnie w mundur carskiej Lejbgwardii z krzyżem św. Jerzego na piersi. Miał zresztą kilka mundurów na zmianę. Na głowie nosił niezależnie od pory roku karakułową papachę ozdobioną piórem jakiegoś egzotycznego ptaszydła. Papacha miała na czole dziurę postrzałową i niewielki rdzawo-brązowy zaciek. Ponoć była trofejna, choć nikt nie umiał powiedzieć w czasie, której wojny została zdobyta. Ani na kim. Krążyły na ten temat rozliczne mętne opowieści.

Drugi mężczyzna nazywał się Jakub Wędrowycz. Człowiek ten cieszył się wyjątkowo ponurą sławą. Mieszkańcy wyzywali go od ukraińskich świń, żydowskich pociotków, morderców i podpalaczy. Właściwie to nawet nie miał wielu wrogów. Większość tych, którzy mu kiedykolwiek bruździli, leżała w rozmaitych punktach okolicy, wącuchając kwiatki od spodu. Ci, którzy pozostali przy życiu, ograniczali się do napaści słownych. Milicja miała o nim jednoznacznie negatywną opinię. Uważano go powszechnie za bimbrownika, kłusownika i hienę cmentarną. O ile pierwsze dwa zarzuty były nieodparcie słuszne, o tyle ostatni brał się z nieświadomości organów ścigania.

Jakub Wędrowycz nigdy nie okradał zmarłych. Jeśli rozkopywał jakieś groby, to jedynie w tym szlachetnym zamiarze, żeby wbijać zmarłym osikowe kołki w serca, aby nie mogli latać po nocy i wysysać z ludzi krwi. Był takim sobie wioskowym egzorcystą amatorem. Podchodził do zjawisk nadprzyrodzonych na zdrowy chłopski rozum i zazwyczaj osiągał niezłe efekty. W środowiskach radiestetów, wywoływaczy duchów i tym podobnych indywiduów cieszył się dość szeroką i całkowicie zasłużoną sławą. On także ubierał się dość jednostajnie, nosząc na zmianę zeszmaconą jeansową kurtkę, którą otrzymał kiedyś w prezencie od syna lub wypłowiałą kurtkę mundurową SS. Kurtka ponoć, podobnie jak papacha Semena, była zdobyczna. Biorąc po uwagę mętny wojenny życiorys Jakuba, była to teoria niezwykle prawdopodobna.

Obaj jeźdźcy zeskoczyli z koni i prowadzili je teraz za sobą, przeciskając się powoli przez gęsty tłum. Koń Semena był niezwykle zadbany. Była to młoda klaczka jasnokasztanowej maści o imieniu Karolina. Złośliwie mówiono, że traktuje ją jak córkę, szcztokuje codziennie i zaplata jej ogon w warkocz. Jej ogon faktycznie był tak zapleciony. W grzywę miała wplecione wstążki.

W porównaniu z nią klacz Jakuba, Marika wyglądała jak zużyta szcztoka klozetowa. Sierść układała jej się w różne strony, poznaczona była jaśniejszymi plamami. Marny jej wygląd nie był winą właściciela. Był jego zasługą. Gdy się poznali, dogorywająca na świerzb i grzybicę strzygącą, szkapa oferowana była za darmo rzeźni sanitarnej celem przerobienia na klej stolarski. Jakub odkupił ją od właściciela za dwie paczki papierosów „Sport” i przez następne pół roku razem z Semenem i starym Józefem Paczenką leczyli ją sobie tylko znanymi metodami pozostawionymi im w spadku przez kozackich przodków. Ponoć zasadniczą tajemnicą ostatecznego sukcesu było wielokrotne nacieranie wysokoprocentowym samogonem produkcji niejakiego Marka z Tróścianki. Był to produkt tak zabójczy, że choroba w końcu musiała się poddać, nie wiadomo tylko, jakim cudem koń przeżył. A siodła mieli całkiem zwyczajne.

Obaj mężczyźni przepchnęli się na koniec targu, gdzie przy wozach z prosiętami było już nieco luźniej. Tu właśnie, koło sklepu, dogonił ich sprzedawca biletów.

- Panowie nie wykupili biletów.
- Haw? — wyraził zdziwienie Semen.

Gdy nie chciał być zbyt dobrze rozumianym, posługiwał się własną osobliwą mową na bazie ukraińskiego, zawierającą ponadto słowa z licznych innych języków oraz takie przez siebie samego wymyślone.

— Wy chcecie sprzedać te konie?

Sprzedawca był we wsi nowy i nie znał wszystkich mieszkańców oraz ich bzików.

— Pradat Karolinu? Ty surna saszoł!

— A, kto by to kupił — Jakub wzruszył ramionami. Ty lepiej idź w swoje miejsce, bo mój drug dzisiaj nie w humorze, jeszcze zęby wybije za takie podejrzenia.

Sprzedawca parsknął śmiechem.

— Ech wy dziadki. Maść na reumatyzm, a nie zęby wybijać.

Semen uśmiechnął się z pogardą, a potem rozejrzał. Obok sklepu leżała duża ilość stalowych elementów, druty, pręty i płaskowniki. Podszedł do stosu i wyciągnął zeń metrowy kawałek pręta zbrojeniowego o średnicy mniej więcej półtora centymetra. Uniósł go nad głowę i złapawszy dłońmi za oba jego końce, zaczął giąć go z całej siły. Mięśnie napięły się pod mundurem. Mięśnie, których na zdrowy rozum od trzydziestu lat nie powinno być. Na skroniach pojawił mu się pot. Nieskończenie powoli pręt wygiął się w łuk. Ręce starca parły dalej aż wreszcie oba końce połączyły się.

— Idź w pole szukać rezerw paszowych albo pasać gęsi — poradził życzliwie sprzedawcy, po czym odwrócił się, uznając rozmowę za zakończoną. Ośmieszony podniósł z ziemi wygięty pręt i spróbował go rozprostować. Nie dał rady, mimo, że ciągnął z całej siły. Jakub wszedł do sklepu.

— Dobry.

— Dobry. Czego trza?

— Macie drut żelazny o średnicy jednego milimetra? Potrzebuję pięciu kilo.

— Nie mamy drutu — odpowiedział agent, zezując w kąt, gdzie drut takowy leżał.

— Czego mówisz, że nie macie, jak stąd widzę, że leży?

— Posterunkowy zakazał wam sprzedawać. Profilaktyka przestępcza. Żeby utrudnić kłusownictwo.

— Linka hamulcowa tylna do roweru?

— Nie mamy.

— Srali muchy, będzie wiosna!

— Przecież pan nie ma roweru. To też do sideł.

— Do wnyków idio... Nieważne. Drut miedziany izolowany cienki dwadzieścia metrów.

— Do głuszenia ryb? Staw jest własnością straży pożarnej...

Dłoń Jakuba wystrzeliła niespodziewanie i wyszarpnął spod lady kartkę, która spoczywała agentowi na kolanach. Był to długi spis przedmiotów, których nie należało mu sprzedawać.

- Po kiego licha mam nie kupować dętek rowerowych — zdenerwował się.
- Zapewne zrobiłby pan z nich procę do polowań na przepiórki.
- Przekaż posterunkowemu, że jest idiotą. A ten interes to spalę ci kiedyś nad głową.

Proszek do prania „Cypisek”?

- Tylko na kartki.

Jakub wyszedł. Po chwili do środka wszedł Semen.

- Dostanę może u pana drut żelazny, tak z pięć kilo? — zapytał.

Ajent przeskoczył przez ladę i wyszedł przed sklep, gdzie stał, trzymając oba konie Jakub.

- Bardzo śmieszne — powiedział.

— Dlaczego śmieszne? — udał zdziwienie egzorcysta. — Pilnuję konia znajomemu. Semen wyszedł ze sklepu z kawałem łańcucha krowiaka w ręce.

- A to, mogę kupić? — zapytał. Agent wyrwał mu łańcuch z ręki. — Nie!

- Dlaczego?

- Bo wy tego łańcucha użyjecie w celach przestępczych!

Obaj przyjaciele wzruszyli ramionami i zniknęli w tłumie. Niebawem odnaleźli się w tym końcu placu, gdzie czasami sprzedawano konie. Spóźnili się. Jedyne sprzedawane tego dnia ogier właśnie ładowany był na przyczepę. Nie podobało mu się to. Tupął wszystkimi czterema kopytami w podłogę. Ponadto parskał i kładł uszy po sobie. Semen podszedł bliżej i przypatrywał mu się przez kilka minut zatroskany. Jakub też podszedł. Ale nie zdążył przyjrzeć się uważnie, bo traktor ruszył przez tłum i koń odjechał.

- Coś nie tak — zauważył Semen.

- Nerwowy coś.

- Też byś był nerwowy, gdyby cię sprzedawali.

- Nie, on był zbyt nerwowy. Poza tym widziałeś, jaką miał inteligencję w oczach?

- Tak. Wiedział, kto go kupił.

- Może warto było zrobić jakiś niewielki egzorcyzm? Miał diabła w oczach.

— Jakub, ty egzorcyzmuj swój rozum, bo jak kto spędza całe noce na cmentarzu, to potem się króliki w mózgu lęgną.

- Zakład o pół litra, że będą jeszcze z tego konia nieliczne problemy.

- Ja też widzę, że będą. I nawet ci powiem, dlaczego. Wiesz ty, kto go kupił?

- Nie, nie miałem czasu się przyjrzeć.

- Marcin Bardak. Ten wieprzek z Witoldowa.

- Job twoju! Ten, co na dniach miał proces, bo zatłukł swojego konia siekierą?

— Ano. Jak pomyślę, że w wojnę miałem jego oca na muszce i pozwoliłem mu żyć i rozmnażać się dalej, to mnie cholera bierze.

- Szkoda szkapy dla takiej świni.

- A szkoda.

— Swoją drogą, co za bałwan go sprzedał?

— Lenge ze z Majdanu Leśniowieckiego. Emigruje do Niemiec zachodnich. Ostatni Szwab w okolicy. Też się długo uchował.

— Wydawało mi się, że Młot wybił całą rodzinę.

— Nie, oszczędził dzieci. Teraz widać, że chyba głupio zrobił.

Przez tłum przepchnął się niski, gruby jak beczka, facet w berecie na głowie.

— Jakub, wszędzie cię szukałem.

— Tomasz Cieśluk. Kopę lat. Cóż cię sprowadza.

— Jakub, było dzisiejszej nocy pogryzienie.

Semen skrzywił się jakby zjadł cytrynę.

— A wy wciąż o wampirach.

— Gdzie?

— Na Zarowiu. Koło austriackiego cmentarza. Coś dopadło w nocy jałówkę. Prośli, żebyś wpadł.

— Austriacki cmentarz...

— Głupoty — skwitował Semen. — Jak byłem młody, no młodszy niż teraz, to brałem udział w bitwie na Białej Górze, od której powstało to grzebiszcze. Nie widziałem tam żadnego wampira. A sam położyłem sporo Szwabów.

— Austriaków.

— Jak ktoś mówi po szwabsku to Szkop. Nu nieistotne. Żadnego takiego z zębami na brodę nie chowali.

— Za życia nie widać, czy ktoś zostanie po śmierci wampirem. Dopiero później się robią. Wiem coś o tym. Dwa razy siedziałem za profanację ludzkich tego szkieletów. Pojadę tam. Gdzieś za małe pół godzinki. Jeszcze tylko strzelimy sobie po jednym z Semenem.

— Dobra, spotkamy się u Łysenki. Bo to u niego.

— Choroszo.

Zniknął w tłumie, a oni ruszyli do wyjścia. Dziesięć minut później, w sąsiedniej uliczce, zaparkowali konie przed gospodą i weszli do środka. W gospodzie kłębił się tłum ludzi, oblewano udane interesy, rozgrzewano zziębnięte ciała setką wódki.

— Czego wy? — zagadnęła szynkarka.

— Dwa razy koktajl Królowna Śnieżka.

— Ilu krasnoludków?

Jakub popatrzył na kumpla.

— Ilu?

— Nu, czterdziestu.

— Koktajl Królowna Śnieżka i czterdziestu rozbójników. Dwa razy po sto.

Koktajl Królowna Śnieżka był to wynalazek pewnego miejscowego weterynarza, który szczeł z przepicia jeszcze przed wojną, ale jego pomysł nadal straszyl. Koktajl robiony był w jakiś mętny sposób na bazie mleka i proszku do pieczenia. Królowna Śnieżka i siedmiu krasnoludków miał siedem procent, Królowna Śnieżka i dwunastu krasnoludków miał dwanaście procent, Królowna Śnieżka i czterdziestu rozbójników miał czterdzieści procent, a ostatni Królowna Śnieżka i kompania gwałcicieli miał 96 procent i nie zawierał już wcale mleka. Od zwykłego spirytusu różnił się jedynie nazwą. Wypili i odczekali chwilę, aby czterdziestu rozbójników przeniknęło do krwi.

— Ech, to już nie te czasy — powiedział w zadumie Semen. — Przed wojną to były knajpy.

— Przed która wojną? — zaciekał się Jakub.

— Przed drugą wojną.

— A to pamiętam. U tego sympatycznego, jak mu tam Jankiela?

— Jo. Sympatyczny był Żydek. Robił taką nalewkę na imbirze, że aż się w nerkach odzywała.

— Ty popatrz, że ja już ze czterdzieści lat nie widziałem imbiru.

— A pamiętasz jak Ałmaz Paczenko cisnął nożem i przygwoździł do ściany karalucha?

— Mowa. A pamiętasz jak ten idiota strzelił z rewolweru do muchy i spadła mu lampa naftowa na łeb?

— A, jakie miał piwo...

— Ech, były czasy.

Nie zakąsili niczym. Wyszli i zaczęli się żegnać przed knajpą. Jakub właśnie wdrapywał się na konia, gdy naszedł posterunkowy Birski.

— Witam obywatela.

— Szacunek.

— Wybieramy się gdzieś na koniku?

— A co?

— Chuchnijcie obywatelu.

Jakub chuchnął, a czterdziestu rozbójników dało odczuć swą obecność w jego żołądku.

— A wiecie, co grozi za kierowanie po pijanemu?

— A czym ja kieruję? — zdziwił się Jakub.

Gliniarz zmieszał się lekko.

— A koniem kierujecie. Stwarzacie zagrożenie na drodze.

— E tam. Koń sam idzie, jest taki mądry, że nie trzeba nim kierować. Mało to razy zawiózł mnie do domu...

— Wy się Wędrowycz doigracie. Ponoć znowu chcieliście kupować drut na sidła?

— A widział ty kiedyś sidła w życiu? Drut mi jest potrzebny do chmielu.

— Wy nie zajmujecie się uprawą chmielu.

— Może mam zamiar? Kto wie, może ja nawet mogę sędownie zaskarżyć o blokowanie mojej inicjatywy gospodarczej?

— Słusznie — dodał Semen. To niezgodne z prawem. Co innego jakby cię tak złapali.

— Może jeszcze złapiemy — odgryzł się milicjant. — A co do pana panie Korczaszko zniszczenie tablicy „Naród z partią”, to nie jest czasem wasza sprawka?

— Co się z nią stało?

— A to, że ktoś cisnął słoikiem farby.

— Słuchaj no głupi gliniarzu, gdybym ja się zabrał za tę tablicę, to nawet nie byłoby śladu gdzie stała. Trzy dni byście zasypywali dziurę w tym miejscu.

— Ja głupi? — zdenerwował się posterunkowy. Uważajcie obywatelu.

— Mam już więcej niż sto lat. Do mamra mnie nie wsadzisz. A jeśli chcesz na pięści, to ściągnij mundur i stawaj.

Gliniarz wołał się zmyć. W całej historii miasteczka nie było nikogo, kto mógłby się pochwalić, że pokonał Semena w walce. Ostatnia próba, podjęta w gospodzie przez jakiegoś menela z Chełma, skończyła się dla tego ostatniego dłuższym pobytem w szpitalu. Zdaje się Semen usiłował go wyrzucić przez drzwi, ale mając nieco przytępiony ze starości wzrok, nie trafił zbyt precyzyjnie. Jakub pogalopował ulicą Chełmską w stronę Białej Góry i Zarowia. Koło cerkwi minął niewielki dołek w ziemi. Uśmiechnął się do swoich myśli. To była prawie rocznica. Też tak pod koniec zimy lód skuł wodę w studni. A on w swojej młodości, no prawie młodości naiwności, wrzucił do środka granat, aby ją odetkać. No i studnię diabli wzięli.

Rozdział II

Nieskończenie głębokie są lochy Watykanu.

Kopano je w tajemnicy całymi latami. Wiele pięter w dół i w dół. Pomieściło się w nich wszystko. Tajne więzienia, sale tortur, groby różnych potomków papieży z ciemniejszych okresów historii Kościoła. Ale najważniejsze były archiwa. W naszych czasach, gdy cele więzienne zarosły pajęczyną, a wymyślne maszyny, służące do robienia bliźnim rozmaitych krzywd, stały na zawsze unieruchomione przez rdzę, archiwa nadal pozostały dość często odwiedzanym miejscem. Pomieściły setki ksiąg, dla których nie wystarczyło miejsca na powierzchni ziemi. Ksiąg, które stanowiły śmiertelne niebezpieczeństwo.

W jednym z takich archiwów, czterdzieści metrów poniżej powierzchni placu św. Piotra, siedzieli dwaj mężczyźni. Bez przesady można powiedzieć, że znajdowali się w najlepiej strzeżonym miejscu na ziemi. Aby się tu dostać, pokonali cały labirynt przejść i wind, wypakowany szczelnie najnowocześniejszą techniką. Minęli dziesiątki gwardzistów uzbrojonych nie w halabardy, jak ci na powierzchni, ale w pistolety maszynowe. I wreszcie zatrzasnęły się za nimi stalowe drzwi pozbawione od środka jakichkolwiek urządzeń mogących posłużyć do ich sforsowania. Mężczyźni mieli zezwolenie na otworzenie jednego tylko z dziesiątków sejfów i wyjęcie z niego tylko jednej teczki, ściśle określonego koloru.

Nad archiwum, w specjalnym pomieszczeniu czuwał zaufany archiwista. Obserwował każdy ich ruch za pomocą kamery. Nawet on nie wiedział, co konkretnie mają czytać. Znał jedynie numer sejfu i kolor teczki. Miał jasne rozkazy. Jeśli otworzą którykolwiek z innych sejfów lub wydobędą teczkę innego koloru, on naciśnie guzik. Specjalna pompa odessie z pomieszczenia powietrze. Gdy ustaną oznaki życia, do środka wejdą dwaj niepiśmienni strażnicy, włożą teczkę na miejsce, nie zapoznając się z jej zawartością, a następnie oddadzą strzały kontrolne w tył czaszek obu czytelników. Ciała zostaną spalone. W razie gdyby strażnicy wykazali się najmniejszą niesubordynacją, należało wcisnąć guzik jeszcze raz. Proste jak drut. Obraz przekazywany przez kamerę był zawsze leciutko rozmazany. Na tyle, aby nawet strażnik nie mógł czasem przeczytać dokumentów, którymi zajmować się będą upoważnieni.

Archiwista nie był w stanie opuścić pomieszczenia kontrolnego, dopóki przebywający piętro niżej będą zaznajamiać się z zasobami sejfów. Gdyby nacisnął klamkę, zanim opuszczą pomieszczenie, nastąpiłaby detonacja ładunku wybuchowego, który miał przytwierdzony za pomocą specjalnej obroży na szyi. Gdy obaj czytelnicy znajdą się na górze, dowódca warty przyśle klucz od obroży pocztą pneumatyczną. Specjalna elektroda kontrolowała cały czas pracę serca strażnika. Gdyby przypadkiem zaczął się zawał lub serce przestało mu bić, procedura wypompowywania powietrza z czytelnika zaczynała się samoczynnie. Ponadto na stole w zasięgu ręki miał pistolet z jednym nabojem. Na wszelki wypadek. Do osobistego użytku, z załączoną dyspensą na samobójstwo.

Dwaj mężczyźni siedzieli w czytelniku nad błękitną teczką. Pierwszy z nich był prostym księdzem. Nazywał się Herberto Saleta. W tym pomieszczeniu znajdował się po raz pierwszy (i zapewne ostatni) w życiu. Sprawiał sympatyczne wrażenie. Wysoki, szczupły, młody, ciemnowłosy, o gorejących oczach w ascetycznej twarzy. Jego towarzysz stanowił jego całkowite niemal zaprzeczenie. Niski pulchny, siwowłosy staruszek o miękkim spojrzeniu krowich oczu. Przedstawiał się jako kardynał de Agrassija. On też pierwszy się odezwał.

— Zapoznam cię teraz bracie ze szczegółami twojej misji.

— Wielki to dla mnie zaszczyt wasza eminencjo, niemniej jednak uważam, że nie zasłużyłem sobie...

— Mój drogi. W całej Portugalii nie mamy lepszego od ciebie egzorcysty. Od przyjęcia święceń przed siedmiu laty przeprowadziłeś dwadzieścia siedem spraw, z których większość sprawiała wrażenie beznadziejnych. Ponadto znasz język polski, co też nie jest bez znaczenia.

— Studiowałem filologię słowiańską...

— Ponadto kilka innych kierunków. Wiem.

— Jakie jest moje zadanie tym razem?

— No cóż, nie jest specjalnie łatwe. Powiedzmy sobie otwarcie, jeśli ci się uda będziesz pierwszym, który osiągnie sukces. Jeśli ci się nie uda, to nie zawali się od tego świat. Co najwyżej wybuchnie jakaś wojna lub epidemia. Albo pojawi się kolejny wysyp rozlicznych sekt. Może jakiś czas będzie straszyle.

— Jestem gotów ponieść ryzyko.

— Wobec tego przedstawię ci całą sprawę. W Polsce znajduje się miasto Chełm. Na wschodzie Polski, jeśli mam być konkretny. Miasto to istniało od wielu stuleci, gdy przybył tam książę Daniel, późniejszy władca halicko-włodzimierski. Zburzył pogańską świątynię, zniszczył posąg miejscowego bożka. Był to jeden z ostatnich w tej części Europy bastionów pogaństwa. Połowa dwunastego wieku. W każdym razie, konający na skutek poćwiartowania kapłan rzucił klątwę, i zapowiedział, że co sto lat będzie wracał, aby się mścić. Oczywiście, my znając w przybliżeniu datę jego powrotów, zadaliśmy o to, żeby wysyłać tam kolejnych egzorcystów.

— Jaka była skuteczność ich działań?

— Niewielka. Zazwyczaj udawało się zabić kapłana, a i to nie zawsze. A tymczasem należałoby odnaleźć posąg i unieszkodliwić go.

— Posąg... Nie został zniszczony?

— Został najprawdopodobniej rozbity, ale to nie zniweczyło jego możliwości.

— Jak on wygląda?

Z doniesień wynika, że przedstawia wielkiego białego niedźwiedzia. Ale nie mamy pewności.

— Gdzie znajdował się pierwotnie?

— Prawdopodobnie w miejscu zwanym Górą Dziewic.

— Co jest w tej teczce?

— Raporty poprzednich wysłanników.

— Rozumiem, że mam mało czasu? Jak długo mogę się przygotowywać?

— Wedle naszych ustaleń kapłan działa od kilku lat. Mieliśmy dużo szczęścia. Ruscy trzymali go w wariatkowie. Ale uciekł im. Wczoraj. Może zostanie zatrzymany na granicy. Może zostanie zastrzelony przy jej przekraczaniu. Masz synu dwie godziny na zapoznanie się z tymi raportami. Potem odwieziemy cię na lotnisko i pobłogosławimy. Paszport z polską wizą jest już gotowy.

Egzorcysta bez słowa przysunął do siebie teczkę i wydobywszy z niej kilkanaście kart różnego formatu, zaczął zapoznawać się z ich treścią.

* * *

Jakub Wędrowycz stał w niewielkiej ciasnej obórce zbudowanej z bloczków gazobetonowych. W kącie obórki leżała jałowka a raczej to, co z niej zostało. Zwierzę żyło jeszcze, ale widać było, że długo nie pociągnie. Ślady ukąszeń dwu par zębów gęsto znaczyły jej grzbiet. Musiała stracić większą część swojej krwi. Tomasz stał w drzwiach, czekając na wynik oględzin. Właściciel jałowki Marek Łysenko siedział na ławce przed oborą i kurzył skręta machorki. Egzorcysta wstał i ruszył do wyjścia.

— I jak? — zaciekawiał się Tomasz.

— Źle. Ona zaraz zdechnie. Straciła za dużo krwi.

— Staralem się zatamować krwawienie — powiedział właściciel. Ale nawet zasypka nic nie dała.

— Myślę, że wstrzyknięto jej coś w rodzaju tego enzymu, który mają w sobie pijawki, a który uniemożliwia krzepnięcie krwi. Zauważyłem dziewięć śladów ugryzienia.

— Wybacz pan głupie pytanie, wampiry?

Jakub zamyślił się na chwilę.

— Nie da się wykluczyć. Raczej nie wygląda to na robotę złośliwego sąsiada uzbrojonego w widły.

— I co pan teraz myśli robić?

— Przejdę się na wojenny cmentarz i popatrzę na groby. Jeśli wampiry mogą zamieniać się w nietoperze, to powinna być jakaś dziura, którą wyłazą z ziemi.

— Tyle lat był spokój...

Jakub stał i węszył. Nigdy nie miał specjalnie dobrze rozwiniętych zdolności wyczuwania zjawisk paranormalnych, ale tym razem poczuł coś jakby naładowanie powietrza. Włosy stanęły mu dęba. Skronie pokrył pot.

— Coś nadciąga ze wschodu — powiedział. Jakaś zła siła.

Właściciel nie wierzył specjalnie w zdolności Jakuba, ale nie okazał tego.

— Bardzo zła? — zaciekawiał się.

— Najgorsza na świecie.

Poszedł z Tomaszem na cmentarz. Nekropolia była zapuszczona w sposób straszny. Jedyne niewielkie garby znaczyły miejsca zbiorowych mogił. Na całym cmentarzu stały już tylko dwa krzyże. Oczywiście, po wiszących na nich hełmach dawno nie pozostał najmniejszy ślad. Pod nogami Tomasza zachręściło coś. Schylił się i podniósł z ziemi tabliczkę ze śladami farby. Była całkowicie nieczytelna. Odrzucił ją obojętnie. Nieco z boku znajdował się jeszcze jeden krzyż, zbity starannie z brzoźowych polan. Pod nim na grobie stały dwa znicze, a pozostałości kilku innych wały się w trawie.

— Wot te na? — zdziwił się Tomasz.

— Tu leży jakiś kumpel Semena — wyjaśnił egzorcysta. — Pali tu kilka razy do roku świeczki.

— To zabawne pamiętać bitwę, której nie pamiętają już najstarsi ludzie we wsi.

— A nie zapominaj, że on miał już swoje lata, gdy brał w niej udział.

Łazili między grobami, szukając dziur w ziemi, ale nic nie znaleźli.

— Późno już.

— Tak.

— Wracamy do domu?

— Myślę, że tak. Wrócimy tu w nocy.

— Www nnocccyy?

— Nie powiesz chyba, że się boisz?

— Właśnie, że się boję! Może ty Jakub przeżyłeś podczas wojny takie rzeczy, że wypaliły ci strach w duszy, ale ja jestem...

— Dobra przyjdę sam.

— Idę z tobą.

— Przecież się boisz?

— Bardziej bałbym się, siedząc w domu. Przygotować sprzęt?

— Kołki. Dziesięć sztuk. Albo lepiej dwanaście.

— Po co aż tyle?

— Lepiej mieć, a nie potrzebować, niż nie mieć, a potrzebować. Naliczyliśmy wprawdzie mniej ugryzień, ale nie wiadomo, czy wszystkie korzystały.

— Sądysz, że to naprawdę wampiry?

Jakub potarł się dłonią po przedramieniu drugiej ręki. Dwie stare jak świat blizny podeszły krwią i swędziały.

— Cokolwiek to jest, to to samo, co ugryzło mnie wtedy w czterdziestym pierwszym — powiedział w zadumie. — I to niedaleko stąd. Ale tym razem chyba ja będę lepszy.

Rozstali się koło leśniczówki. Tomasz pojechał jeszcze do Sawina, a Jakub wrócił przez pola do domu. Na Stary Majdan. Nie sądził, że dzień, tak miło zaczęty jeszcze przed południem, przyniesie mu tyle troski. Wróciwszy do domu, napił konia i wyprowadził z szopy swój motocykl Zundapp z przyczepką. Sprawdzał poziom oliwy i paliwa, wymienił świecę na nową i zmienił akumulator na świeżo naładowany. Spróbował zapalić. Motor zaskoczył od razu. Minęło ponad czterdzieści lat, od kiedy dwaj Niemcy, jadący na nim, rozstali się z życiem, ale maszyna nadal była sprawna. A jej nowy właściciel utrzymywał ją w idealnym stanie. Sprawdziwszy motor, wszedł do chałupy.

Wyjrzał jeszcze przez okno, czy nie zbliża się ktoś obcy, po czym odsunął łóżko i otworzył wejście do bunkra. Zszedł po drabinie i zatrzasnął za sobą klapę. Gdyby teraz ktoś niespodziewanie zajrzał przez okno, zobaczyłby zwykły kawałek podłogi z leżącą na nim niekształtną szmatą. Szmata przyklejona była na stałe. Gdy Jakub otwierał klapę, trzymała się na miejscu. Ostrożności nigdy za wiele. Bunkier był znakomicie wyposażony. Całą jedną ścianę zajmowała imponująca kolekcja broni. Było tu wszystko, czym dysponowało polskie wojsko i armie sprzymierzone do roku 1947-go. Broń była nadal w stanie idealnym i całkowicie sprawna. Gorzej było z amunicją, proch trochę już sparciał i zdarzały się niewypały. Ze skrzynki wydobyl dwa rewolwery colta i dwie pełne łódki nabojoye. Nabijał broń niespiesznie starannie. Pociski były dorabiane. Ich czubki odlał ze srebrnych NEP-owskich półtinników, nieodżałowanej pamięci Józef Paczenko.

Zawiesił sobie olstra i spróbował wyciągnąć broń jednym ruchem tak, jak kowboje na filmach. Udało mu się. Powtórzył to jeszcze raz szybciej. Palec nacisnął leciutko na cyngiel, który ugiął się kapinkę, ale egzorcysta nie myślał marnować amunicji. Wyjął zza belki cieniutki śrubokrętek. Wprawnymi ruchami podkręcił śrubkę. Cyngiel napiął się mocniej. Trącił go delikatnie palcem. Tym razem nie drgnął nawet. Odwiesił broń na miejsce. Otworzył solidną okutą blachą skrzynię. Skrzynia zawierała sorty mundurowe: wermachtowskie, radzieckie, polskie zarówno międzywojenne jak i „kościuszkowskie”. Były też mundury jugosłowiańskie pozostałe mu z czasów, gdy służył w UPA. Na samym spodzie leżał kompletny mundur milicyjny. Nic nie wskazywało na to, że kiedykolwiek będzie potrzebny, ale był. Zresztą, pancerfaust, rusznica przeciwpancerna i ze trzydzieści kilo trotylu, też zostały zmagazynowane tylko tak na wszelki wypadek.

Ze ściany zdjął lotnicze gogle i przymierzył. Regulował przez chwilę skórzany pasek, aż trzymały się tak dobrze jak było trzeba. W nocy, w lesie lepiej, żeby żadna gałąź nie uderzyła go w oko. Ze skrzyni wydobył też niemieckie buty lotnika. Dawniej miał jeszcze kozuch, ale ten wytarł się i zeszmacił jakieś dwadzieścia lat temu. Właściciel gogli, butów i kozucha leżał sześć cali pod powierzchnią ziemi, gdzieś na wygonie koło kirkutu. Zawinięty we własny spadochron. Wylądował na ziemi szczęśliwie, ale miał pecha, bo właśnie wówczas Jakub mścił swoich żydowskich kuzynów. Choć może to sypanie soli do rozprutego brzucha i zakopywanie żywcem, to była lekka przesada. Przygotowawszy ekwipunek, egzorcysta wyszedł z bunkra. Usiadł na ławeczce przed domem i zakurzył papierosa osadzonego w drewnianej fifice. Wygrzewał się na słońcu jak nieszkodliwy spokojny staruszek, który życie ma już właściwie za sobą, wszelkie problemy z babami nic go nie obchodzą i jedyną jego troską jest dokuczający mu reumatyzm. Na tym miłym zajęciu zastał go listonosz. Nadszedł na rowerze w przepisowym uniformie, z torbą pełną korespondencji, przewieszoną przez ramię.

— Dobry, przywiozłem wam emeryturę.

— Dobry. Jest wreszcie ten dodatek kombatancki?

Jakub nudził o dodatku kombatanckim, od kiedy zaczął pobierać emeryturę. Nie chwalił się specjalnie swoją partyzancką przeszłością, ale większość mieszkańców wsi nawet, jeśli go nie lubiła, to przyznawała, że zasługuje na jakieś wynagrodzenie z tytułu swoich dokonań.

— Pan, panie Wędrowycz, to dostałby dwadzieścia pięć lat, a nie dodatek, gdyby się tak dowiedzieli, co pan wyrabiał w czasie wojny — powtórzył listonosz dość powszechną opinię.

— Coś jeszcze?

— Jeszcze list. Z Chełma. Ale nie z prokuratury.

Jakub nie wiedział, dlaczego niby miałby dostać list z prokuratury, ale nie pogłębiał tego tematu. Podziękował, pokwitował i listonosz po krótkich pożegnaniach pojechał dalej. Egzorcysta uniósł próg i wydobywszy spod niego słoik, umieścił w nim otrzymane pieniądze. Całe swoje oszczędności trzymał w słoikach poutykanych tu i ówdzie. Miał w nich złote pięciorublówki, kanadyjskie i amerykańskie dolary, marki zachodnio-niemieckie. W innych słoikach zakopanych przez jego przodków znajdowały się monety i banknoty z czasów carskiej Rosji, dwudziestolecia międzywojennego oraz szeregu okupacji. Właściwie cały zgromadzony w ziemi majątek był Jakubowi całkowicie obojętny. Na drobne wydatki zawsze mu starczało, nigdy nie musiał sięgnąć do ukrytych rezerw. Żył prosto i spokojnie. Nie przejmował się jutrem.

Noce w Wojsławicach są zazwyczaj pogodne. Czasami obfitują w wypadki o gwałtownym przebiegu, gdy na przykład komuś znudzi się zasłaniająca widok stodoła sąsiada i pójdzie ją spalić lub gdy banda tubylców postanowi wykurzyć harcerzy z ich

obozowiska, jak tamtej nocy, gdy zaczyna się inna opowieść, opowieść o Tomaszu Paczence i jego obłąkanych kumplach. Ale zazwyczaj panuje spokój przerywany jedynie melodyjnym wyciem psów do księżycy lub niesionym przez wiatr pogłosem jakiejś większej rodzinnej awantury. Ta noc była cicha i spokojna.

Motor Jakuba przemknął się jak cień przez uśpiony Stary Majdan i wypadł na szosę. Jakub pędził ze zgaszonymi światłami. Nie posiadał, bowiem prawa jazdy i wołał, aby jego czterdziestoletnia gra w kotka i myszkę, którą prowadził z trzecim już pokoleniem wojsławickich stróżów prawa, nie zakończyła się właśnie wtedy, gdy ma do wypełnienia zadanie. Pędząc tak, omal nie rozjechał szarego wilka, który siedział przyczajony na drodze. Obejrzał się za nim zdezorientowany. Mijało już dobre dwadzieścia lat jak ostatni wilk w tej okolicy zginął z jego kłusowniczej ręki. Zwierzaka nie było już widać. Uciekł w pole, a może było to tylko przywidzenie. W mózgu egzorcysty zapaliła się jakaś ostrzegawcza lampka, ale zaraz zgasła. Droga wymagała pełnej koncentracji na utrzymaniu wściekle skaczącej kierownicy. Na krzyżówkach zatrzymał się na chwilę. Tomasz siedział na ławeczce, koło krzyża wkopanego w ziemię, na niezabudowanej nigdy parceli przy Grabowieckiej. U Kuraszków paliło się jeszcze światło w oknach. Tomasz wstał i zajął miejsce w przyczepie, po czym ruszyli dalej. Za cmentarzem zakręcili w polną drogę. Tu już trzeba było zapalić światła. Reflektory wylapywały z ciemności obraz potwornych wertepów. Droga rozjechana była kołami ciężkich traktorów sowieckiej produkcji. W zagłębieniach czaiło się błoto. Było ścięte po wierzchu przez przymrozek. Lessowo — gliniaste podłoże nie przepuszczało zbyt dobrze wody. Tomasz stracił zupełnie poczucie czasu i przestrzeni. Wydawało mu się, że jadą bez końca po okropnych wądolach. W mdłej poświacie twarz, prowadzącego motor, Jakuba była straszna. Rysy wyostrzyły mu się, czupryna zwichrzyła. Wyrazu oczu nie mógł dojrzeć, twarz motocyklisty osłaniały gogle. Nie miał na głowie kasku, ale może to było i lepiej, bo ostatnio jeździł na motorze w strażackim hełmie. Pasażer przytrzymywał ręką берет, aby go nie zabrało powietrze. Przy okazji, zabezpieczał też głowę przed oderwaniem się od reszty ciała. Wjechali na jakąś górę i tu motor stanął. Rozejrzeli się. Osada ułożyła się już do snu. Tylko gdzieniegdzie paliły się jeszcze światła w oknach. Rząd latarni przy ulicy Uchańskiej pozwalał się zorientować w położeniu tej części miasteczka.

— Jesteśmy na Białej Górze? — zapytał Tomasz.

— Tak. Popatrz jak tu pięknie.

— Nie lubię tego miejsca nocą. Jeśli gdzieś ma straszyć, to właśnie tutaj.

— Powietrze jest dzisiaj bardzo klarowne. Widać nawet światełka na wieży wiertniczej koło Nowego Majdanu, a to dobre sześć albo i osiem kilometrów stąd. I tyle gwiazd.

— Czy przybliżyliśmy tu podziwiać krajobraz?

— Właściwie to nie, ale skoro już tu jesteśmy, to powinniśmy popatrzeć. Nigdzie nie jest powiedziane, że dożyjemy rana.

Tomasz wzdrygnął się. Może ze strachu, może na skutek chłodu. Zaparkowali motor na skraju lasu, w wąwozie. Nakryli go plandeką i posypali trochę z wierzchu chrustem, co jednak wydawało się zbyt dużą ostrożnością, bo i tak był w doskonale niewidoczny. Przemknęli się na pobliski cmentarz i przyczaili za sporym kopcem usypanym mniej więcej pośrodku. Na jednym z pobliskich grobów, w miejscu dość dobrze oświetlonym przez księżyc, postawili miskę wypełnioną krwią, którą Tomasz wyłudził za jedno piwo w masarni.

— I co dalej? — zapytał szeptem.

— Teraz poczekamy. Północ za pasem.

Czekali. Wiał wiatr i było coraz zimniej. Jakub rozmyślał o lotniczym kożuchu, Tomasz marzył o secie spirytusu na rozgrzewkę. Zegarek o fosforyzujących wskazówkach, który Jakub dostał na urodziny od syna, pokazał północ. W chwilę później coś zachrząsało. W jaśniejszej plamie światła pojawiła się sylwetka. Wyglądała jak człowiek. Tomasz schwycił Jakuba za ramię.

— Strzelaj — szepnął.

— Poczekaj, niech ich się pojawi więcej.

Jeszcze kilka sylwetek przeszło, skradając się przez cmentarz. Żadna z nich jednak nie zbliżyła się do talerza z krwią. Niespodziewanie nad ich głowami zaczął krążyć nietoperz. Czekać dłużej nie miało sensu. Jakub poderwał broń i wypalił. Nie wiedział czy trafił, czy nie, bo na cmentarzu rozpętało się istne pandemonium. Zabłyśły światła kilkunastu latarek rozległy się charakterystyczne gwizdy milicyjnych gwizdków. Na drodze przez las, przebiegającej obok, zaryczały syreny czterech radiowozów.

— O job twoju — wymamrotał Tomasz.

Jakub nieco bardziej otrząskany z organami ścigania, szarpnął go za ramię.

— Chodu!

Rzucili się w las. Biegli, potykając się, co chwila i wpadając na drzewa. Gwizdy i światła latarek na chwilę zostały za nimi. Ale wkrótce rozległo się szczekanie psów i pościg ruszył właściwym tropem.

— Stój, bo strzelam! — wydarł się Birski i wypalił w powietrze ze swojej tetetki.

Obaj uciekający nie przerwali jednak ucieczki. Biegł jakieś dziesięć metrów za nimi. Światło jego latarki, co chwila wyłuskiwało z ciemności ich sylwetki. I nagle zniknęli. Jakby się pod nimi rozstąpiła ziemia. W jednej chwili ucichł odgłos pękających pod ich nogami gałęzi. Psy także wróciły z niczym. Trop urwał się.

Kompania żołnierzy WOP zaległa w starej transzei przeciwczołgowej ciągnącej się wzdłuż Bugu. Broń mieli na podorędziu. Noktowizory także. Po radzieckiej stronie granicznej rzeki coś się działo. Coś się działo jak cholera. Błyskały w powietrzu race, padały gęsto strzały karabinowe. Ktoś lub coś wpadło na minę wśród zasieków.

— Panie kapralu, czy to się zaczyna trzecia wojna światowa? — zaciekał się jakiś poborowy.

— Nie, to tylko jakaś grupa dywersantów usiłuje przedrzeć się na naszą stronę. Spokojnie chłopcy.

Po drugiej stronie w leju po bardzo starym strzale artyleryjskim przykucnął staruszek o złośliwym wyrazie małych, świńskich oczek. Staruszek był chudy, brudny jak świnia i ubrany w dziwny drelichowy chałat. Wokół niego kręciło się kilka psów, które poszczuto na niego kwadrans wcześniej. Teraz psy łąsiły się do niego i próbowały lizać go po rękach. Gdyby żołnierze je zobaczyli, uwierzyliby w czary. Zresztą, zupełnie słusznie, bo to były czary, a człowiek, którego z taką zajadłością ścigali, nazywał się Iwan Iwanowicz Iwanów i był autentycznym czarownikiem.

Czarownik Iwanów siedział od dziesięciu przeszło lat w zakładzie dla umysłowo chorych w Rawie Ruskiej, ale trzy dni temu objawił mu się we śnie jego własny pogański bóg, którego był kapłanem i nakazał mu udać się do miasta Chełm i odnaleźć Tego-Który-Wie-Gdzie-Jest-Miód.

Czarownik mógł ulotnić się setki razy ze szpitala, ale było mu tam zupełnie dobrze, więc nie myślał o tym. A teraz siedział w leju po pocisku i przed sobą miał już tylko kilka linii zasieków i graniczną rzekę. I pogoń na karku. Zaklął szpetnie po ukraińsku, wyrwał z brody kłak włosów, podniósł z ziemi jakąś grudkę, zmieszał to w dłoniach i cisnął w stronę prześladowców, mrużąc pod nosem słowa bez związku.

— Czyłgana, żętto, ałmakuk, Partędź.

To, co nastąpiło później zaskoczyło żołnierzy po obu stronach rzeki. Mianowicie podniosła się mgła. A przecież nie bywa tak, żeby mgła występowała jednocześnie z kilkustopniowym mrozem. Niemniej jednak, pojawiła się i szybko gęstniała. Była jak wata. Oblepiła wszystko. Iwan Iwanowicz przeszedł przez zasieki, przeszedł suchą nogą przez rzekę, choć towarzyszące mu psy musiały płynąć w lodowatej wodzie i wyminął polskich pograniczników w odległości zaledwie metra. Jakim cudem on i jego sfera znajdowali drogę w mlecznych tumanach, nie jestem w stanie powiedzieć.

Rozdział III

— Do diabła! — zaklął wściekle Birski. Już go prawie mieliśmy.

Siedział zniechęcony na sporym pniaku. Jego podwładni oraz ściągnięte posiłki przeczesywały las. Młody stażysta, Rowicki próbował go pocieszyć.

— Spokojnie, nie zapadli się pod ziemię. Siedzą w jakimś zagłębieniu i zaraz ich capniemy. Dwa metry poniżej zakrywającego włącz do bunkra pniaka, na którym siedział posterunkowy, Jakub Wędrowycz zapalił lampę naftową.

— Ale jubel — powiedział. — I to wszystko na moją cześć.

— Jesteś zły...

— Aha. Zmarnowali mi dobrą akcję. Idioci.

— Ciekawe skąd wiedzieli?

— Próbowałem dziś rano kupić drut, myśleli, że znowu odezwała się we mnie żyłka łowiecka. Zobaczyli światła motoru na polach i ruszyli.

— Jak stąd wyleziemy? Ten idiota siedzi nam na wejściu.

— Jest jeszcze zapasowe, ale chwilowo trzeba przeczekać. Niech położą po lesie po-
błądzą, wreszcie sobie pójdą. Może ich, co pogryzie. Zmieniłoby im to światopogląd.

— Wybierzemy się jutro znowu?

— Lepiej nie. Trzeba parę dni odczekać. Ciekawe, czy wysłali kogoś, żeby sprawdził, czy jestem w domu.

— Pewnie tak.

— E, niekoniecznie. Ten Birski wcale nie jest taki sprytny, na jakiego wygląda.

Wdrapał się po drabinie do góry i prawie przyłożył ucho do pniaka.

— I co? — zapytał kogoś posterunkowy.

— Nadał nic. Psy straciły trop. Musieli czymś wysmarować buty.

— Cholera!

— Nie mamy też motoru. Nie wiem, gdzie go wsadzili.

— Szukajcie dalej. Długo nie usiedzą w miejscu, jest tak cholernie zimno. Jeśli leżą gdzieś w krzakach, to zaraz im jajca przymarzną do ziemi. Przepytaj ludzi, czy nie poznali, kto to był ten drugi.

— Już pytałem, widzieli go tylko przez chwilę.

— Znaleźliście kulę?

— Nie, nie ma szans, chyba, że utkwiała w którymś drzewie. Ciekawe, do czego strzelał, bo chyba nie do nas.

— Widziałem ogień do góry, jakby strzelał na postrach. Może do jakiegoś ptaszydła.

— Może.

— Zostaniemy tu do rana. Pewnie zostawili jakieś ślady.

Jakub zszedł po drabinie na dół.

— Powinniśmy położyć się spać. Oni się stąd szybko nie ruszą.

— Spać?

Otworzył zamaskowane drzwiczki i weszli do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie były dwie prycze. W bunkrze było zimno i wilgotno. Spod pryczy egzorcysta wydobył antalek bimbru. Osiemdziesięcioprocentowego.

— Łyknijmy jednego, bo po takim noclegu cudem będzie, jeśli nie nabawimy się zapalenia płuc.

— Może rozpalimy ognisko?

— Jest tu piec i nawet komin, ale mogliby poczuć dym. Łażą nam dokładnie nad głowami.

— A jak się rano wymkniemy?

— Do rana znudzi im się i pójdą sobie.

Rzucili się na prycze i zapadli w sen. Było im zimno twardo i wilgotno, ale ostatecznie z takimi niewygodami musi liczyć się każdy, kto zostaje kłusownikiem lub egzorcystą.

Czwartkowy ranek był mglisty i wilgotny. Jakub wygramolił się z bunkra i rozejrzał uważnie. W lesie panował spokój. Nie opodał sarna wygrzebywała spod płata tającego śniegu jakieś smakołyki. To przekonało go ostatecznie. Ludzie odeszli. Sarna była dość chuda, jak to na przednówku. Patrząc na nią, poczuł jednak przyływ żyłki łowieckiej. Z upolowanego jeszcze na jesieni dzika zostały mu zaledwie dwa weki. Jego dłoń wolno powędrowała do kieszeni, w której trzymał zwój linki hamulcowej zaopatrzonej w ciężarki na obu końcach. Zaraz jednak zrezygnował. Gliny z całą pewnością będą usiłowały jakoś go przyskrzynić. Zaopatrywanie się teraz w dowody winy nie było rzeczą specjalnie rozsądną. Z czeluści bunkra wygramolił się Tomasz, trąc niewyspane oczy.

— To już ranek? — zapytał.

— Aha. Poszli sobie.

— I co robimy? Idziemy do domu?

— Ty tak. Weź mój motor i przechowaj go kilka dni. Powiedz Semenowi, żeby zabrał mojego konia do siebie.

— A ty?

— Położę sobie trochę. Nie zapomnisz o koniu?

— Nie zapomnę.

Pożegnali się. Tomasz ruszył w stronę cmentarza odszukać motor, a Jakub poszedł ścieżką wzdłuż ściany lasu do szosy. Postanowił podskoczyć do Chełma i trochę się urznąć w tamtejszych knajpach, co miało mu zapewnić częściowe alibi. Poza tym list. Doniesiono mu właśnie, że w Chełmie pojawił się obcy...

* * *

Na ławeczce przy schodkach prowadzących na Górkę siedzieli dwaj mężczyźni. Obaj byli oficerami kontrwywiadu. Pierwszy z nich miał na imię Rościsław, a w swojej pracy używał pseudonimu Holmes. Drugi był tak dokładnie zakonspirowany, że nie znano nawet jego pseudonimu. Oficerowie, gdy rozmawiali na jego temat w swoim gronie, mówili zazwyczaj coś w rodzaju „no ten z mordą jak u małpy”, lub krócej, „małpisty”. Faktycznie coś w tym było. Żaden szpieg, patrząc na niego, nawet się nie domyślał, że ta pokryta trzydniowym zarostem tępą gęba o cofniętym czółku, cromaniońskich wałach nadoczodołowych i uwstecznionej brodzie, może należeć do oficera służb specjalnych.

Jej właściciel wyglądał raczej na neandertalczyka cofniętego dodatkowo w rozwoju przez wielopokoleniowy dziedziczny alkoholizm, niż na przedstawiciela gatunku Homo Sapiens. Zazwyczaj oficerów wywiadu dobiera się w ten sposób, aby nie zwracali na siebie uwagi. Ten był wyjątkiem. Nie zwracał na niego uwagi nikt, kto go zobaczył. Ludzi po prostu odrzucało. Holmes był jego całkowitym przeciwieństwem. Wysoki, wysportowany sprawiał wrażenie młodego biznesmena i tylko fakt, że w owym czasie nie było w naszym kraju biznesmenów, świadczyć mógł na jego niekorzyść.

— Uwaga idzie — powiedział pitekantropus.

W pozycji Holmesa nic się nie zmieniło. Nie drgnął nawet. Ale jego uwaga napięła się. Schodkami do góry szedł wychudły mężczyzna o uduchowionej ascetycznej twarzy. Herberto Saleta, egzorcysta. Kawalek za nim sunęła, niczym chodząca kupa łachmanów, odrażająca baba śmietnikowa. Baba, nawiasem mówiąc, też była agentem i to w dodatku młodym wysportowanym mężczyzną. W chwili, gdy szpiegowany duchowny mijał ławkę, baba skręciła w krzaki i przestała być widoczna.

— Za nim — polecił Małpolud Rościsławowi.

— I powodzenia.

— Dziękuję.

Herberto był zbyt daleko, aby usłyszeć tą wymianę zdań, ale uśmiechnął się do siebie smutno. Zdawał sobie oczywiście sprawę z faktu, że cały czas za nim łążą. Przyzwyczyił się już od wczoraj, zarówno do małpoluda, jak i do tej koszmarnej baby, ale sposób, w jaki został pokazany temu młodemu wymuskanemu inteligencikowi był doprawdy żenujący. Kto, będąc przy zdrowych zmysłach, mógłby uwierzyć, że na jednej ławce mogliby usiąść przypadkowo dwaj, tak krańcowo różni ludzie?

Inteligencik na widok takiego brudnego małpoluda najprawdopodobniej zmieniłby park na inny, o przesiadaniu się na sąsiednią ławkę nie wspominając. Zresztą, pitekanthrop nie sprawiał wrażenia człowieka, którego miejsce jest w parku. Fakt, że ten elegancik ruszył za nim, podczas gdy baba śmietnikowa i małpolud zostali gdzieś po drodze, nie zdziwił go specjalnie. Stał przed kościołem i podziwiał w zadumie jego bryłę, gdy podszedł do niego ksiądz.

— Ojciec Herberto de Saleta?

— Po prostu Saleta. Bez „de”.

— Franciszek Daszyński. Miejscowy proboszcz. Mam wam pomóc w wypełnieniu waszej misji.

— Dziękuję. Wobec tego poproszę od razu o garść informacji. Spocznijmy może na ławeczce tam w cieniu...

— Oczywiście.

Usiedli. Holmes ulokował się kawałek dalej na innej ławce i udawał, że drzemie.

— Twój ogon bracie?

— Tak. Pilnują mnie, od kiedy wylądowałem na Okęciu. Najpierw taki jeden o wyglądzie nadjedzonego przez mole nauczyciela, potem zabawna para. Taki małpowaty, podobny do neandertalczyka i o zbliżonych manierach i stara, cuchnąca żebraczka. A od dwudziestu minut ten. Zakładam, że to wasze UB?

— Nie, ten pitekanthrop jest z kontrwywiadu. Pozostałych nie znam, ale pewnie z tego samego...

— Rozumiem. Na razie nie przeszkadzają mi.

— Skąd wiecie bracie o ich...

— Och w tym kraju toczymy nieustanną walkę. Posyłamy trochę rzeczy za Bug, Pismo Święte, małe kolorowe obrazki, literaturę, czasami mamy z nimi do czynienia. Ze Wschodu przybywają różni ludzie, a oni na nich polują.

— Rozumiem.

— Wasze pytania bracie?

— Poszukuję posągu przedstawiającego wielkiego białego niedźwiedzia. Ponadto ciekawi mnie miejsce, w którym stała świątynia pogańska zniszczona przez kniazia Daniela.

— Ciekawe zainteresowania. I tak jakby zbieżne z tym, o co pytał niemal równo sto lat temu pewien włoski egzorcysta, który się tu zaplątał.

— Znacie wiele naszych sekretów...

— Nie chcecie dzielić się swoją wiedzą. Coś się dzieje. Co sto lat. Raz na wiek. Wiek dla miasta to dużo. Dla historii to chwila. Jeśli nie będziemy wiedzieć, co się dzieje, to jak zdołamy powstrzymać to, gdy nadejdzie, a z Watykanu nikt nie przyjedzie, by nas bronić. Pomyśleliście o tym?

- Watykan jest wieczny bracie. Zawsze ktoś przyjedzie.
- Jak do tej pory było ich minimum sześciu.
- Ta misja traktowana jest niemal jak kara śmierci. Nikt posłany tutaj nie wrócił żywy, aby zdać relację. Co najwyżej docierały ich raporty, jeśli przed śmiercią byli w stanie pisać. Ale ryzyko nie oznacza, że za sto lat nie będzie chętnych, aby je podjąć. To śmiertelne starcie. Albo jeden albo drugi.
- Starcie?
- Herberto wzruszył ramionami.
- Duch kapłana wciela się, co jakiś czas w żywego człowieka i rusza do miasta. Zapewne po to, by odprawić jakieś obrzędy.
- Dziękuję. Co się wówczas dzieje?
- Nie wiem. Czytałem raporty pięciu moich poprzedników. Wydaje się, że nigdy nie były obserwowane. Zawsze kapłan zabijał egzorcystę. Za wyjątkiem jednego przypadku, gdy Inkwizytor Pablo de Torralba zabił kapłana, ale i to dużo nam nie dało. Zwłaszcza, że dotarł do nas tylko brudnopis jego raportu.
- Obiło mi się o uszy. Spalił się w Uchaniach na stosie. Własnoręcznie, w towarzystwie ponoć dość urodziwej czarownicy.
- Bywa i tak. Moje pytanie?
- Nie znam w tej okolicy ani rzeźb przedstawiających niedźwiedzia, ani ich kawałków. Miejsce znajdowania się świątyni nie jest nam znane.
- Gdzie znajdowała się cerkiew św. Jana Złotoustego?
- Tu, pod tym kościołem. W lochach zachowały się szczątki murów z tego okresu.
- A grobowiec księcia Daniela?
- Niestety, musiał ulec zniszczeniu podczas którejś z przebudów. Obecnie mamy tam groby unickich biskupów. Zresztą, posąg z pewnością został roztrzaskany na kawałki, a jeśli był wykonany z wapienia, mógł zostać spalony.
- Nie sądzę. Praktyka wskazuje na fakt, że po wprowadzeniu nowej religii posągi dawnych bogów wmurowywano często w podwaliny współczesnych kościołów. Zresztą, zwyczaj lokowania przybytków na starych miejscach kultowych był także szeroko praktykowany. Są tu lochy?
- Poniżej krypt?
- Właśnie. Słyszałem sporo o waszych podziemiach kredowych...
- Ujmę to w ten sposób. Anomalie geomagnetyczne wskazują na istnienie pod Górką rozległego kompleksu wyrobisk, ale nie wiadomo jak tam się dostać. Ponadto te wyrobiska pochodzą z szesnastego i siedemnastego wieku, więc chyba nie mogą być brane pod uwagę.
- Jak można je datować, skoro nikt ich dotąd nie zbadał?
- O tym nie pomyślałem.

— No właśnie. Jeden z moich poprzedników został znaleziony w podziemiach. Martwy i z wyprutymi wnętrznościami.

— Alfonso Edewerda.

— Właśnie. Co się z nim stało?

— Cóż, górnicy, którzy kopali kredę w tych wyrobiskach, wierzyli w demony podziemnego świata i składali im nawet ofiary. Zwłaszcza jednemu z nich. Nazywany był Bieluchem. Żywił się duszami górników lub miodem. Dlatego składali mu ofiary z miodu.

— Z miodu? A jak on wyglądał?

— Tego nie wiem. Ale proszę zapytać w PTTK. Oni organizują wycieczki po lochach, myślę, że z chęcią udzielą odpowiednich wyjaśnień.

— Aha. Z tego, co czytałem było tu pallatium...

— Taki prostokątny dwór książęcy? Zbudowany z kamieni na zaprawie? Był o w tamtej górcie — machnął ręką — Znaleźli archeolodzy jego fundamenty. Ciekawa swoją droga idea.

— Na właśnie, kamienie. Czy były wśród nich może duże rzeźbione kawałki?

— Posąg pogańskiego boga wdeptany w podłogę?

— Coś w tym guście. Albo wmurowany w ścianę na szczęście. Jeśli oczywiście władca miał odchyły pogańskie.

— Nie wiem. W tym czasie byłem proboszczem zupełnie gdzie indziej. Ale chyba wiem, gdzie można by przejrzeć dokumentację dotyczącą tego miejsca i badań.

— Hym?

— U wojewódzkiego konserwatora zabytków. To człowiek o otwartych horyzontach. Bezpartyjny. Myślę, że udostępni bez trudu te materiały.

— Możesz mi bracie podać adres?

Parę minut później pożegnali się. Herberto ruszył w stronę miasta. Holmes udał, że właśnie ocknął się z drzemki i podążył w ślad za nim. Koło cmentarza prawosławnego egzorcysta minął staruszka w zeszmатовanej czarnej kurtce, który szedł właśnie w stronę schodków. Przez chwilę ich spojrzenia spotkały się. Herberto był niezwykle wyczulony na promieniowanie ludzkich myśli. Kontakt był tak silny, że omal się nie zatoczył. Jakub nie odbierał specjalnie tego typu sygnałów, ale i on coś poczuł. Jakiś nieokreślony lęk. Poszedł dalej. Herberto zatrzymał się i oparłszy o drzewo, zaczął porządkować doznania. Człowiek, którego minął, dawał silne i cuchnące echo w jego umyśle.

Można było niemal czytać w jego myślach. Był w nich istny śmietnik. Plątały się tam kilogramy żelaznego drutu, linki hamulcowe od rowerów, konie, sarny, dziki, arsenał ukryty w piwniczce, maszyna do pędzenia bimbru oraz spora ilość antałów tego napoju, jacyś martwi wrogowie pod kwiatkami i inni w lochach pod nimi. I niepokojąco dużo o wampirach.

Rozdział IV

Przez bramę w murze wszedł do parku trzydziestolecia. Rozejrzał się lekko zdeorientowany, a potem wydobył z kieszeni plan miasta i porównał go z panoramą rozciągającą się u jego stóp. Ze wschodu, znad Dyrekcji powiał wiatr. Herberto zatrzymał się ponownie i zaczął węszyć. Wiatr niósł ze sobą coś dziwnego. Nie był to zapach. To było znacznie subtelniejsze. Przymknął oczy i skoncentrował się. Woń kojarzyła mu się z grzechem. Był w niej ostry odór kału. Coś dziwnego jak pył sypiący się z mumii oraz jeszcze jakieś takie. Woń zmęczonego zaspokajaniem swoich zwierzęcych żądz byka. Herberto wzdrygnął się i otworzył oczy. Kontakt został zerwany. Nic już nie czuł. I tylko lekkie mrowienie między uszami świadczyło o tym, że jego wytrenowane w tym kierunku ciało odbiera sygnały o niebezpieczeństwie. Ruszył w dół. Do konserwatora.

* * *

Jiirgen Kosche szedł w towarzystwie swojego syna Hansa ulicami miasta. Usiłował przypomnieć sobie jak to wszystko wyglądało podczas wojny. Wielu budynków nie znalazł. Część była przemalowana na inne kolory. Szukał. Znalazł ten róg ulicy. Ten, który tak dobrze wrył mu się w pamięć.

— To było tutaj — powiedział do syna. — Zostańmy tu na chwilę.

Usiadł na ławce, pochylił głowę i zaczął sobie przypominać. To był straszny okres. Rusczy stali już na Bugu. Lada dzień mieli przejść do szturmu. W mieście wrzało. Z więzienia przy stacji partyzanci odbili dwudziestu swoich. W biały dzień. A nocami grasował po mieście nieuchwytny Wypruwacz.

Niemieccy żołnierze nie powinni odczuwać strachu. Poszli na patrol. I właśnie tu spotkali swoje przeznaczenie. Wyszli zza tego rogu. A wtedy z bramy wyskoczył pomyłony facet z szablą kawaleryjską. Było ich czterech. Iwo i Freder zginęli pierwsi. Obciął im głowy jednym płynnym cięciem. Edke prawie zdążył odbezpieczyć pistolet maszynowy, gdy szabla tamtego wyszła mu z tyłu szyi. Wtedy zostawił ją i skoczył na Jurgena.

Pchnął go potężnie na mur i Niemiec stracił przytomność. To tylko uratowało mu życie. Wróg myślał, że nie żyje. Gdy doszedł do siebie, leżał na ziemi w kałuży krwi, która wyciekła z ciał kolegów. Wróg zdarł tylko jego kurtkę. Czarną kurtkę mundurową SS. Jurgen podniósł głowę, aby jeszcze raz popatrzeć na to straszne miejsce, gdzie zginęli jego przyjaciele. Wariat z szablą szedł sobie środkiem ulicy.

Teraz. Czterdzieści z hakiem lat później. I miał na sobie jego kurtkę mundurową. A za to nie miał szabli. Zacisnął dłoń na ramieniu syna. A w sekundę później pękło jego serce. Nim doleciał do ziemi, był już martwy. Jakub nie poznał starego esesmana. Szedł sobie. Po drodze minął ciemnowłosego chłopaka, który pozdrowił go, salutując. Odpowiedział kiwnięciem głową. Dopiero po chwili skojarzył sobie, skąd go zna.

— Syn hrabiego Woroncewa wrócił z mamra? — zdziwił się. — Bo to ani chybi on.

Kupił bilet do Witoldowa. Blizna na dłoni zaczęła go swędzieć. Swędziała coraz bardziej, w miarę jak zbliżał się do Wojsławic. Ale potem, gdy pekaes minął miasteczko ijechał szosą na Witoldów, swędzenie powoli ustąpiło. Czymkolwiek było to, co je wywołało, znajdowało się gdzieś między austriackim cmentarzem, a wioską.

Wysiadł w Witoldowie i ruszył świeżo pokrytą piachem drogą w stronę wsi. Z tą drogą to właściwie głupia historia. Pierwotnie była wysypana żużlem, co nikomu nie przeszkadzało. Gdy powstawały w niej zbyt głębokie koleiny, dosypywano nowego żużlu i wszystko było w porządku. Później jednak gmina zapragnęła nieco ucywilizować dojazd do jednej z głównych wsi na swoim terenie. Wielkim nakładem kosztów, ciekawe, nawiasem mówiąc, po co zerwano warstwę żużlu i położono w jej miejsce płyty betonowe z dziurkami. Wyglądało to naprawdę fachowo do pierwszych poważniejszych deszczów. Woda rozmiękczyła less i droga zatoneła. Przez następny sezon walczone z lessem, spychając go z drogi za pomocą spychaczy. Było to jednak działanie doraźne i nie przyniosło widocznych rezultatów. Wobec krachu przedsięwzięcia podjęto decyzję o zmianie ogólnej koncepcji. Zamiast nikomu właściwie niepotrzebnej nawierzchni wykonanej z płyt postanowiono wykonać gładką nawierzchnię betonową. Położono ją nawet dość szybko i sprawnie. Niestety, popełniono dwa zasadnicze błędy. Po pierwsze warstwa cementu była zdecydowanie zbyt cienką, drugim zaś błędem była budowa drogi tuż przed żniwami.

Rano wylali, a do wieczora przejechało tamtędy trzydzieści lub czterdzieści traktorów. Wyglądało to nawet niezłe, ot taka wzburzona rzeka, która naraz skamieniała. Niestety, następnego dnia kolejna kawalkada sprzętu rolniczego rozniosła fale na kawałki. Powstał trakt pokryty skorupami z cementu w deseń bieżników opon.

Nie zrezygnowano jednak z tej obiecującej metody. Zgromadzono dużo więcej cementu. Jak na złość jednak popsuła się jedyna gminna betoniarka. Kierownik budowy, nawiasem mówiąc, absolwent technikum dentystycznego, i z tym problemem sobie poradził. Jego koncepcja była genialna w swojej prostocie. Drogę posypie się najpierw

piaskiem, potem cementem, przeorze, a później wystarczy połać to wszystko wodą i cement gotowy. Gdy Jakub szedł do domu, prace były na etapie posypywania drogi piaskiem. Dotarł przed wieczorem. Wszedł na podwórko i zatrzymał się zdziwiony. Na ławeczce koło drzwi siedziała niewysoka dziewczyna o lekko rudziejących włosach, z bursztynowymi kolczykami w uszach. Ubrana była w jeansy i szarą kurtkę. Obok niej leżał plecak. Plecak był żółty.

— Wot te na — zdziwił się na jej widok. — A pani, co tu robi?

— Pan Jakub Wędrowycz?

— Powiedzmy.

— Jestem Monika.

— Bardzo mi miło. Ech?

— Przyjechałam do pana po prośbie. Mam list polecający z Polskiego Towarzystwa Psychotronicznego.

— No to nie rozmawiajmy tu na zimnie — namacał leżący na framudze drzwi klucz.

Zaprosił ją gestem do środka. W domu było paskudnie chłodno. Wziął paczkę zapalek i zapaliwszy jedną, wetknął ją niedbale pomiędzy drewna w kuchennym piecu. Drewna zapaliły się od razu.

— Czary? — zaciekawiała się.

— Szmata nasączona benzyną. Siadaj but łaska. Usiadła na ławie.

— Czego oczekuje Towarzystwo?

— No cóż. Towarzystwo postanowiło zadbać o pańskie interesy.

Roześmiał się wesoło.

— Jeszcze nie umieram z głodu.

— Zawrzemy układ. Pan pokaże mi jak pan czaruje, a ja, w zamian za to, zostanę pana gospodynią na ten czas. Mam też pieniądze na wyżywienie dla nas obojga.

— Chcesz zostać czarownicą?

— Można to tak ująć.

— Ile masz lat?

— Dwadzieścia. Za mało?

— Hmm. A jakie szkoły ukończyłaś?

— Wzięłam urlop naukowy z uniwersytetu. Piszę pracę magisterską o pozostałościach dawnych praktyk magicznych na wschodnich kresach Polski. Studiuję socjologię.

Śmiał się długo.

— Innymi słowy nie chcesz nauczyć się czarować, tylko zapisać sobie, jakie praktyki ja uprawiam?

— Aha.

— Nie wierzysz w czary?
— Nie. Może odrobinę.
— Jaką chcesz jutro pogodę? Znudziła mi się ta zima. Tobie pewnie też?
— Tak, to swoją drogą dziwne, tak długo trzyma.
— Jutro będzie plus piętnaście i bezchmurne niebo.
— Słuchałam prognozy. Ma być minus trzy i opady deszczu ze śniegiem.
— Założymy się?

— O co?

— Sto całusków.

— Hym, ile pan ma właściwie lat?

— Cosik ponad osiemdziesiąt.

— Dobrze. Plus piętnaście i bezchmurne niebo.

— Wobec tego zjemy coś, bo pewnie cały dzień w podróży?

— Miałam kanapki.

— Umiesz rozpalać samowar?

— Nie.

— A umiesz może szczotkować konia?

— Też nie. Jestem z Warszawy.

— Chwatit. Poznasz więc poza czarami także pewne szczegóły z życia wsi.

Rozpalił samowar. Obserwowała go uważnie. W lodówce znalazły się jakieś parówki. Miały już swoje lata, ale jeszcze dały się zjeść. Po podwieczorku, czy może raczej bardzo spóźnionym obiedzie, wyciągnęła gruby kajet.

— No to proszę zaczynać — zachęciła.

— Czekaj. Chwilkę. Skoczysz do Wojsławic i odbierzesz mojego konia. Masz jeszcze do zmroku trzy godziny.

— Dobrze. Gdzie jest?

Zapisał jej kartkę do Semena.

— Trzeba go przyprowadzić. Pokażesz mu to — podał jej plecione z czerwonych sznurków czeczeńskie cugle. Będzie wtedy wiedział, że jesteś swoja. Przy uździe są takie kółka. Przewleczesz przez nie te druty. Gdybyś sobie nie mogła poradzić, to Semen ci pokaże. Nie próbuj czasem dosiadać. Nie poradziłabyś sobie z tym. Po prostu go przyprowadź.

— Dobrze.

Wzięła cugle i poszła. Wróciła po dwu godzinach, prowadząc Marikę. Klaczka szła posłuszenie. Jakub odebrał od niej cugle i poklepał klaczkę po boku.

— Polubicie się — powiedział.

Kiwnęła głową. Klaczka powtórzyła jej gest. Dziewczyna wytrzeszczyła oczy.

— Zaraz, zaraz, czy ona tego...

Jakub parsknął śmiechem.

— Powiedzmy, że jako czarownik usiłowałem poznać mowę zwierząt. Nie udało mi się, więc chociaż sprawiłem, że klacz rozumie to, co się do niej mówi.

Odpiął cugle, a potem ściągnął uzdę.

— No cóż — powiedział. — Marika, ile to będzie dwa dodać dwa?

Klacz stuknęła cztery razy kopytem w ziemię.

— Sprytna sztuczka — zauważyła Monika.

Klacz parsknęła z urazą.

— To nie sztuczka. Udowodnić ci?

— Proszę bardzo.

— Dobrze. Zadaj jej dowolne pytanie z dziedziny matematyki. Tylko bez mnożenia. Nie zdołałem jej tego nauczyć.

Studentka uśmiechnęła się.

— Powiedz no koniku, ile ja mam lat?

Klacz popatrzyła na nią uważnie, po czym zaczęła stukać kopytem w ziemię. Stuknęła osiemnaście razy.

— Prawie ci się udało — pochwalił ją Jakub. Ta dama ma dwadzieścia lat. Popraw się.

Klacz stukała dłuższą chwilę. Równo dwadzieścia uderzeń. Monika pobladła.

— Ona... Koniku, rozumiesz wszystko, co mówimy?

Klacz pokiwała głową.

— Przynies szczotkę i zgrzebło — polecił Jakub. Są w skrzynce pod stołem. Przynies do stajni.

Poklepał klacz po szyi.

— Do domu — polecił.

Podeszła do wrót obórki. Otworzył jej. Weszła do środka. Nasypał jej do żłobu siana i owsa i postawił wiadro wody na podporządku. Zaraz też przyszła dziewczyna. Przyniosła, co trzeba.

— To jest zgrzebło — powiedział, wyjmując jej z ręki dziwne metalowe urządzenie.

— Czeszemy w bok włosa tak, aby wycesać spomiędzy sierści paprochy i wypadnięte włosy. W tym akurat przypadku omijaj te miejsca bardziej łyse. Po przejechaniu zgrzebłem doczyszcza się tą szczotką. Zbierz dwie garście sierści i tych wyczesanek — podał jej papierową torbę — i przynieś do mnie. Poczaruujemy sobie trochę.

Klacz zarżała jakby z urazą.

— Wie, że ksiądz mi zabronił — wyjaśnił. — Słuchaj Marika, nie bądź źrebakiem. Jak długo jeszcze ma trwać ta paskudna zima?

Klacz pokiwała głową. Może na znak aprobaty?

— Gdyby jeszcze potrafiła mówić — westchnął. — Ale nie chce. W Wigilię miałem nadzieję, że może... Ale też nic nie powiedziała.

Monika popatrzyła na niego nieco zdezorientowana. Czary z koniem były niepojęte, ale staruszek sprawiał wrażenie nieco obłąkanego. Wszedł i przed oborą zaczął kreślić coś patykiem na ziemi. Skończyła po półgodzinie. Było już prawie ciemno.

— No nie daję gwarancji, najlepiej to wychodzi o wschodzie słońca — powiedział.
— Ale możemy spróbować. Masz ten swój kajet?

— Mam.

— By spowodować ocieplenie, rysujesz na ziemi takie znaki.

— Chyba je znam. Ten jeden to egipska korona atef. Dalej jest symbol oznaczający słońce i pióro bogini Maad.

— To egipskie symbole? — zdziwił się.

— Jasne. Takie same są w piśmie hieroglificznym. Chodziłam na zajęcia ze sztuki Egiptu.

— Nu, nieważne, ale aż ciekawe. Mnie nauczył tego taki jeden czarownik. Ale on już nie żyje, więc nie powie, dlaczego takie, a nie inne. Daj te zmiotki.

Podawała mu torebkę. Wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki buteleczkę spirytusu i polał dokładnie sierść i paprochy. Położył je na środkowym znaku.

— Uhr Hakau Seczech — powiedział i podpalił.

Gdy wypaliły się, zdeptał starannie pozostałości ogniska i zatarł znaki ręką.

— Pozostaje nam czekać na efekty. Chcesz spać w kuchni, czy może w obórcie razem z Mariką?

— W nocy będzie chyba dość chłodno.

— Możliwe. Podłożyłem sporo słomy. Przytulisz się do niej i nie zmarzniesz.

— Chyba jednak wolę w kuchni.

— Wobec tego chodźmy spać. A jutro od rana pouczę cię dalej.

Pół godziny później oboje spali już jak zabici. Monika w kuchni na ławie, a Jakub w swoim łóżku. Spali już, gdy przez ich podwórze przebiegł niewielki szary wilk. Klacz zarżała przez sen, ale nie obudziła się. Minęło wiele lat, od kiedy konie w tych stronach czuły woń tego zwierzęcia. Praktycznie żaden nie wiedział już, co oznacza ten zapach. I nie bały się.

Rozdział V

Iwan Iwanowicz Iwanów dotarł do Uchań zaraz po południu. Znacznym wysiłkiem umysłowym zmienił nieco swój wygląd. Dla postronnego obserwatora przynajmniej dla takiego podatnego na sugestie, wyglądał obecnie jak trzydziestoletni terenowy działacz partyjny. Postarał się nawet o odpowiedni garnitur i czerwony krawat. Zaraz koło kościoła napotkał starszą kobietę.

— Dobry. Gdzie tu mieszka niejaki Karwowski?

— Coś pan, już trzy lata jak pochowany.

— Nie żyje?

— A pewnie. Wychłał ponoć trzy litry bimbru za jeden raz. I wyzionął ducha. I chwała Bogu. Życ się nie dawało. Tylko ktoś go obraził, zaraz rzucał urok. A to grad, a to świerzb. Wytrzymać się nie dało. A ten bimber to dostał ponoć od takiego z Wojsławic, jak mu tam... Wędrowycza.

— A gdzie mieszkał póki żył?

— A tam na górze za pałacem. Znajdziecie drogę wysadzaną kasztanami, potem będzie pałac i zaraz za pałacem stoi jeszcze resztką z jego chałupy. Taka polepiona gliną.

— Dziękuję bardzo.

Ruszył drogą, gdy tylko zniknął kobiecie z oczu, zrezygnował z kamuflażu. Znowu był złośliwym staruszkiem o chytrych oczkach. Gwizdnął przez zęby. Psy pojawiły się z powietrza. W rzeczywistości były tam cały czas, tyle tylko, że niewidzialne. Koło kapliczki nad źródłem poczuł dziwne mrowienie pod skórą. Przystanął i zaczął nasłuchiwać.

— KTOŚ TY? — Pytanie pojawiło się w jego mózgu znienacka.

Rozejrzał się dookoła. Głos promieniował prosto z powietrza.

— A ty? — Zapytał półgłosem.

— PABLO DE TORRALBA. INKWIZYTOR.

— Nie mamy żadnych wspólnych tematów do rozmowy.

— WYNOŚ SIĘ. NIC TU PO TOBIE.

— Gadaj zdrow. Przyszedłem w odwiedziny.

— JESTEM OPIEKUNEM TEGO MIASTA. WYSTARCZY MI, ŻE MUSIAŁEM ZNOSIĆ TEGO ZAFAJDANEGO CZAROWNIKA PRZEZ TYLE LAT. IDŹ STĄD.

— Wiesz co, inkwizytorze, chyba popełniasz błąd.

— PRZYPOMNIJ SOBIE JAK ZABIŁEM CIĘ W CHEŁMIE CZTERYSTA LAT TEMU. JAM CIĄGLE ZMYŚLNY.

Dwa psy eksplodowały jak petardy, zachlapując wszystko wokół strzępkami mięsa. Czarownik skrzywił się lekko.

— Młgele. Operłut. Chaprędź. — Wymamrotał, robiąc rękoma osobliwy znak.

Ziemia wokół jego stóp strzeliła na chwilę płomieniem. Gdy wygasła, nie słyszał już żadnego głosu w swojej głowie.

— Postarajcie się o nowego opiekuna — powiedział w przestrzeń.

Echo jego słów dotarło do wioski i zatańczyło wokół kościoła. Przechowywany w jego ołtarzu srebrny sztylet drgnął i pokrył się czarnymi plamami. Relikwia. Sztylet człowieka, który spalił tu kiedyś kobietę w imię miłości. Sztylet człowieka, dzięki któremu ludzie nauczyli się kochać i wybaczać sobie. Sztylet człowieka, który oczyścił się ze swoich grzechów, dobrowolnie oddając swoje ciało na pastwę płomieni.

Iwan Iwanowicz niebawem znalazł się w chacie Karwowskiego. Dach zapadł się już dawno, ale ciągle działał czar chroniący to miejsce przed wilgocią. Czarownik przeko-
pał ruinę, poszukując jakichś notatek, które mogłyby mu się przydać. Nie znalazł nic. Karwowski nie umiał pisać. Los nikomu nie szczędzi rozczarowań.

* * *

Herberto Saleta siedział w swoim pokoju, w niewielkim hoteliku koło dworca. Przeglądał w skupieniu udostępnioną mu przez wojewódzkiego konserwatora zabytków dokumentację. Wykopy warstwy kulturowe, ślady osadnicze. Zabezpieczone elementy dekoracyjnej kamieniarki. Wśród nich był kamień przypominający łapę niedźwiedzia. Na karcie dokumentacyjnej podany był numer inwentarzowy. Herberto przepisał go sobie do notesu z zamiarem sprawdzenia później jak to wygląda w rzeczywistości. Teraz bardziej ciekawiło go, co innego. Źródło dziwnego niepokoju zmieniło swoje położenie. Obecnie woń zła dobiegała go bardziej z południa. Nie mógł jednak precyzyjnie określić ani kierunku, ani jej natury. Zmysły, w które wyposażone było jego ciało, nie nadawały się do tego celu. Musiał posłużyć się czymś innym.

Z torby podróżnej wydobyl strzykawkę, igłę oraz buteleczkę pełną czegoś. Napis na buteleczce był całkowicie niewinny. Zawartość do napisu miała się tak jak pięść do nosa. Naciągnął trzy centymetry sześciennie i położywszy się na kozetce, wstrzyknął sobie zawartość. W oczach momentalnie mu zmętniało. Mózg otworzył się, a w chwilę

później egzorcysta opuścił swoje ciało, udając się na astralną wędrówkę. Wyprysnął do góry jak świeca. Znalazł się wysoko nad miastem. Popatrzył na południe. Nad górą w pobliżu Uchań unosił się słup czarnego światła. Postarał się wyostrzyć nieco wzrok, ale nie udało mu się to. Obawiał się zbliżyć do słupa. Ciało astralne było dość podatne na magiczne uszkodzenia.

Zamiast tego postarał się wsłuchać w rytm życia miasta. Każde skupisko ludzi jest jak wielkie serce. Bije pewnym rytmem generowanym przez ludzkie myśli i uczucia. Są zdrowe miasta, gdzie rytm jest czysty i mocny. Są chore miasta, gdzie żyją źli ludzie. Większość miast, w których rytm wsłuchiwał się podczas astralnych wędrówek, miała bardzo chore dusze. Tu nie było nawet tak źle. Ludzie mieli dobre myśli. Ale było coś jeszcze. Puste przestrzenie pod miastem odbijały rytm, zniekształcając go w chore zawodzenie. Myśli wracały do ludzi skrzywione. W lochach coś było. Zagłębił się pod ziemię.

Atmosfera tam panująca była po prostu straszna. Powietrze naładowane zostało kiedyś nienawiścią, która teraz parowała do góry, między żywych. Nienawiść wciskała im w ręce noże i siekiery i butelki wódki. Postarał się zbliżyć do jej czarnych źródeł. Promieniowała z niewielkiego pomieszczenia w bocznym ciągu galerii. Jej źródłem był szkielet człowieka w resztkach munduru i papasze na głowie. Drugie źródło znajdowało się tuż obok. Nienawiść promieniowała od przeszło trzydziestu szkieletów. Fale jednej i drugiej złości interferowały to wzmacniając się, to słabnąc. Ciało astralne zaczęło niszczyć. Musiał opuścić to miejsce. Przeniósł się w inny korytarz. Tu także coś było. Ukryło się przed nim w ścianie. — Kim jesteś? — zapytał.

Coś ukrytego w ścianie nie udzieliło mu odpowiedzi. Wciskało się głębiej. Aż wreszcie kontakt zerwał się. Wyprysnął na powierzchnię ziemi. Wiedział już dużo, ale ciągle był w nim głód wiedzy. Postanowił odszukać człowieka, którego minął w parku. Przeszukiwał miasto. Nie znalazł. Zdziwiło go to. Czuł, że ten dziwny osobnik jest tu w jakiś sposób przypisany. Odłamki jego myśli tkwiły w murach domów, w korze drzew, w postaci plam paskudziły chodniki. Na niewielkim placu u zbiegu dwu ulic, znajdowała się bardzo stara plama krwi. Koło niej na ławeczce leżał jakiś starzec. Był martwy. Obok niego stał jakiś młodzieniec i milicjant spisujący protokół. Po chwili nadszedł także lekarz. Umysł nieboszczyka jeszcze pracował. Czaszka odbijała echo jego myśli. Myśli, które miał na chwilę przed śmiercią. Myśli wiązały się z tamtym człowiekiem. Płonęły zimnym błękitnym płomieniem nienawiści. Jak spirytus. Jak spirytus oszałamiały stojących wokoło. Milicjant miał ochotę spałować młodego Niemca. Lekarz miał ochotę zaprzestać prób reanimacji. Młody Niemiec chciał mieć w kieszeni rewolwer i zastrzelić tych dwu nedorajdów.

Ciało fizyczne ściągnęło jego duszę z powrotem. Wrócił. Otworzył oczy. Ciało pokryte miało kropelkami krwi, które przeniknęły przez skórę. Zdarzało mu się to i wcze-

śniej. Za każdym razem był potem chory przez kilka dni. Poczł zniechęcenie. Nie do-
wiedział się właściwie nic ciekawego, a stracił znaczną część swoich sił żywotnych. Sił,
które musiał oszczędzać na ostateczną rozgrywkę.

* * *

Zmierzchało się już. Właśnie w tym momencie, w którym Jakub czarował na swoim
podwórku, posterunkowy Birski wszedł w opłotki gospodarstwa, w którym od siedem-
dziesięciu lat mieszkał Semen Korczaszko. Rozejrzał się dookoła. Nic ciekawego nie wy-
patrzył. Podeszedł do drzwi i zapukał. W tej chwili poczuł, że za jego plecami stoi czło-
wiek z siekierą w ręce. Wrażenie to potęgował cień, który zachodzące słońce rzucało na
ścianę. Odwrócił się. Za nim istotnie stał jeden z wnuków, a może i prawnuków gospo-
darza. I faktycznie trzymał siekiere w ręce.

— A ty, tu co? — zapytał. — Zachciało się aresztować dziadka?

Sadząc po wyrazie jego twarzy, gotów był natychmiast użyć siekiery, gdyby otrzymał
odpowiedź twierdzącą.

— Ależ uchowaj Boże — zaprotestował Birski. — Wręcz przeciwnie, chcemy go po-
prosić o pomoc w wyjaśnieniu takiej jednej paskudnej sprawy.

— O co go oskarżacie?

Głos wnuka ociekał nienawiścią. Siekiera ciążyła mu już trochę, więc przełożył ją do
drugiej ręki.

— Ależ o nic. Chcemy go prosić o pomoc, bo dobrze zna się na koniach.

— Pomówię z nim. Proszę tu zaczekać.

Wszedł do domu. Wyszedł po chwili.

— Dziadek prosi.

Posterunkowy nigdy wcześniej nie był w domu Korczaszków toteż to, co zastał
we wnętrzu, zaskoczyło go całkowicie. Weszli do sieni. Nad drzwiami prowadzącymi
w głąb domu, znajdował się napis po polsku i po rosyjsku.

WKRACZASZ NA TERYTORIUM CARSKIEJ ROSJI.
POWIERZCHNIA 35 m² JĘZYK URZĘDOWY: ROSYJSKI
LUDNOŚĆ: 1
ZAŁÓŻ STRÓJ OCHRONNY

Strzałka znajdująca się poniżej celowała w bok. Koło drzwi wisiało kilka kurtek
mundurowych. Rosyjskich i pierwszej wojny światowej.

— Pan pozwoli — wnuk gospodarza wyciągnął rękę. Milicjant zgłupiał. Zdjął jednak
z siebie mundur i podał. Zaczął odpinać kaburę z pistoletem.

— Broń osobistą może pan zachować. Pan pozwoli, to chyba będzie zbliżony rozmiar. Jest pan oficerem?

— Tak.

Birski wbił się w mundur. Mundur miał epolety i naramienniki. Zapiął drżącymi nieco palcami guziki z carskim orłem. W kącie wisało duże lustro. Staął przed nim i przez chwilę podziwiał swoje odbicie. Tymczasem wnuk przypasał mu szablę. Sam także założył mundur. Siekierę odstawił już wcześniej do kąta.

— Chce pan jeszcze oficerki? — zapytał.

— Nie, dziękuję, Jeśli można zostanę w swoich.

— Ostrogi?

Widok, który widział w lustrze, obudził w nim jakąś dziwną nostalgię. Przez chwilę żałował, że nie urodził się sto lat wcześniej. Mundur był znacznie lepszy niż jego milicyjny, i ładniejszy. Gdyby tak jeszcze przypiąć ordery. Przynieść do domu żołąd w złotych pięćorublówkach...

— Proszę dalej.

W pokoju, do którego weszli, na honorowym miejscu królował piec z pieczką do spania, na której leżał pasiasty materac. Na ścianie naprzeciw drzwi wisił wielki olejny obraz przedstawiający cara Mikołaja. Obraz ozdobiony był jakimś patriotycznymi napisami po rosyjsku. Poniżej wisały dwie skrzyżowane szable kawaleryjskie. Pośrodku stał stół z kaukaskiego orzecha z intarsjowanym blatem. Na blacie umieszczono carskiego orła z czarnego dębu. Paradny mundur, ozdobiony dwoma rzędami orderów, wisił w oszklonej szafce.

Gospodarz w zwykłym mundurze siedział w fotelu, w kącie. Nad jego głową wisało kilka ikon i lampka oliwna. Na widok gościa wstał. To już nie był ten sam stary człowiek, który jeździł konno po okolicy, budząc uśmiechy politowania. Oficer kozacki Semen Korczaszko wstał i zlustrował gościa zimnym spojrzeniem błękitnych oczu. Podszedł, zapiął gościowi patkę. Poprawił ułożenie szabli.

— Chcielibyście wiedzieć się ze mną.

Mówił po rosyjsku. Jego wnuk tłumaczył.

— Mamy taką sprawę. Koło Witoldowa zdarzyło się paskudne morderstwo. Czy pan w swoim życiu widział już człowieka zagryzionego przez konia?

Semen odczekał aż tłumacz skończy przekładać słowa posterunkowego na rosyjski.

— Widziałem — odpowiedział — czy ten zamordowany został zagryziony przez konia?

— Tak nam się wydaje. Lekarz z Chełma będzie tu dopiero jutro rano. Jestem autem...

— Pojadę zobaczyć. Kto zginął?

— Marcin Bardak.

Wyszli z pokoju. Birski z żalem odpiął szablę i zmienił mundur z powrotem na własny. Semen nie przebierał się, za to zaszła w nim zmiana. Już nie był rosyjskim oficerem w swoim własnym państwie o powierzchni 35 metrów kwadratowych. Zaczął znowu mówić po polsku i to prawie bez akcentu. Przygarbił się. Wnuk został na gospodarce, a oni pojechali radiowozem na Witoldów. Zapalono wszystkie lampy, jakie tylko znaleziono w domu i przeciągnięto je na podwórze. Mimo, że słońce już prawie zaszło, powierzchnia ziemi była więc dokładnie oświetlona. Grupa milicjantów z jednostki dochodzeniowo-śledczej z Chełma przeczesywała każdy centymetr kwadratowy terenu. Marcin leżał tak, jak go znaleziono. Ziemia na podwórku zryta była końskimi kopytami jak gdyby szalał tu cały tabun. Właściciel gospodarstwa miał przegryzione gardło. Został zagrzebany bardzo płytko i niestarannie. Semen pochylił się nad ciałem.

— Tak, to zrobił koń.

— Pozostaje jeszcze pytanie, kto go zakopał — zauważył Birski.

Stary kozak pochylił się nad prowizorycznym grobem. Ziemia była mocno zmarznięta i ślady narzędzia, którym wykopano grób, były dość czytelne.

— Koń go zakopał.

— Pan raczy żartować sobie.

— Nie. Proszę zwrócić uwagę. To nie są ślady kopania łopata. Są małe i wyraźnie półokrągłe.

— Może mocno zużyta motyka lub graca?

— Nie, zupełnie nie. O proszę, tu jest nawet odcisk podkowy. A wy co myśleliście?

— Tak szczerze mówiąc, to sądziliśmy, że ktoś przegonił konia po podwórzu, starając się dość nieudolnie zamaskować ślady kopania. Ale koń...

— Obejrzyjcie jego kopyta. Powinny być zapaćkane glebą aż po pęciny.

— Chym, tego...

— Coś nie tak?

— Nie mamy tego konia. Zwiął. Myśleliśmy, że to zabójca go ukradł, ale teraz...

— Znajdzie się. Beż pożywienia nie wytrzyma długo. Trawa jeszcze nie wzeszła, poza tym jest zimno. Skieruje się znowu ku ludziom. Lub padnie. Myślę, że powinniście go szukać w promieniu trzydziestu kilometrów.

— A jak go rozpoznamy, czy to ten?

— Wezwijcie mnie. Widziałem go na targu. Rozpoznam go. Ja zapamiętuję twarze koni tak, jak twarze ludzi.

— No cóż, dziękujemy za pomoc. Odwiozę pana do domu.

— Będzie mi bardzo miło. Może jeszcze pan włączyć sygnał?

— Syrenę na radiowozie? A to, po co?

— Och tak sobie pomyślałem, że żyję już ponad sto lat, a jeszcze nigdy nie wiezli mnie na sygnale.

Birski parsknął śmiechem.

— A ja żyję trzydzieści lat i nigdy jeszcze nie byłem w carskiej Rosji. Pojedziemy na sygnale.

— Dziękuję.

* * *

Monikę obudziły promienie słońca padające przez okno. Ziewnęła i przeciągnęła się. Poszła do łazienki, umyła się i ubrała. A potem wyszła przed dom. Ranek był cudowny. Było ciepłutko. Jakub niósł właśnie naręcz siana do obórki.

— Dzień dobry — krzyknęła.

— ...bry. Jak się spało?

— Wspaniale dziękuję.

— Zrobisz śniadanie?

— Oczywiście.

Nagle coś ją tknęło. Popatrzyła na wiszący koło drzwi termometr. Było plus piętnaście. Uniosła głowę, aby popatrzeć na niebo. Spostrzegła zdumiewające zjawisko. Dom Jakuba stał wysoko. Miała więc dość rozległy widok. Niebo od horyzontu po horyzont zasnutę było chmurami. Jedynie nad Starym Majdanem w pokrywie chmur ziała niemal idealnie owalna dziura o dłuższej osi około dwu kilometrów. Mimo, że wiał dość silny wiatr, dziura w niebie nie zmieniała kształtu. Pobiegła do obory.

— Dlaczego na niebie widać taki bezchmurny owal? — zapytała.

Jakub odłożył szmatkę, którą polerował Marice kopyta.

— Nie pamiętasz moja droga, że wczoraj to załatwiliśmy?

— Przecież czarów nie ma.

Klaczka zarżała. Jej rżenie dziwnie przypomniało śmiech.

— Bo ja wiem, czy nie ma — zastanowił się obłudnie Jakub. — Ja jednak czasami próbuję i nawet mi to nieźle wychodzi. A ty masz pracę magisterską do napisania. Więc po prostu obserwuj jak ja to robię.

Zjedli śniadanie. Po śniadaniu wyszli przed dom. Bezchmurny owal rozszerzył się już prawie na całe niebo.

— Co chcesz zobaczyć teraz? — zapytał.

— Sama nie wiem. Może coś równie imponującego?

— Dobra. Możemy posłuchać głosów z przeszłości. Ale to nie tutaj. Trzeba by do Wojsławic. I to prawie nigdy nie wychodzi. Albo mogę ci pokazać jak się załatwia wampir.

— Wampiry?

— Aha. Dużo tego tutaj. Na austriackim cmentarzu. Choć tam wolałbym się chwilowo nie pokazywać. Gliny są wyjątkowo nieuświadomione. Ostatnio ganił mnie nocą po lesie.

W tym właśnie momencie Semen przeskoczył na swojej klaczce Karolinie przez płot. Zsiadł z gracją z siodła.

— Dobry.

— Dobry. Co cię sprowadza tak rankiem?

— A zajechałem po moje pół litra.

— Jakie pół litra? — zaciekawił się Jakub.

— Pamiętasz jak przedwczoraj na targu założyliśmy się, że będą problemy z tym koniem, którego kupił Bardak?

— No pamiętam. I co, są problemy?

— Nu. Będą go jutro grzebali.

— Konia?

— Ni. Jego. Cosik mu głowę odgryzło. Zgaduję, że ten sympatyczny ogierek. A potem jak to w kozackiej balladzie. Wyskrobał kopytkiem grób swemu panu. Gdybyś wcześniej skończył zimę — zazezował na zatarte już znaki na ziemi — to mógłby go głębiej zakopać, a tak od razu niemal znaleźli.

— A koń?

— Zwiął. I Bóg z nim. Mam nadzieję, że go nie złapią.

— Dlaczego? — zdziwiła się Monika.

Semen zamyślił się.

— Koń też ma prawo do zemsty. I do samoobrony — powiedział w zadumie. A temu facetowi należało się. Ta szkapa poprawiła nasz błąd. Jego ojca trzeba było w wojnę zabić albo wykastrować. Zostało wprowadzić jego dwu braci, ale może i ich wreszcie dosięgnie przeznaczenie.

— To nieładnie tak złorzeczyć bliźniemu — zauważyła.

— Skąd wzięłaś tą miłą kicię? — zapytał Jakuba.

— Przybłąkała się — wyjaśnił egzorcysta. — No to przygarnąłem. Jeszcze by zamazała w polu.

Staruszek roześmiał się wesoło.

— A tak naprawdę? Ugadałaś sobie miastową dziewczynę na służącą? Przecież to za zwyczaj szło odwrotnie. Dziewczyna ze wsi szła do miasta na posadę. Jeszcze pamiętam te czasy.

— Píše pracę naukową o mnie.

— Panienska z historii? — zapytał.

— Nie, z socjologii.

— Też ładnie. Ale praca z historii byłaby lepsza. Nasz drogi Jakub był w bandzie...

— W oddziale!

— ...w oddziale Wypruwacza.

— Nie słyszałam.

Uśmiechnął się, lekko odsłaniając garnitur złotych zębów.

— Może to i lepiej dziecko. Dzięki temu możesz spać po nocach.

— Hym! Mam już dwadzieścia lat.

— Wszyscy jesteście tacy sami. Jakub też nie może zrozumieć, dlaczego przez całe życie traktuję go jak smarkacza. A ja mam prawo. Gdy się urodził, ja miałem już tyle lat, że mógłby być moim synem. Ty jesteś od niego ponad trzy razy młodsza, a ode mnie pięć. A nasze drogie koniki w ogóle się nie liczą. Żyją tak krótko... Aż szkoda mi ich.

Karolina otworzyła pyskiem skobel i wypuściła Marikę z obórki. Obie klaczki zaczęły przekomarzać się ze sobą, rżąc. Semen patrzył na nie przez chwilę pobłaźliwie.

— Są jak małe dziewczynki — powiedział. — Zaplećmy im ogony w warkoczce i wplećmy wstążki w grzywy, a będą się cieszyły do wieczora.

Usiedli na ławce.

— Dlaczego wy tak lubicie konie? — zapytała.

— No cóż, może ty jako przyszła socjolożka wyjaśniłabyś nam to lepiej — zaczął Jakub, ale Semen mu przerwał.

— Konie są najlepszym żywym dowodem na istnienie Boga.

— Dlaczego?

— Pomyśl, czy z nieożywionej materii mogłoby powstać coś tak doskonałego jak one, gdyby nie stały za tym jakieś wyższe siły? Przecież to niemożliwe. Sama zobacz, jakie one są ładne. A co do inteligencji, to znam wielu ludzi, nawet w tej okolicy, którzy mogliby im polerować kopyta, bo do niczego, do żadnych wyższych celów nie są predysponowani. Gdy, chym... jakieś osiemdziesiąt lat temu studiowałem w Petersburgu geologię dowiedziałem się jeszcze o czymś. Czy wiesz, skąd wzięły się konie. Ewolucyjnie?

— Nie wiem.

— Paleontologia była wówczas w powijakach, ale nasz wykładowca prowadził własne badania. Później to sprawdziłem i okazało się, że miał rację i nauczył nas wszystkiego tak, że nie trzeba teraz specjalnie poprawiać, zmieniły się tylko niektóre datowania. Tak więc siedemdziesiąt milionów lat temu żyło zwierzątko nazywane Eohippus, czy jakoś podobnie. Było wielkości psa i biegało po drzewach, jedząc liście. Miało pięć chwytnych palców u nóg. Z przeciwstawnym kciukiem. Tyle tylko, że potem zeszło na ziemię i zamieszkało na sawannach. I palce przestały być mu potrzebne. A szkoda. Jeśli dzisiejsze konie są tak mądre, to gdyby mogły sporządzać sobie narzędzia, to pewnie dzisiaj byłyby gatunkiem dominującym na tej zakichanej planecie. Zbudowałyby cywilizację znacznie lepszą niż nasza. Może konkurowalibyśmy między sobą jako dwa ga-

tunki istot rozumnych. Ale ktoś im kazał zejść z drzewa, abyśmy mogli narodzić się my. Ustąpiły nam miejsca. Za to miały zostać naszymi przyjaciółmi. Ale ludzie wszystko spartolą. Konie stały się naszymi niewolnikami.

— Te chyba nie narzekają.

— Te nie. To już dwa. Dwa do ilu milionów? Chcesz się przejechać?

— A mogę?

— Konie nie gryzą. To znaczy mogą gryźć i kopać, ale tego można nauczyć się unikać. Karolina!

Klacz podbiegła truchcikiem.

— Widzisz jaka grzeczna.

Podniósł siodło rzucone pod ścianę, założył jej na grzbiet i zacisnął paski. Założył cugle.

— Wsiadaj kicia.

Dziewczyna wsiadła. Dał jej cugle do ręki.

— Kierujesz tak jak radzieckim buldożerem. Chcesz w lewo, ciągniesz w lewo za pasek. Chcesz w prawo, ciągniesz w prawo. Ściskasz kolanami, idzie do przodu. Wio.

Klacz ruszyła naprzód. Dziewczyna usiłowała skrócić w lewo. Klacz zignorowała jej wysiłki.

— A jeśli nie chce skręcać? — zapytała.

Obaj starszycy skręcili się ze śmiechu.

— Jak się z tego schodzi? — pisnęła.

— Przerzuc nogi na jedną stronę i zsuń się na ziemię — doradził jej Semen życzliwie.

— Boję się!

— Karolina, ranny — zawołał.

Klacz położyła się na ziemi jak wielbłąd. Studentka zlazła pośpiesznie i odeszła kawalek. Semen podszedł do niej. Klepnął klacz po szyi. Wstała. Otrzeptał ją z piachu i odpiąwszy siodło, rzucił je na miejsce.

— To nie jest takie trudne — powiedział. — Ale konie są sprytne. Koń wyczuwa, czy ktoś siedzi na nim po raz pierwszy, czy też ma jakąś wprawę. Początkujących traktuje tak jak ciebie. Nie reaguje na polecenia, zrzuca. Łapie zębami za stopy. Zaczynij od Mariki. Ona jest bardziej posłuszna, podczas gdy moja Karolina rozpuściła się jak dziadowski bicz. Nie mam jednak serca przywoływać ją co chwila do porządku. Zresztą, gardła też szkoda. Pewnie przeżyje mnie. Myślałem, że nigdy już nie kupię sobie konika, ale wychowałem ją od małego. To tak jak z piskiem. Trzeba zabrać źrebaka klaczy i zastąpić mu rodziców. To okrutne. Takie jak nasz świat. Nie chciałem, żeby miała źrebięta. Nie wykarmiłbym teraz dwu koni, a odbierać jej dziecko, sama rozumiesz.

— Chyba tak.

— Ma przyjaciółkę — powiedział w zadumie, patrząc na Marikę. — To jej musi wystarczyć.

Wrócili na ławkę.

— Jak będzie z moim półlitrem? — zapytał.

Jakub poderwał się rażno z ziemi.

— Zaraz dostarczę.

Przeszli do sadu. Kłapa bunkra była pokryta darnią. Podniósł ją, jakby podniósł kawałek łąki. Na wiosnę, gdy trawa była dłuższa, na próżno ktoś niewtajemniczony mógłby jej szukać. Zlazł po drabinie w dół i po chwili wrócił niosąc butelkę pełną mętnej cieczy burego koloru. Semen odkorkował i powąchał.

— Ten bimber skróci człowiekowi życie o pięć lat — zawyrokował. — Nie sądzę, żeby ci się chciało grzebać mnie za minutę.

— Ty, Semen pociągniesz jeszcze minimum dychę.

— Dobrze by było.

— Słuchaj, od trzydziestu lat nie widać, żebyś się zmieniał.

— Za to ja widzę, jak drzewa na cmentarzu, gdzie kiedyś była polana, stały się tak grube, że z trudem je obejmuję. A pamiętam, jak je sadziłem. Jest takie przysłowie. Poznałem je w czasie służby na Kaukazie w dwunastym roku. Przysłowie jest gruzińskie. „Chciałbym cię kiedyś widzieć w trumnie z tego drzewa, które własną ręką zasiałem”. Ja mógłbym pochować w takich trumnach połowę Wojsławic. Pamiętam jak różni ludzie rodzili się, a potem umierali. Umierali w podeszłym wieku. Przeżyłem pięć pokoleń mieszkańców tej osady. I nie po to, by skonać od nieoczyszczonego bimbru.

— To będzie lepsze? — Jakub podał mu następną butelkę.

Gość przeświecił ją pod światło, odkorkował i pociągnął niewielki łyk.

— Ujdzie. Daj kieliszki. Chyba trzy, chociaż dzieciom nie należy dawać alkoholu. Gdy byłem młody...

— To było sto lat temu — zaprotestował Jakub i zachichotał.

— No to, co?

— Tempom mutantur et nos mutantur ab ilis — zacytowała Monika.

— Czasy się zmieniają, niestety na gorsze — zauważył ze smutkiem Semen. Za moich czasów dzieci były grzeczniejsze, a i znajomość łaciny wykorzystywały do innych celów.

Po drugim kieliszku złagodniał nieco.

— Ale są i dobre strony nowych czasów — powiedział.

— Na przykład? — zaciekał się Jakub.

— Telewizja. Radio. A i gazety są lepiej drukowane, choć swoją drogą to w carskiej Rosji były ciekawsze.

Gdzieś w oddali zawył silnik motocykla. Dźwięk zbliżał się. Zaraz potem na podwórze wjechał Tomasz na motorze.

— Dobry.

— Dobry. Strzelisz sobie jednego?

— Nie, jestem motorem.

— To mój motor, więc nie przejmuj się.

— Tak, ale gliny nie są twoi, a i życie należy się mnie, bo sam je sobie hoduję. Jakub, jest sprawa do ciebie.

— Znowu na Zarowiu?

— Aha. Tym razem pogryzło Marka Łysenkę. Obudził się rano, a cała poduszka zachlapana była krwią. Dobrze, że udało mu się zatamować jakoś. Dziabnęło go w kark.

— Jedziesz z nami? — zapytał Jakub Semena.

— Nie, muszę wracać na obiad. Ale później wpadnę.

— Tomasz, weźmiesz Monikę do przyczepki.

— A ona, kto?

— Moja nowa asystentka. Z uniwersytetu. Będzie nam pomagać jakiś czas.

— Aha. Miło mi poznać. Tomasz jestem.

— Monika.

Semen pognął do Wojsławic na skróty, przez pola. Oni pojechali przez Witoldów i potem koło cegielni na Chełmską. Koło domu Suwałuka odbili od drogi i pojechali przez łąki koło kółka rolniczego. Koło cmentarza wyjechali na pola i niebawem byli na Zarowiu. Marek przywitał ich na progach. Był błądy i trzymał się ręką za kark. Przywitali się. Tomasz został na podwórku, a Jakub z Moniką weszli do środka.

— Bierz swój kajet i notuj spostrzeżenia — powiedział.

Położył rannego na łóżku i zerwał prowizoryczny opatrunek. Wyjętą z kieszeni linijką zmierzył odstęp pomiędzy rankami. Zamyślił się.

— I co? — zapytał leżący.

— Raczej nie ma wątpliwości.

— Zapłacę, niech pan tylko się rozprawi z tym tałatajstwem.

— Próbowałem dwa dni nazad.

— Słyszałem. Gliny całą noc przetrząsali las.

— Zabierzemy się za to zaraz. Pożyczymy łopaty i spróbujemy się dobrać do łobuzów. Notuj spostrzeżenia: — zwrócił się do dziewczyny — Rany klute o równych brzegach głębokości około dwu centymetrów. We krwi obecność środka zapobiegającego krzepnięciu, zapewne jakiegoś enzymu.

— Zanotowałam.

— No to chodźmy przerobić rzecz w praktyce. Wzięli cztery łopaty i poszli na cmentarz.

— No, jeśli się Birski dowie, to mi z dupy nogi powyrywa — zauważył Marek.

— Spoko. Na nas pomyśli — uspokoił go Jakub.

— Co chcecie zrobić? — zaciekała się.

— Na wampiry jest tylko jedna metoda. Stanęli na cmentarzu. Panował tu spokój i cisza.

— Szukamy dziury w ziemi — powiedział Jakub. — Takiej, żeby precyzyjnie się nietoperz. Zwłaszcza koło grobów.

Monika skrzywiła się, słysząc takie zabobony. Ale posłusznie zaczęła się rozglądać. Reszta też bobrowała pomiędzy kopcami znaczącymi miejsca zbiorowych grobów.

— Jest — powiedział Marek.

Nachylili się nad dziurą w ziemi. Dziura miała jakieś dziesięć centymetrów średnicy. Jakub wydobył z ceratowej teczki latarkę i zaświecił.

— Nu, ciekawe — powiedział. — Dawajcie łopaty. Dziewczyna odsunęła się i rozszereżonymi ze strachu i zdumienia oczyma przypatrywała się kąpiącym mężczyznom. Dół pogłębiał się dość szybko. Nagle Jakub wydał z siebie ostrzegawczy okrzyk i zaczął wypychać ich gwałtownie z dołu.

— Wszyscy do tyłu — krzyknął.

Cofnęli się. Nachylił się nad wykopem. Na jego twarzy odbiła się konsternacja. Monika oderwała się od drzewa i podeszła.

— Cofnij się! — rozkazał.

Cofnęła się posłusznie. Jakub wyskoczył z dołu.

— Tomasz...

— Tak.

— Byłeś w saperach.

— Tak jest.

— Czasowy zapalnik.

— Za szybko mnie wypchnąłeś, nie zauważyłem szczegółów.

— Piętnaście sekund?

— Minimum.

— Dobra. Padnij. Panno Moniko. Zapraszamy na ziemię.

Położyła się posłusznie. Leżeli i czekali.

— Co się stało? — zapytała wreszcie.

— Zaraz rypnie... — zaczął Jakub.

W tym momencie rypnęło jak diabli. Ziemia uniosła się do góry i pękła. Przysypało ich gradami. Jakub poderwał się pierwszy. Podbiegł do dziury i zajrzał do środka.

— Muszą leżeć głębiej — powiedział. — Znikajmy stąd — popatrzył na asystentkę.

— Tu w wojnę partyzanci chowali broń i amunicję — wyjaśnił.

Wybiegli z lasu i puścili się szybkim marszem w stronę gospodarstwa Marka. Marika stała przy płocie i patrzyła zaniepokojona na drogę.

— Wszyscy żyjemy — uspokoił ją Jakub. — Panno Moniko, proszę wsiadać do przyczepki. Lepiej żeby nas tu nie zastali. Wrócimy w nocy — uspokoił Marka.

Gdy mknęli drogą przez las, usłyszeli syrenę jadącego przez pola radiowozu.

— Teraz to dopiero Birski będzie wściekły — zauważył Tomasz spod kasku.

— Co to właściwie było? — zapytała.

— Mina z opóźnionym zapłonem. Wykopujesz taką, myślisz że nic się nie stało, odkładasz na bok i dopiero wtedy bum.

Skręcili w Krasnystawską. Byli już koło kapliczki, gdy dogonił ich radiowóz. Zajechał im drogę. Wsiadł z niego Birski. Skrzywił twarz w uśmiechu.

— No cóż, panie Wędrowycz. Przyłapałem wreszcie pana razem z pańskim zdobyczym motorem.

— Moim motorem? — zdziwił się Jakub. — Gdzie pan tu widzi jakiś mój motor? Przecież siedzę na koniu. I nawet specjalnie na pana cześć jestem absolutnie trzeźwy.

Birski skrzywił się. Podszedł do motocykla. Popatrzył na tabliczkę rejestracyjną.

— Obywatelu Cieśluk. Proszę okazać prawo jazdy.

— Proszę — podał mu wymięty nieco dokument.

— To pański motor?

— Jasne. Bo to pierwszy raz mnie pan na nim widzi?

— Chym, gdy widziałem was na nim obywatelu wczoraj, to była to Jawa i to do tego pozbawiona przyczepki.

— Przemalowałem. A przyczepka jest pożyczona.

— A ta kicia?

— Czy wszystkim w tym mieście rozdali ten sam tekst — zdenerwowała się. — Gdzie się nie ruszę, to słyszę, że jestem kicia. Jak w takim razie nazywacie swoje koty?

— To moja córka — wyjaśnił Jakub. — Jak to się mówi, z nieprawego łoża. Przyjechała właśnie w odwiedziny i pokazywałem jej okolicę.

— A może raczej podstawowe źródła dochodów, czyli okoliczne cmentarze?

— Wypraszam sobie. Nie jestem hieną cmentarną. Jestem egzorcystą. Mam na to zaświadczenie wydane przez Polskie Towarzystwo Psychotroniczne!

Birski zamachał ręką.

— Tak, wiem. Możesz się nim podetrzeć. Zapytam inaczej. Czy to wy byliście dwadzieścia minut temu na austriackim cmentarzu?

— Coś pan. W życiu nie włączyłem się o tej porze roku po cmentarzach.

— A co, ziemia za zimna i można się nabawić artretyzmu palców?

— Pominę milczeniem pańską wysoce obraźliwą uwagę. Chcemy kontynuować naszą wycieczkę.

— Jedźcie w cholere. Ale ja was jeszcze złapie kiedyś na gorącym uczynku.

— No to życzę powodzenia.

Pojechali. On też zawrócił w stronę wsi. Meł w ustach przekleństwa. I nawet miał powody.

Rozdział VI

Holmes i oficer kontrwywiadu o mordzie pitekantropa weszli do celi w areszcie w Chełmie. Dla kamuflażu mieli na sobie milicyjne mundury. Zresztą, naczelnikowi aresztu też podali się za wysłanników komendy głównej. W celi siedział tylko jeden mężczyzna.

— Józef Romański? — zapytał pitekantrop.

Więzień podniósł na nich wodnistobłękitne oczy. Na widok małpoluda w milicyjnym mundurze szarpnęło nim do tyłu.

— Jezu — wymamrotał. — To już tak źle, że trzeba z goryli uzupełniać kadry?

Oficer parsknął, obnażając spiczaste kły.

— Licz się ze słowami — warknął gardłowo.

Aresztant leciutko pobladł.

— Tak jest.

— Jesteś Józef Romański?

— Tak.

— Z zawodu kamieniarz, zatrudniony ostatnio przy wykonywaniu kamiennych detali architektonicznych w Lublinie, aresztowany za przemyt średniowiecznej rzeźby ze Związku Radzieckiego do Polski? Wydany nam przez Ruskich. Wyrok pięć lat więzienia, czekasz na uprawomocnienie się wyroku.

— Tak jest.

— Chcesz dostać wyrok w zawieszeniu?

— O tak! Co mam zrobić? Załatwić jeszcze jedną taką rzeźbę?

Obaj funkcjonariusze demonstracyjnie zatkali sobie uszy.

— Z nami — polecił pitekantrop.

Wyszli na jedno z wewnętrznych podwórek. Stała tu wielka bryła kredy. Na pieńku do rąbania drewek obok leżały dłuta i młotki.

— Zadanie dla ciebie jest takie. Masz wykuć z tej bryły posąg niedźwiedzia. Posąg musi wyglądać na prasłowiański. Rozumiesz?

— Jasne. Zawsze bardzo lubiłem zabytki.
— No to do roboty. Masz czas do rana.
— Do rana? — zdenerwował się więzień. — A jeśli nie zdążę?
— No to posiedzisz pięć latek. I już my się postaramy, żeby zapominano cię przy okazji wszystkich amnestii i żebyś nie wyszedł za dobre sprawowanie przed czasem.

Więzień splunął ponuro.

— Zrobi się — powiedział. — Niedźwiedź ma być stojący czy siedzący?

— To ty jesteś fachowcem od starożytnych zabytków. Zrób takiego, który będzie wyglądał autentycznie.

— Potrzebowałbym jeszcze, chociaż zdjęcia jakiegoś misia. Skąd wezmę proporcje?

Holmes wyłowił z kieszeni srebrną monetę dziesięciojuanową z wizerunkiem pandy, którą dostał kiedyś na raucie w ambasadzie ChRL.

— Do zwrotu — zastrzegł.

— Ale to panda, a nie niedźwiedź — zaprotestował artysta.

— Zamknij się — warknął Małpiasty — bo wrócisz do celi. Pracował całą noc, klnąc pod nosem z nienawiści do głupich gliniarzy i ich zachcianek. Ale im był bliżej końca pracy, tym lepiej się czuł. Pięć lat wolności nie chadza piechotą. A gdy wstawał świt, nawet fakt, że od ciężkiej pracy popękały mu ręce, nie martwił go już. Trzymanie śliskiego od krwi młotka i ból przy każdym uderzeniu dłuta warte były tej ceny. A rano Herberto znalazł na drzwiach pokoju kartkę:

Posąg, przedstawiający niedźwiedzia, znajduje się na prawosławnym cmentarzu na Górcie.

Życzliwi.

Ale był zbyt osłabiony po astralnej wycieczce, aby móc to sprawdzić.

* * *

Kuropatwa przysiadła nad rozsypanymi na polu koralikami. Przyglądała im się przez chwilę, a potem dziobnęła jeden z nich. Jakub, leżący w pobliskich krzakach, uniósł procę i wystrzelił ołowianą kulką. Ptaszek padł. Kłusownik podbiegł do niego i ukręciwszy mu łepkę wepchnął do niedużego worka. Właśnie zamierzał zabrać się do domu, gdy poczuł, że ktoś go obserwuje. Uniósł głowę. Kawałek dalej siedział w powietrzu staruszek o złośliwych oczkach.

— No i spotkaliśmy się wreszcie — powiedział.

— Iwanów? Iwan Iwanowicz?

— Zgadza się. Widzę, że słyszałeś o mnie.

- Słyszałem.
- Wobec tego myślę, że możemy się dogadać.
- Źle myślisz. Wynoś się z tej ziemi. Ta dolina jest pod moją opieką.
- Stale ostatnio słyszę tą śpiewkę. Ale ja nie słucham żądań byle, kogo. Ten — Który
- Zna — Miód posłał mnie z pewną misją.
- Ten-Który-Wie-Gdzie-Jest-Miód? Jeh Bohu! Miedwied. Jesteś kapłanem Niedźwiedzia z Chełma.
- Zgadza się. Jesteś ze mną czy na mnie?
- Przeciw tobie.
- To bardzo niedobrze. Widzisz, zawsze mam ten sam problem. Przybywam do miasta zmęczony i z miejsca muszę toczyć walkę. I dotąd przegrywałem. Dlatego muszę znaleźć miejsce, aby się wzmocnić. Wybrałem sobie Uchanie i chatę Karwowskiego, ale ty go zabiłeś już dobrych parę lat temu.
- Nikogo nie zbijałem. Zmarł na skutek zbyt wysokiego stężenia bimbrowe w krwi.
- Można to tak określić. Ale bimber miał ponoć od ciebie.
- Kto tak mówi?
- Wszystkie wróble o tym ćwierkają. Nieważne. Zatrzymam się w Wojsławicach.
- Nie zgadzam się.
- Nie zamierzam pytać cię o zgodę.
- Wykurzę cię.
- Powodzenia. Ale raczej ci się to nie uda.
- Pożałujesz, że w ogóle się tu pokazałeś. — A ty pożałujesz, że stanąłeś na mojej drodze. Pstryknął palcami. Jego postać zniknęła, a za to, choć nie w tym samym miejscu, pojawiły się dwa paskudnie brudne wilczury. Wyszczrzyły zęby i warcząc, zaczęły się zbliżać.
- Jakub wyjął z kieszeni swoją procę i nabił ją wyciętą z blachy gwiazdką. Widział takie na jednym filmidzie o Ninjach; na video, gdy niedawno przy świętach odwiedzał syna w Warszawie. Wystrzelił. Pierwszy pies, trafiony między oczy, wyzionął ducha. Drugi skoczył, otwierając paszczę. Dłoń egzorcysty wystrzeliła do przodu i psisko nadziało się na nią. Sięgnęło do połowy ramienia. Jakub rozprostował palce w psim żołądku i złapałszy za coś miękkiego, ścisnął z całej siły. Pies zaskomlał przeraźliwie. Skomlenie wypadło dość nieszczególnie, bo cały pysk wypełniony miał ręką tego człowieka, którego miał zagryźć. Zaraz potem druga ręka wyłowiła z cholewy buta bagnet i pies zakończył swoje życie. Pogromca zarzucił go sobie na ramię i ruszył w stronę pobliskiego domu.
- Będzie cielęcinka na kolację — powiedział do osłupiałej dziewczyny, rzucając psa na ziemię.
- Pan zwariował.

— Dlaczego? — zdziwił się. — Jeśli nie chcesz, to dla ciebie są kuropatwy. Trochę wychudzone przez zimę, ale powinny być pożywne.

— Pan naprawdę chce go zjeść?

— Oczywiście. To bardzo dobre mięsko. Nie chcesz spróbować?

— Nie, dziękuję!

Wypatroszył zręcznie wilczura. Sadło zebrał osobno do rondelka i postawił na piecu, aby się stopiło. Resztę pociął na spłachetki i uwędził w niewielkiej wędzarni za domem. Wnętrznosci zakopał.

— Tłuszcz stopił się — zawołała Monika z wnętrza domu. — Co zrobić z tym paszkodztwem?

— Zbierz wierzchnią warstwę i wyrzuć, a resztę przelej do słoików. Przyda się.

— Nie wiem, do czego. Chyba, że do smarowania osi wozów.

— No, co ty. To znakomity środek na wszelkie choroby. Na zapalenie płuc najlepszy. A i gruźlicę można tym wyleczyć. Ale tylko łagodniejsze, początkowe stadia. A część sprzedam znachorce z Grabowieckiej. Potrzebuje do leczenia ludzi.

— To macie tu i znachorkę?

— E, partaczka bez poważniejszych osiągnięć.

— Hym, a na ból zęba pomaga?

— A co, boli cię?

— Chyba mi plomba wypadła. Zaczyna. A już za późno, żeby jechać do dentysty do Chełma.

— Wy miastowi macie fatalne zęby. Popatrz na tego Semena. Sto lat, a jeszcze ma połowę własnych.

— A resztę ze złota. Widziałam. Jak on to zrobił?

— Trzeba gryźć korę dębową. Tak raz w miesiącu. Bardzo pomaga, a na ból to znam dobry sposób, ale musi bardzo boleć, żeby się na niego zdecydować.

— No to jeszcze poczekam.

Zjedli suty obiad. Jakub miał gulasz, a dziewczyna dwie kuropatwy. Były nawet całkiem smaczne.

— Z kłusownictwa można się wyżywić? — zapytała, zmywając talerze.

— Nie. Zresztą, ja nie kłusuję. Prawo do polowań w lasach, które tu rosły, nadał mojej rodzinie jeszcze car. Mam nawet na to papiery. Wprawdzie są w archiwum, w Krasnymstawie, bo je nam zabrali po wojnie, ale można iść i poczytać.

— Cara już nie ma.

— Mam prawo. Moi przodkowie mogli polować, to i ja mogę. Wprawdzie lasu też już nie ma, ale póki Wędrowycze będą w tych stronach, będą polować.

— Pan jest ostatnim...

— Nie. Mam syna w Warszawie. Jest mechanikiem samochodowym. I mam wnuka. Przyjeżdża na wczasy w lecie. I też ma żyłkę łowiecką. To u nas rodzinne.

Monika wyobraziła sobie wielopokoleniową tradycję kłusowniczą i uśmiechnęła się lekko. Wieczorem gospodarz wziął konia i zniknął, mówiąc, że wróci koło północy. Pojechał na Zarowie. Zostawił Marikę u Marka, a sam wziął łopatę i pistolet nabity srebrną kulą i poszedł na cmentarz. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak w chwili, gdy go opuścili. W nasypie grobowym ział lej po minie. Zapadał już zmrok. Jakub zaczął kopać. Dół pogłębiał się. Co chwila przerywał kopanie na moment i sprawdzał, czy nie ma w ziemi kolejnych niespodzianek. Zapalił wreszcie latarkę. Był już metr pod powierzchnią nasypu. Zaraz powinna zacząć się warstwa nieboszczyków. Odbezpieczony pistolet trzasnął. Jakub uniósł głowę. Birski kucał na brzegu wykopu z rewolwerem w dłoni.

— No cóż, obywatelu Wędrowycz. Tym razem to już chyba będzie pięć lat. Taka recydywa...

Jakub popatrzył na niego ponuro.

— Pozwól mi, chociaż skończyć to, co zacząłem.

— Co, złotych zębów się zachciało?

— Wie pan, panie posterunkowy, że nie jestem hieną cmentarną. Tu w ziemi są wampiry. Muszę je unieszkodliwić. Potem możesz mnie aresztować.

— Ech, nie.

— Dlaczego nie?

— To niezgodne z przepisami. Wyłaź no z tego dołu. Jakub wyszedł. Milicjant wyjął z kieszeni kajdanki i zatrzasnął je na jednej ręce egzorcysty, przełożył naokoło drzewa i zatrzasnął na drugiej ręce.

— Zaraz, zaraz. Co to za wygłupy? — zdenerwował się Jakub.

— Och, jestem rowerem. Muszę pojechać po radiowóz, a ty sobie poczekasz aż wrócę.

— Mogę iść za rowerem na sznurku.

— Niewygodnie. Tak będzie szybciej.

— Zagryzą mnie, zanim pan wróci.

— Nic ci nie będzie. Wampirów nie ma. Do zobaczenia niedługo.

I poszedł sobie. Jakub wyrzucił z siebie wyjątkowo długie i niecenzuralne przekleństwo. To, co mu się przydarzyło, był to najgłupszy przypadek w całej jego karierze. I mógł być to ostatni przypadek w jego karierze.

— Marek! — krzyknął na całe gardło. — Marika!

Ale ani znajomy, ani koń nie usłyszeli go. Byli zbyt daleko.

Zaklął ponownie. A potem spróbował tak unieść nogę, aby sięgnąć dłonią do buta. Pod jego podeszwę wsunięty miał tak zwany żydowski włos. Cieniutką piłę używaną

przed wojną przez złodziei. Wykonana ze specjalnej stali najwyższej jakości służyła do przecinania krat sklepowych i krat więzień. Była niezwykle ostra. Stalowy pręt można nią było przeciąć w niespełna dwie minuty. Nie mógł dosięgnąć. Miał reumatyzm. Zamyślił się na chwilę, a potem usiadł na ziemi i skrzyżował nogi wokół drzewa. Teraz nie miał już z tym problemu.

Wyciągnął ją ze skrytki. Była cała. Zabrał się za piłowanie jednej obręczy kajdanek. Bransoleta okazała się niespodziewanie twarda. Minęło dobre dziesięć minut, zanim wreszcie wgryzł się w głąb. Dalej poszło już nieco łatwiej, choć nadal przerażająco wolno. Usłyszał, że w ciemności osypuje się ziemia. Coś gramoliło się z grobu. A może tylko mu się wydawało. Stara blizna na dłoni zaczęła pulsować. Zacisnął zęby i piłował rozpaczliwie. Zapadł już całkowity mrok. Cmentarz wypełnił się szmerami i trzaskami. Załopotalo coś. Skrzydła nietoperza. Dziura w ziemi ziała trupim odorem. Z każdą chwilą coraz silniej. Piłował i jednocześnie myślał. To nie mógł być wampir. To było coś innego. U syna widział filmidło o zombie — żywych trupach. Tyle tylko, że tu była Polska, a nie Haiti. Ale było jeszcze coś. Ponura legenda rodem jeszcze z czasów wojny stuletniej. Ghule. Pożeracze trupów. Snujące się po cmentarzach żołnierskich i pobożowiskach. Zapłonęło przed nim dziwne mgliste światło. Popatrzył. Iwan Iwanowicz Iwanów.

— Znowu się spotykamy — powiedział czarownik. — Chyba zrobiłeś kuku mojemu pieskowi.

— Bardzo przepraszam. Mogę ci odkupić.

— Ech, nie.

Kopnął Jakuba po ręce. Piłka upadła na ziemię. Schylił się, podniósł ją i spróbował złamać. Nie dawała się. Odrzucił ją kawałek dalej.

— Będziesz musiał sobie poradzić bez niej — powiedział.

— Dlaczego mi to robisz?

— Może lubię wampiry. A może po prostu nie lubię ciebie. A może jedno i drugie, plus jeszcze coś. Muszę odpocząć i nabrać wprawy w czarach. A to miejsce nadaje się idealnie. Prawie idealnie. Jedynym mankamentem tej okolicy jesteś ty.

— Będę cię straszył po nocach — powiedział Jakub mściwie.

Czarownik roześmiał się i odszedł. Egzorcysta zrzucił but z nogi, a później zaczął się okręcać wokół drzewa tak, aby dosięgnąć rzuconą przez wroga piłę. Udało mu się. Przyciągnął nogę z trudem i znowu zaczął piłować. To coś, co łąziło po cmentarzu, było coraz bliżej. Gdy na moment odwrócił się, dostrzegł coś ciemniejszego od ciemności. Szarpnął głęboko nacięte kajdanki i bransoleta puściła. Złapał włos w zęby i skoczył w bok. To coś z wyciem rzuciło się w miejsce, w którym przed chwilą siedział. Zacisnął dłonie na stylisku łopaty i zadał straszliwy cios. Łopata trafiła w coś miękkiego, a po-

tem wbiła się w rosnące za tym czymś drzewo. Wyszarpnął ją jednym ruchem. Starał się usłyszeć, czy coś się dzieje, pochwycić najbliższy szmer stóp skradających się do niego po ściółce. Usłyszał.

Zadał kolejny straszliwy cios. Znowu w coś trafił, tym razem skutecznie. Coś wydało głęboki nieludzki jęk i rozplynęło się w mroku. Na drodze koło cmentarza zabłysnęły światła radiowozu. Wracął Birski. Jakub zaklął wściekle, wskoczył w krzaki. Wprawdzie logika nakazywała mu natychmiast się ulotnić, ale czuł się odpowiedzialny za tego głupiego gliniarza mimo świństwa, jakie ten wyciął mu dwadzieścia minut wcześniej. Birski wbiegł na cmentarz i rozejrzał się zdezorientowany, szukając swojego więźnia. Widząc, że go nie ma, bluznął stekiem niecenzuralnych słów i wrócił do samochodu. Jakub zaś chyłkiem potruchtał po konia.

— I jak? — zapytał Marek na jego widok.

— Źle. Nic nie działałem. Birski, idiota się wplątał. Przykuł mnie do drzewa i poszedł po samochód. Cholera. Mało mnie nie dopadło.

— Uwolniłeś się?

Pokazał resztki kajdanek wiszące mu na nadgarstku.

— Zawieś czosnek. Jutro spróbuję znowu. Tylko, że ten cholerny gliniarz będzie teraz na mnie czatował. Boże, Ty widzisz taką ciemnotę i dlaczego nie oświecasz tego bałwana?

— Dzięki. Jak mogę się odwdzińczyć?

— Dopiero po robocie. Szkoda, że nie dałem rady dzisiaj.

— Czekaj, przetnę ci może chociaż do końca te bransoletki.

— Tego nie odmówię.

Poszli do szopy. Marek zręcznie przeciął szlifierką kajdanki, podkładając kawałek blachy. Jakub starannie wytarł je szmatką i wsypał do plastikowej torebki.

— Przyda się — wyjaśnił.

Wkrótce potem na swoim koniku jechał do domu. Dojechał do szosy na Chełm i pojechał w stronę Wojsławic. Gdy mijał cmentarz poczuł, że coś mu się przygląda.

— Jeszcze się do was dobiore — obiecał.

Wrażenie przyglądania się zniknęło, tak jak gdyby to coś przestraszone wycofało się. Birski czekał swoim radiowozem na krzyżówkach.

— Dobry wieczór — rzucił kąśliwą uwagę.

— A dobry wieczór.

— A skąd to się wraca? Może z nielegalnych poszukiwań archeologicznych?

— A tak sobie jeżdżę. Cierpię na bezsenność. Pomyślałem, że odrobina świeżego powietrza dobrze mi zrobi.

— Słuchaj Jakub, ty mnie znasz.

— Trudno nie znać ozdoby naszej gminy i dzielnego pogromcy kłusowników, bim-browników i wszelakich innych złoczyńców.

— Dopóki nie złapię cię na gorącym uczynku, możesz czuć się bezpieczny, ale strzeż się. Nawet, jeśli wiek cię uratuje przed odsiadką, to ja się postaram, żeby obrzydzić ci życie. Będą grzywny i inne takie. Ty się starzejesz. Nie jesteś już taki sprytny jak pięć lat temu, gdy obejmowałem tu służbę. A z czasem będzie coraz gorzej.

— Zapewne tak. A swoją drogą to mało brakowało, a tłumaczyłby się pan, dlaczego mój trup znaleziony na cmentarzu ma kajdanki na rękach.

— Hym?

— Wampiry przyszły. Na szczęście uwolniłem się.

— Oddaj chociaż kajdanki. To służbowe...

— Proszę — Jakub rzucił mu torebkę.

Birski roześmiał się.

— Wiesz, za co cię posadzę?

— Tak?

— Za niszczenie milicyjnej własności.

— Pańskie słowo w sądzie przeciwko mojemu. To będzie bardzo trudno udowodnić.

— Tu są twoje odciski palców — potrząsnął torebką.

— Obawiam się, że nie. Wytarłem je flanelą. Nie został ani jeden.

Birski zawył. Naraz coś mu przyszło do głowy.

— Są za to na torebce.

— Niewątpliwie. Znalazł pan torebkę u mnie w kubie i wsypał pan do niej zniszczone uprzednio kajdanki. Na torebce są moje odciski palców, co nie czyni dowodu.

Milicjant zaklął.

— Muszę cię dopaść, choćby to była ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu.

— Życzę powodzenia.

— Mam. Kierowanie nieoznakowanym pojazdem. Ten konik nie ma nawet światła odblaskowych o pozycyjnych, nie wspominając.

— Zgadza się. Sanie, fura przyczepa platforma muszą mieć światła odblaskowe. Ale konie nie. To taka luka w przepisach. Nie zacytuję z pamięci stosownego paragrafu. Ale mam w domu kodeks ruchu drogowego. Gdyby pan chciał skorzystać.

Birskiemu wpadł do głowy kolejny pomysł. Wyciągnął z kabury pistolet.

— Rzuć broń — polecił.

— Nie mam.

— Rzuć broń. Rzuć broń.

— Proszę o dodatkowe wyjaśnienia.

— Proste. Muszę trzy razy ostrzec, abyś rzucił broń. Potem oddam strzał ostrzegawczy, a potem postrzelę cię w obronie własnej i postaram się, aby to był nieszczęśliwy wypadek. Aby postrzał okazał się śmiertelny.

— Zaraz, zaraz. Przecież nie mam broni.

— Przepisy milczą o takim przypadku. To taka luka, Jakubie. Muszę ostrzec, oddać strzał ostrzegawczy i mogę strzelać.

— A jeśli rzucę broń, to już pan nie może? — zaciekawiał się Jakub.

— Wtedy nie.

Egzorcysta sięgnął do cholewy buta i wydobywszy z niej nóż, rzucił go na ziemię. Prosto pod nogi Birskiego.

— Rzuciłem broń. Tym samym nie może pan strzelać.

Birski rozpląkał się.

— Ja już nie mogę — powiedział. — Pan panie Wędrowycz jest okropnym człowiekiem.

— No nie rozklejaj się. Milicjant, a beczy. Zagniesz mnie następnym razem.

Posterunkowy otarł oczy.

— Rozmowa z panem to intelektualne przeżycie — wyznał. Jestem szczęśliwy, że tylko pan w tej gminie jest tak inteligentny. Proszę jechać do domu.

— Nie omieszkam się. Jestem już stary i muszę się wysypiać. A odnośnie świateł odblaskowych, to wiszą tam, pokazał gestem.

Na końcu ogona klaczka miała zapiętą spinkę do włosów, na której huśtał się odblaskowy znaczek. Czterolistna koniczynka. Na szczęście. Birski był długo i ponuro. Wył tak przejmująco, że aż pobudzili się okoliczni mieszkańcy. Nie zapalali świateł. Stali za frankami i przyglądali się temu zdumiewającemu widokowi. Pośrodku skrzyżowania stał radiowóz, a koło niego miejscowy posterunkowy, zadartszy głowę, wył do księżycyca. Okoliczne psy podchwyciły jego skowyt. Wkrótce obudziło się pół wsi. Jakub jechał przez pola, śpiewając dziarską pieśń:

Nasza Dunia zabolieta, Zachoteła wodka pit, Na dzieńwiach napisała: Bież pałlitra nie wchodit.

Dojechał do siebie, rozkulbaczył Marikę i zaprowadził ją do stajni. Nasypał jej owsa i przyniósł wiadro świeżej wody. A potem wszedł do domu. Monika już spała. On też zaraz się położył. Obudziło go delikatne potrząsanie.

— Co się stało? — wymamrotał.

— Przepraszam, że budzę tak po nocy, ale strasznie rozboleł mnie ząb. Mówił pan o jakiejś skutecznej metodzie.

— Tak. Ale metoda jest obrzydliwa.

— Nie szkodzi. Byleby pomogła.

— Muszę się ubrać.

Wyszła do kuchni. Po chwili przyszedł. Siedziała na ławie zawinięta w szlafrok.

— Załóż kapcie — poradził. — Musimy przejść się do obory.

— Do obory? Po co?

— Po główny składnik kompresu. Nie bój się, chodź.

Poszli. Noc była chłodna i gwiaździsta. Weszli do stajni. Jakub zapalił światło. Marika, leżąc w stosie słomy i nakryta derką, otworzyła jedno oko i popatrzyła na nich z życzliwym zainteresowaniem.

— Leż, leż — poprosił. — My na momencik.

Patrzył uważnie pod nogi i po chwil podniósł z ziemi koński pączek. Pączek był jeszcze ciepły. Rozłamał go na pół. Monika odskoczyła.

— Co pan chce zrobić?

— To najlepsza metoda. Przyłożyć koński pączek do policzka. Musi być jeszcze ciepły. No nie bój się, później się umyjesz.

— Czy to nie jest jakiś makabryczny dowcip?

— Ależ skąd — wziął chusteczkę jednorazową i owinął w nią cudowny środek.

Dał jej do ręki. Z lekką obawą przyłożyła niezawiniętą stroną do policzka.

— Potrzyj tak ze dwadzieścia minut. Jeśli ból nie przejdzie, to wstawię ci na to miejsce złoty ząb.

— Trzymam za słowo — powiedziała.

— Tylko nie symuluj. Jestem ubogim emerytem.

Roześmiała się. Wrócili do chałupy i zaraz uwalili się spać.

* * *

Noce w Chełmie były zimne i paskudne tej wiosny. Holmes, siedzący w swoim samochodzie naprzeciw hotelu marzył, mimo grubego kożucha. Coś było mocno nie w porządku. Mijała już cała doba, a Herberto nie wyściubił nosa ze swojego pokoju. Nawet jedzenie nosili mu specjalnie do numeru. Ale kontrwywiad miał dużo czasu. Nawet, jeśli szpieg udający duchownego coś knuje, to wcześniej czy później, będzie musiał wyjść. Jeśli majstruje sobie jakieś urządzenie, to będzie je musiał wynieść na zewnątrz. A jeśli nie wyniesie, to będzie je można obejrzyć, gdy sam wyjdzie na miasto. Z uśmiechem potrząsnął pęczkiem wytrychów.

Rozdział VII

Niedziela była ciepła i ładna. Przed kościołem tłoczył się tłum ludzi. Niedziela była świętem. Zapominano o urazach. Nikt nie czatował na nikogo ze sztachetą w dłoni. Pijaczkowie przy konfesjonale przysięgali zmienić się. Niektórzy nawet próbowali. Monety sypały się z cichym brzękiem na tacę. Semen miał dobry dzień. Rzucił srebrnego rubla. Jakub, który stał kawałek dalej, natychmiast odczuł potrzebę zlicytowania przyjaciela. Rzucił na tacę srebrnego kanadyjskiego dolara. Monika rzuciła tylko dwadzieścia złotych z Nowotką. Student jest ubogi i ma suchoty. A na suchoty najlepszy jest psi smalec. Wszystko, co występuje w przyrodzie, dopełnia się wzajemnie. Każde zwierzę jest potrzebne. Jedno daje mleko, z innego można zrobić lekarstwo. Koty też mają swoje zastosowanie. Jeśli do człowieka chorego na raka przykładamy kota, to kot zdechnie, a człowiek wyzdrowieje.

Bóg nie stworzył niczego bez celu. Ciekawe tylko, dlaczego nas faworyzuje do tego stopnia, że nakazał Eohippusom zejść z drzew. Może kiedyś nam to wyjawi. A może odpowiedź kryje się w określeniu „Na obraz i podobieństwo swoje”. Iwan Iwanowicz Iwanów nie zastanawiał się nad tym. Czarował. Rzucił strasznie wymyślny urok na Jakuba Wędrowycza i tą małą cizię, która się za nim płątała. Ciekawe, co taka widziała w tym starym dziadu. Wyszli z kościoła we trójkę. Jakub Monika i Semen. To, co się stało, było zaskakujące. Przed kościołem stali esesmani ustawieni w szpaler z bronią gotową do strzału.

— Co to jest? — zdziwiła się dziewczyna. — Film kręcą?

Ludzie weszli pomiędzy nich. Hitlerowcy zaczęli strzelać. Ludzie padali, ale następni szli naprzód. Wylewali się z kościoła jak rzeka i ginęli.

— Stójcie — krzyknęła przerażona.

To działa się naprawdę. Jakub położył jej dłoń na ramieniu.

— Uspokój się — poprosił. — To złudzenie.

Czar prysnął. Ludzie szli normalnie żywi i cali. Semen wzdrygnął się.

— Brz. Kto to zrobił?

— Tamten — Jakub wskazał Iwana Iwanowicza, który siedział przed księgarnią, ku-
rząc obojętnie „Biełamorkanała”.

— To było złudzenie? — zdziwiła się dziewczyna.

— Oczywiście. Zbiorowe złudzenie.

— Ale, dlaczego tylko my?

— Och, to zupełnie proste. Łatwiej jest coś mocno wmówić kilku osobom niż słabo
większemu tłumowi. Chciał, żebyśmy spróbowali zatrzymać ludzi. Wyszlibyśmy wtedy
na wariatów.

Człowiek na ławce jak gdyby usłyszał ich wymianę zdań, bo rozpląnął się wolno
w powietrzu. Jakub skrzywił się.

— Sprawdźmy, czy siedzi tam nadal? — zapytał bez przekonania.

— Bo ja wiem? — zastanowiła się Monika.

— Chodźmy — powiedział Semen.

Więc poszli. Ławka wydawała się pusta. Ale wokół niej powietrze dziwnie drgało.
Coś nieznacznie zniekształcało perspektywę. Dziewczyna wyciągnęła rękę.

— Nie ręką — zaprotestował potomek kozaków.

Z rękawa wyciągnął krótką nahajkę splecioną ciasno z dwunastu rzemieni. Monika
machnęła nią nad ławką. Trafiła w coś. Iwan Iwanowicz zmaterializował się w oka-
mgnieniu.

— Podłe dziewuszydło — powiedział. — Jeszcze ci za to dam do wiwatu. Muszę
tylko wymyślić jak.

— Może byś się tak wyniół w diabły? — zapytał egzorcysta. — Tu nie kurort wypo-
czynkowy. Mamy dość własnych problemów.

— Z wampirami na przykład — czarownik zachichotał. — To chyba było niezłe?

— Usiłowałeś mnie zabić.

Dziewczyna i starzec popatrzyli zdumieni. Nic o tym nie wiedzieli.

— Dobra, dobra. Odczep się ode mnie. Mam prawo tu być.

— To moja ziemia.

— Chcesz tu nadal mieszkać?

— Owszem, mam taki zamiar.

— Pogadamy o tym jutro. W niedzielę nie wychodzi mi zbyt dobrze czarowanie.

Jakby na przekór tym słowom znowu zaczął znikać. Monika obmacała starannie
ławkę. Była pusta.

— Nie męcz się — powiedział Jakub. — Poszedł sobie już chwilę temu. Rozmawialiśmy
z jego odbiciem.

— Czy pan mi czegoś nie dosypał do wczorajszej kolacji?

— Gdzież bym śmiał. Zresztą, chyba nie jadłaś wczoraj z uwagi na ból zęba?

— To prawda...

— I jak, pomogło? Bo jakoś zapomniałem rano zapytać.
— Pomogło. Od tej pory zawsze będę stosowała ten sposób.
— Jaki sposób? — zaciekał się Semen.
— Pan Jakub polecił mi przyłożyć do policzka końskie g... odchody.
— A, moja szkoła. To ja przyniosłem tą metodę na ten grunt.
— Jest świetna.
— I chcesz ją nadal stosować — dodał Jakub z uśmiechem. — A gdzie dziecko drogie znajdziesz w mieście końskie pączki?

— Na przedmieściach mieszka trochę węglarzy. Myślę, że jak poszukam, to znajdę.
— No wiesz? Zbierać tak z ulicy...

Semen zakrztusił się ze śmiechu.

— Strasznie niehigienicznie — zakpił.
— Nie o to chodzi. Jeszcze ją zobaczy ktoś znajomy i będzie miała zepsutą opinię.
— Rozejrzę się najpierw dookoła — obiecała.

Byli już koło ratusza — odrapanej rudery, która była siedzibą władz miejskich w połowie ubiegłego wieku, a od tamtej pory każdy kolejny właściciel pogłębiał jedynie stan ogólnej dewastacji, gdy na ulicy koło nich zatrzymał się mercedes piaskowej barwy. Wsiadła z niego kobita w futrze obwieszona biżuterią jak choinka. Podbiegła truchtem.

— Przepraszam, to pan jest Jakub Wędrowycz?

— Aha — przyznał się egzorcysta.

— Byłam u pana w domu, sąsiedzi powiedzieli mi, że poszedł pan do kościoła. Jest pan moją ostatnią nadzieją.

— Hmm, my się znamy?

— Jestem Rozalia Kaczyńska. Jestem znajomą księdza Wilkowskiego.

— Aha. Co u niego?

— Jest sekretarzem biskupa warszawsko — praskiego. Pnie się do góry.

— To słyszałem. Czym mogę pani pomóc?

— Przyjechaliśmy z mężem i bratem. Chodzi o mojego syna.

— Jest chory?

— Coś w tym rodzaju. Zostawiłam ich u pana na podwórku. Pojedzie pan ze mną?

Proszę.

— Muszę zabrać ze sobą moją asystentkę.

— Oczywiście. Jedźmy!

— Semen, ty?

— Podrzucicie mnie do krzyżówek.

— Oczywiście — kobieta była tak szczęśliwa, że podrzuciłaby go nawet na księżyc.

Pojechali. Kobieta prowadziła jak szalona. Na Starym Majdanie byli po dwudziestu minutach. Na ławeczce przed domem Jakuba siedzieli dwaj mężczyźni. Między sobą trzymali chłopaka lat około siedemnastu. Chłopak był punkiem. Wyglądał obrzydliwie. Na głowie miał „irokeza”, po bokach wygolone. W uchu wisiał mu kolczyk zrobiony z żyłki i agrafki. Ubrany był w czarną, skórzaną kurtkę, powycieraną do niemożliwości. Na plecach odznaczał się wyraźnie napis wykonany białą olejną farbą. „No Future”. Na nogach miał powyciągane i podarte jeansy i obleśne glany także posmarowane białą farbą. Na nagim torsie pod kurtką wisiały mu rozliczne blaszane znaczki. Jakub skrzywił się.

— To tutaj to robota dla psychiatry — wyraził swoją opinię.

— Zawrzyj dupę — powiedział młodzieniec, spluwając mu leniwie pod nogi.

— Co mam zrobić?

— Jest pan najlepszym egzorcystą w kraju. Mój syn najwyraźniej uległ opętaniu.

Jakub popatrzył na niego smutno i pokiwał głową.

— Wygląda na beznadziejny przypadek — zawyrokował. — Ale zrobię, co się da.

— O czym pierdoli ten facet? — zaciekał się punk.

— Zamknij się wreszcie — wrzasnął jeden z mężczyzn, zapewne jego ojciec lub wuj.

Punk znowu splunął. Jakub zastanawiał się przez chwilę.

— Popilnujcie go jeszcze moment — poprosił. — Muszę się przygotować.

— Tylko się pospiesz stary dziadu, bo mam wieczorem koncert!

Jakub otworzył drzwi domu i wszedł do środka. Wrócił po chwili z kluczami od szopy. Z szopy pobrał cztery paliki zrobione ze stalowego pręta zbrojeniowego, takie, jakimi przypina się krowy na pastwisku, tylko ździebko dłuższe. Tak około metra długości.

— Niech pani skoczy do sąsiadów i kupi kurę — powiedział. — Proszę powiedzieć, że to dla mnie. To sprzedadzą.

Kobieta pobiegła truchtem. Jakub zszedł do piwniczki. Wyszedł po chwili bez paliaków i bez młotka.

— Napijesz się winka? — zapytał punka.

— Jabole są ok. Dużo procent?

— A czterdzieści.

Przyniósł butelkę. Młodociany kandydat na degenerata odkorkował ją fachowo i pociągnął łyk.

— Niezłe. Trzydzieści stopni.

— Pij sobie.

— Czy to rozsądne? — zapytał starzy z mężczyzn.

— Wszystko jest pod kontrolą — uspokoił go egzorcysta.

Poszedł do obórki, skąd po chwili wrócił, dźwigając dwa snopki konopi. Wróciła matka z kurą. Kura gdała przeraźliwie. Egzorcysta przygotował cztery sznurki.

— Ręce i nogi — polecił.

Założyli chłopakowi pętle na ręce i nogi i zacisnęli. Cokolwiek było w butelce, całkowicie go oszołomiło. Nie stawiał oporu.

— Moniko, chodź z nami do pomocy.

Znieśli go do piwnicy i położyli rozkrzyżowanego na ziemi.

— My go trzymamy, a ty wbijaj kołki — polecił. Dziewczyna stanęła na wysokości zadania. Przełożyła przez pętle pręty i zaczęła wbijać je drewnianym młotem, aż weszły w ziemię prawie całe. Na końcach miały specjalne haki uniemożliwiające zsunięcie.

— Dobrze, możecie go puścić.

Puścili. Jeniec szarpnął się w więzach z całej siły.

— Dobry środek oszalamiający, ale działa bardzo krótko — wyjaśnił Jakub. — Używał go jeszcze mój ojciec przy kastrowaniu prosiaków.

Leżący i przypalikowany wyrzucił z siebie wiąchę przekleństw tak koszmarnych aż dziewczyna zaczerwieniła się po końce uszu. Część wyrzaskiwanych tekstów dotyczyła jej osobiście. Pozostali nie przejęli się tym. Pani Rozalia zagryzła wargi.

— Nic mu się nie stanie? — zapytała z niepokojem.

— Nie sądzę. Jak do tej pory nie było poważniejszych wypadków. Proszę dać mi kurę.

Podawała mu. Wbił w ziemię jeszcze jeden kołek, tym razem krótszy. Z torby, wiszącej na drzwiach, wydobył kilkanaście świec. Powtykał je w ziemię wokół leżącego. Z kieszeni wydobył buteleczkę wody święconej i wyrysowawszy na ziemi wokół chłopaka i kury krąg, pochlapał wodą jego linię. Następnie wydobył z kieszeni bryłkę czegoś, co wyglądało jak plastelina i okleił kurze wokół szyi, wplatając w to kilka drutów.

— Będzie bardzo szybka — wyjaśnił, choć właściwie nic z jego wypowiedzi nie wynikało.

— Wyjmijcie akumulator z samochodu i postawcie koło drzwi — polecił.

Jeden z mężczyzn poszedł wykonać jego polecenie. Jakub przeciągnął od kury dwa cienkie druty do akumulatora.

— Dobrze — powiedział. — Poczekajcie na zewnątrz, zaraz dołączę.

Został sam. Zapalił świece. Podpalił oba snopki konopi.

— Nefet, hafat gahem opetl — krzyknął. Odejdź duchu ciemności. Wniknij w zwierzę. Oczyść duszę tego chłopca ze swojego jadu. Szyłgana czyłgana. Ja ci to rozkazuję. Mechet Nyva. Aser befer mubet! Słuchaj głosu mojego, bo ja jestem Jakub Wedrowycz, wiedzący!

Kłęby dymu, ścielącego się początkowo po ziemi, uniosły się i zaczęły wirować. Wybiegł z piwnicy. Zatrzasnął drzwi i podparł je grubym kołkiem.

— Co teraz? — zapytał jeden z mężczyzn.

— Pozostaje nam czekać. Zaraz powinno być po wszystkim.

W piwnicy coś łomotało, a potem rozległ się przeraźliwy nieludzki skowyt. Jeden z mężczyzn poderwał się na równe nogi.

— Co się tam dzieje? — zdenerwował się.

— Złe moce opuszczają ciało. To musi boleć, jeśli mają je opuścić całkowicie.

Skowyt ucichł, przeszedł w rżenie. Monika poczuła jak pot ścieka jej po plecach. Wreszcie zapadła cisza.

— Otwierajcie — polecił egzorcysta. Tylko ostrożnie.

Uchylili drzwi.

— Odsuńcie się!

Ledwie zdążyli wykonać jego polecenie, gdy z dołu ciągnąc za sobą dwa druty wyleciała kura. Jakub jakby od niechcienia stuknął jednym z drutów w biegun akumulatora. Huknęło i kura rozerwała się na kawałki. Zagrabił to, co z niej zostało gracką.

— Dajcie tak z pół litra benzynki — poprosił. Ściągnęli mu rurką do słoika. Połał ptasi zezwłok i podpalił.

— Możemy już wejść? — zapytała Monika z niepokojem.

— Niech się trochę wywietrzy.

Po chwili zeszli na dół. Chłopak był nieprzytomny. Sznurek przeciął mu nadgarstki, ale krwawienie było nieznaczne. Wyciągnęli go na powierzchnię. Jakub za pomocą brzytwy ściał mu kolorowy czub z głowy i rzucił obojętnie pod płot. Następnie zdarł z leżącego kurtkę i spodnie. Przez chwilę patrzył z żalem na skórzane buty, ale i je umieścił na stercie. Punk leżał teraz na ziemi w majteczkach w kropeczki i zielonych skarpetkach.

— Te łachmany też trzeba spalić — powiedział.

— Co z nim? — zaniepokoiła się matka.

— Zaraz docucę.

Przydźwigał z domu wiadro wody i wylał z rozmachem na pacjenta. Ten zerwał się i zatrzęsł z zimna.

Matka podała mu kawałek starego worka, aby się wytarł.

— Co to było? — wymamrotał.

— Zostałeś uleczony — powiedział Jakub.

— Uleczony? — zdziwił się uprzejmie.

— Teraz będzie spokojny. Gdyby jednak znowu mu odbiło, to proszę go przywieźć. Daję gwarancję na usługę. Dożywotnio.

— Ile się należy? — zapytała pani Rozalia.

— Jak w kościele. Co łaska.

Wręczyła mu kopertę. Nie zajrzał nawet do środka.

— Gdyby nie pomogło, to proszę przywieźć go znowu — powtórzył. — Coś postaram się jeszcze.

Chłopak popatrzył na niego zdziwiony.

— Co miałyby pomóc? — zaciekał się.

— Może mieć niewielkie luki w pamięci — wyjaśnił egzorcysta.

Pożegnali się i odjechali. Jakub przeciągnął się leniwie. Wydobył z kieszeni kopertę i zajrzał ciekawie do środka. Brwi jego uniosły się lekko, ale jego twarz po chwili znowu przybrała wyraz obojętności.

— Mam tu trzysta dolarów — powiedział. Sto dla ciebie za nieocenioną pomoc.

— Ale ja...

— Student jest ubogi i ma suchoty — powiedział dobrotliwie i wsunął jej banknot do kieszeni. Przynieś mi migiem słoik z kuchni. Powinnaś znaleźć go w szafce. Z plastikową nakrętką.

— Dziękuję

— Nie ma za co.

Pobiegła. Wróciła po chwili ze słoikiem. Jakub odkręcił go, powąchał wnętrze, po czym włożył resztę pieniędzy do środka i wykopawszy saperką dołek koło schodków, umieścił go tam. Przysypał go ziemią i przyklepał.

— Ojej — wyraziła zdumienie.

— Nie widziałaś nigdy jak się zakopuje pieniądze?

— Nie lepiej do banku?

— Nie mam zaufania. Widzisz, przed pierwszą wojną złożył mój tato pieniądze na koncie. Było tego dużo. Zrobił z Ałmazem Paczenką mały interes na dostawach do Rosji. Chciał nawet kupić samochód, byłby drugi w tych stronach, bo gubernator z Chełma miał już jeden, ale czasy były niepewne. Po wojnie powiedzieli mi, żeby zapomniał o carskiej Rosji i jej bankach. W latach międzywojennych pracowałem z Aleksandrem Pilipiukiem w Radomiu, w fabryce zbrojeniowej. Zarobiliśmy ładny kawałek grosza. Ale znowu wybuchła wojna i diabli wzięli nasze oszczędności. Nikt mnie nie namówi, by powierzać pieniądze bankierom. Zresztą, jeszcze by się odpowiednie służby zainteresowały, dlaczego mam ich tak dużo.

— Rozumiem.

— To zrób coś na obiad, a ja wezmę konia i trochę się rozpatrzę po wsi.

— Za tym paskudnym?

— Masz na myśli Iwana Iwanowa? Tak. Spróbuję trochę wysondować, w jakiej jest formie i może uda mi się popsuć mu zdrowie.

— Powiedział, że dzisiaj nie jest w formie...

— Drogie dziecko, że on nie jest w formie, to nie znaczy, że nie mam mu robić kuku. Gdy jest nie w formie, tym bardziej powinienem próbować. Może coś mi się uda. Zresztą, zwróć uwagę na jedno. Jeśli ten drań tak rozrabia, nie będąc w formie to, co się stanie, gdy ją odzyska? Nie pomyślałaś o tym?

— Ma pan rację. Ale sądziłam, że to będzie szlachetny pojedynek dwu obdarzonych nadnaturalnymi mocami...

— Nie mam nadnaturalnych mocy. Nie widzę duchów. Nie potrafię zatrzymać rozpadu swojego ciała. Jedyne, co umiem, to tych parę magicznych sztuczek, jeśli godzi się tak nazwać te znachorskie praktyki. Częściowo się ich nauczyłem, częściowo doszedłem do nich metodą prób i błędów. Z większością wampirów i innymi problemami poradziłem sobie chłopskimi, zdroworozsądkowymi metodami.

— Aha. Tak jak z tą kurą?

— Och, ta kura to tylko rekwizyt. Sam nie wiem, czy rzeczywiście złe duchy wnioskają w nią. Tak robili znachorzy z Dubienki, u których leczyłem się w czasie wojny. Zabijali kurę na końcu i palili. Ja użyłem materiału wybuchowego, żeby było efektowne. Ostatecznie zapłacili mi, co łaska, ale słono i mieli prawo do naprawdę ciekawego widowiska, a przy okazji uzdrowiłem tego chłopaczka.

— Czy on naprawdę był opętany?

— Bo ja wiem? Dla mnie każdy taki, co sobie farbuje włosy i nabija kurtkę ćwiekami, jest obłąkany. A od tej muzyki, której słuchają, to faktycznie zajeżdża siarką. Powinnaś zbadać wpływ muzyki, jeśli ten nowoczesny łomot można w ogóle tak nazwać, na podświadomość takich jak on. Z tego, co widzę, stają się leniwi, apatyczni, a na wszelkie próby rozbudzenia i przywołania do porządku reagują agresją. Typowi młodzi psychopaci. W przyszłości mordercy. Napatrzyłem się na takich za młodu i widzę, co z niektórych wyrosło.

— A jaka jest na to recepta?

— Dwie. Strzelać albo kastrować.

Poszedł do obory. Monika zamyśliła się. Po chwili wyjechał na Marice przez bramę. Studentka zamknęła za nim wrota. Usiadła na ławeczce. Powiał wiatr. Ślad, gdzie zakopał słoik, był słabo widoczny, zawiął go lessowy pył, ale ciągle widziała to miejsce. Prawie dwa lata pracy. W słoiku w ziemi. I podobno były jeszcze inne słoiki. Wzruszyła ramionami. Poszła do stajni i popatrzyła na dość świeżo pobielone ściany. W stajni wisiały pod sufitem pęczki ziół. Nie wiedziała, jakie tajemnice mogą skrywać. Na co pomagają, na co szkodzą. I nagle zrozumiała sens swojej pracy. To było, co innego niż czytanie katalogu magii brata Rudolfa — średniowiecznego podręcznika dla spowiedników. To było realne. Obok całego cywilizowanego świata żył człowiek, który na co dzień wykorzystywał wiedzę, wydawałoby się umarłą przed stu laty. Człowiek, który wyganiał złe duchy, walczył z wampirami, gadał ze swoim koniem. Mercedes miał warszawską rejestrację. Sława jego rozchodziła się daleko. A on nic nie robił, aby podnieść sobie poziom życia. Wkładał pieniądze do słoików i zakopywał w ziemi. I najwyraźniej było mu obojętne, czy ktoś je wygrzebie, czy nie.

Jakub przechowywał w swoim umyśle wiele prastarych tajemnic. Trzeba było zachować je od zapomnienia. Spisać. Tylko, czy mogła napisać w swojej pracy, że narysowawszy kilka znaków na ziemi, zmienił pogodę w całej okolicy? W stajni nie było much. Czy dlatego, że pora była zbyt wczesna i jeszcze nie obudziły się z zimowego snu? Czy może pomogły wiszące pod sufitem zioła, a może i na to miał metodę? Magiczną albo zdroworoządkową. Zdjęła ze ściany szczotkę i wolno zaczęła szczotkować nią swoje włosy. Szczotka była szorstka i pachniała koniem.

* * *

Herberto, ślaniając się nieco na nogach, opuścił swój pokój. Nie odzyskał jeszcze w pełni sił, ale informacja o rzeźbie na cmentarzu była na tyle ciekawa, że postanowił ją sprawdzić. Nawet za cenę własnego zdrowia. Zabrał ze sobą narzędzia. Nie chciał się po nie wracać, gdyby okazało się, że trafił faktycznie na to, czego szukał. Posąg kultowy z jedenastego wieku. Wdrapanie się na Górkę od strony parku trzydziestolecia nie było specjalnie wyczerpujące, on jednak musiał, co chwila przystawać i odpoczywać. Umysł nie wrócił mu jeszcze do pełnej sprawności. Myśli płynęły wolno. Gdyby Iwanów pojawił się teraz w Chełmie, miałyby łatwą robotę. Unieszkodliwienie egzorcysty zajęłoby mu nie więcej niż dziesięć sekund. Ale czarownik zajmował się akurat w Wojsławicach podkładaniem świni Jakubowi Wędrowyczowi, dlatego Herberto był względnie bezpieczny. Choć oczywiście nie tylko Iwanów dybał na jego życie. Cmentarz był totalnie zapuszczony, jednak pewne ślady wskazywały na to, że ktoś zagłada tu od czasu do czasu. Na grobie premiera Zakarpackiej Ukrainy leżały świeże kwiaty. Na jednym z innych grobów stało kilka zniczy, wygasłych obecnie i wypalonych. Ścieżką przeszedł niedawno spory odział ludzi w oficerkach podkutych gwoździami.

Musieli dźwigać coś ciężkiego, bowiem ich ślady odcisnęły się głęboko w rozmiękłej ziemi. Spróbował wyczuć odłamki myśli tkwiące w kamieniach nagrobków. Wzdrygnął się z obrzydzenia. Przez ostatnie pięćdziesiąt lat nekropola była widownią bijatyk i orgii. Zdarzyło się tu także kilka zabójstw. Kamienie poznaczone były zakrzepłą krwią. Cud prawdziwy, że żaden z nieboszczyków nie wstał nigdy z tej ziemi. Może dlatego, że leżeli tu w większości dobrzy ludzie. Uchwycił się tej myśli i podążył za nią w głąb. Pod zewnętrzną warstwą plugastwa odkrył wiele dobrego. Smutek, żal za zmarłymi. Ich życia. Często wypełnione trudem i ciężką, uczciwą pracą. I piękne wspomnienia, jakie po sobie zostawili. Dotarł do rzeźby. Rzeźba wyglądała na starą. Była silnie nasiąknięta wilgocią, pokrywały ją zielone liszaje jakichś glonów. Przedstawiała paskudnego niedźwiedzia stojącego na pryzmie ludzkich czaszek. Była nawet nieco większa niż powinna być.

— No i spotkaliśmy się — mruknął do siebie.

Ponownie wsłuchał się w echo rzeźby. Odebrał dziwne i sprzeczne wrażenia. Wściekłość, szalony pośpiech, ból poranionych rąk. Nadzieję na wolność, nienawiść, jakąś lisią chytryść. Wszystko to wydawało się pochodzić od jednego człowieka. Herberto zamyślił się, a potem spróbował wczuć się głębiej. Chciał odnaleźć myśli kapłanów składających ofiary, błagających tłumów pogan, może krwawych ofiar. Zamiast tego, wyczuł radochę kilku robotników z cementowni, którzy wykuwali ten blok ze skały na specjalne i cholernie dobrze płatne zamówienie. I wściekłość ośmiu kryminalistów, którzy pod konwojem nieśli ten posąg na dniach zabłoconą ścieżką, a potem smarowali go mchem i błotem.

Nigdy nie zdarzyło mu się kłać, ale teraz miał ochotę zakląć jak szewc. Zamiast tego, wy dobył młotek i dla ostatecznego upewnienia się walnął z rozmachem, utracając rzeźbie kawał łapy. Kreda pod cienką warstwą fałszywej patyny była biała jak śnieg i tylko niewielkie rdzawe plamki znaczyły ślad mikroorganizmów zawierających odrobiny żelaza, które obróciły się w skałę przed stu pięćdziesięciu milionami lat. Zatracił nad sobą kontrolę. Zaczął wściekle kuć młotkiem. Odłupywał mniejsze i większe kawałki. Niespodziewanie poczuł na swoim ramieniu ciężką rękę. Rękę socjalistycznej sprawiedliwości.

— Urząd Bezpieczeństwa. Wasze dokumenty?

Nagle cała wściekłość zniknęła mu, jakby zdmuchnął płomień świecy. Wygrzebał nieporadnie z kieszeni swój portugalski paszport.

— Jesteście aresztowani pod zarzutem niszczenia bezcennego zabytku naszej sztuki. Macie prawo nie odpowiadać na pytania. Wszystko, co powiecie zostanie użyte przeciw wam...

Poprowadzili go do góry rozmiętkłą ścieżką, a potem koło kopca kryjącego w sobie relikty palatium księcia Daniela i dalej schodami w dół ku ulicy Lubelskiej, gdzie czekała na nich nieoznakowana nyska. Powieźli go w nieznane. W czasie, gdy samochód podskakiwał na dziurach w jezdni, Herberto rozmyślał, że smutkiem, że zawiódł na całego. Nie wykona zadania. Wybuchnie nowa wojna lub nastąpi wysyp sekt. Może kamiennemu posągowi złożeni zostaną jako krwawe ofiary niewinni ludzie. Tak czy inaczej, to wszystko była jego wina. Czuł to. Rozważał przez chwilę natychmiastowe popełnienie samobójstwa, ale odrzucił ten pomysł. Ostatecznie nic złego nie powinno go spotkać. Teraz najważniejszą rzeczą było przesłanie grypsu do księdza, z którym rozmawiał w kościele na Górcie. On zaś powinien powiadomić Watykan. Niech przyślą natychmiast kolejnego egzorzystę.

* * *

— Hyyylaja! — zawył Jakub.

Marika zarżała radośnie i jeszcze bardziej przyspieszyła bieg. Grudy gliniastej ziemi trysnęły jej spod kopyt. Egzorcysta stanął w strzemionach i wydał z siebie kolejny potężny skowyt. Płynął w powietrzu. Płynęli oboje. Kopyta uderzały w ziemię, ale to nie miało znaczenia. Stanowili jedność. Koń i jeździec. Rozumieli się. Kochali się. Szanowali się. Urodzeni, by pędzić. Pędzić po nieskończonych stepach. Byli wolni, mieli siłę. Cieszyli się życiem, swobodą i przestrzenią. Wyjechali na wysoczyznę koło popówki. Wojsławice leżały pod nimi. Za wsią wznosił się rozległy masyw Mamczynej góry i niższe nieco wzgórze zwane Piaskownicą, wielkie wyrobisko piachu, dziesięciometrowa skarpa. A jeszcze bardziej na lewo, niemal dokładnie na wprost ich leżało Zamczysko. Wądoły pozostałe po średniowiecznym zamku i ruiny stajni dworskiej.

Wzrok Jakuba nie był już tak dobry jak dawniej, ale rozpoznał je. Zresztą i tak wiedział, że tam są. Zjechali w dolinę. W pięć minut później byli na ulicy Grabowieckiej. Zajechali na podwórko domu Semena. Jeden z jego wnuków wylazł z szopy. W owłosionej łapie trzymał siekiere. Zaraz jednak rozpoznał gościa. I odłożył mordercze narzędzie.

— Ach to wy. Dziadek oczekuje. Ma gościa.

— Może nie będę przeszkadzał...

— Ależ proszę wejść. Gość też się chętnie z panem rozmówi.

Jakub wszedł do sionki. Przebrał się w strój ochronny i wkroczył na terytorium carskiej Rosji. Zauważył jeszcze tylko, że gość nie wziął stroju ochronnego z wieszaka. W pokoju siedzieli Semen Korczaszko i młody hrabia Woroncow. Ten sam, którego spotkał przelotnie na dniach w Chełmie. Fakt niepobrania stroju ochronnego wyjaśnił się sam przez się. Hrabia przybył z własnym mundurem. Miał na sobie kompletny uniform białogwardzisty. Na jego piersi wisiał krzyż św. Jerzego najwyższej klasy.

— Witajcie hrabio — powiedział Jakub.

Mówili po rosyjsku, jak to w carskiej Rosji. W samowarze grzał się wrzątek na herbatę.

— Cóż cię sprowadza? — zagadnął Semen, nalewając wody do szklanki.

— Wpadłem się na wszelki wypadek pożegnać. Gdybym nie wrócił, to zaopiekuj się moim koniem.

— Jasne. Idziesz po czarownika?

— Skąd wiesz?

Semen uśmiechnął się. Złote zęby zaśniły.

— W moim wieku łatwo się domyśleć.

Pożegnali się. Jakub opuścił terytorium carskiej Rosji. Odwiesił strój ochronny na wieszak i wyszedł na podwórko. Marika właśnie wymieniała poglądy z Karoliną.

— Poczekaj tu na mnie — powiedział. — Niedługo wrócę. Pokiwała łbem. Poszedł. Skierował się drogą przez łąki w stronę zamczyska. Czuł, że jedyną dobrą kryjówką są

znajdujące się tam piwnice. W każdym razie on by się tam ukrył. Co zresztą swojego czasu zrobił. Droga była dłuższa niż ją pamiętał z ubiegłego miesiąca. Gdy wreszcie stanął u stóp zamczyska, żałował już prawie, że nie pojechał konno. Nogi już nie te, co dawniej, ale potem pomyślał o czekających go niebezpieczeństwach i już nie chciał, aby Marika towarzyszyła mu w tej wycieczce.

Zamczysko było zabawną górą. Nie wiadomo, w jak odległej przeszłości, jego zbocze, opadające ku łąkom, ukształtowano na podobieństwo ogromnych schodów. Jeden archeolog, którego kiedyś o to pytał, wysunął teorię, że zapewne miało to chronić skarpe przed osuwaniem się. Archeolog jednak podał tę teorię, ot tak, na podstawie samych obserwacji terenu i zaznaczył wyraźnie, że trzeba by kopać. Egzorcysta ruszył drogą obiegającą górkę po łuku. Droga wspinała się w górę i łączyła z ulicą Zamkową — szumnie nazwanym dwustumetrowej długości traktem, wyłożonym płytami betonowymi, któremu w najbliższej przyszłości groził los analogicznie wykonanej drogi na Stary Majdan. Ruiny stajni dworskich chyliły się wyraźnie ku upadkowi. Środkowy trójkąt, podpierający pierwotnie wiązania dachu, runął w dół. Mury były popękane.

Życie ludzkie jest mocniejsze — pomyślał sobie. Stajnie postawili sto lat temu, bez czterech lat. Semen jest od nich starszy, a tymczasem one mają już okres świetności za sobą i są martwe od czterdziestu lat. Nikt ich nie odbudował po pożarze i od dawna nie postąpiła w nich stopa żadnego konia. A on żyje i działa.

Jego cel leżał kawałek w bok. W ruinach oranżerii dworskich. Ruiny ogrodzone były płotem z drutu kolczastego i przeniknięcie na ich teren zajęło mu trochę czasu. Za to, gdy znalazł się pomiędzy wysokimi paskudnymi murami, od razu wiedział, że jest we właściwym miejscu. Pamiętał, gdzie właściciel rudery odstawia widły. Uzbroiwszy się w nie i naszykowany rewolwer, zagłębił się do środka. Minął rozwalony piec kaflowy. Całe kafle dawno rozkradziono, poniewierały się tu tylko potłuczone odłamki. Pod jego stopą pękła cegła. Na cegle tej, podobnie jak na większości tych, z których wymurowano popadający w coraz większą ruinę folwark, widniała data głęboko odcisnięta w mokrej glinie — 1869.

Jakub dotarł do miejsca, gdzie kiedyś zawaliła się piwnica. Przez dziurę w stropie można było zajrzeć do środka. Nie musiał zagłębiać. Z wnętrza buchała woń dawno nie-mytego ciała. Powietrze wibrowało od złości. Jakub postarał się skoncentrować. Nie potrafił tak dobrze czytać z odłamków myśli, ale wyczuł, że człowiek ukrywający się w piwnicy jest na wskroś zły. Wyjął z kieszeni zwiniętą „Trybunę Ludu” i podpaliwszy ją benzynową zapalniczką, wrzucił ją do wnętrza. Iwanów faktycznie się tam znajdował. Co więcej, był zalany w trupa. Siedem flaszek po tanim jabłkowym winie poniewierało się wokoło. Egzorcysta ujął mocniej widły w rękę i zeskoczył na dół. Stanął tak pechowo, że zwichnął sobie nogę w kostce. Podparł się jednak widłami i dzięki temu nie przewrócił się. Iwanów spał. Jakub podniósł widły do morderczego ciosu. W tym momencie

w powietrzu zaczęło się coś materializować. Biały dziwny kształt. Ni to człowiek, ni to niedźwiedź. Małpolud z pyskiem niedźwiedzia pokryty długim splątaniem białym futrem. Egzorcysta wyskoczył z łozku i przyjął postawę obronną, przywierając plecami do ściany. Dziwna istota wylazła z lochu i stała teraz przed nim, a potem przemówiła. Mówiła bezpośrednio do jego umysłu.

— Wynoś się stąd.

— To ty się wynoś wyleniały małpiszonie. To moja ziemia. I zabierz ze sobą tą padlinę!

Postać pulsowała. Jak gdyby nie mogła utrzymać swojego kształtu. Kontury zamazywały się, stawała się mniej lub bardziej przejrzysta.

— On jest moim sługą. Tak jak ja służę Temu — Który — Zna — Drogi — Które — Wiodą — Do — Miodu.

— Myślisz, że cię nie poznałem? Widziałem cię w lochach Chełma. Widziałem twoje wizerunki wyryte na ścianach. Jesteś Duch Bieluch.

— To tylko połowa prawdy. Zostaw mojego sługę w spokoju. W mieście jest nasz wróg. Bardzo potężny. Mój sługa musi nabrać sił.

— Odpalając kolejne jabolę? Gdybyś się nie zjawił, ten wieprzek niezależnie od całej swojej magicznej mocy, zdychałby teraz w tej piwnicy.

— Dlatego się zjawiłem.

— Wracaj do siebie i daj mi dokończyć. Ten tutaj stanowi zagrożenie dla mojej wsi.

— Figę. On musi zdobyć doświadczenie. Nie panuje jeszcze wystarczająco dobrze nad swoimi mocami.

— Tak, wypruje z nas flaki czarami, wykąpie się w ludzkiej krwi, zeżre parę mózgów dla wzmocnienia intelektu i wtedy będzie gotów?

— Coś w tym rodzaju.

Jakub uniósł widły i pchnął z całej siły. Widły zagłębiły się w ciele ducha i zatrzymały się. Przestrzeń wokół nich stężała, jakby wbił je w szybko stygnącą lawę. A potem duch zniknął.

— Załatwiłem go? — zdziwił się.

Rozległ się ponury złośliwy rechot. Iwan stał po drugiej stronie dziury. Wyglądał nadal na zalanego w trupa, ale najwidoczniej wcale mu to nie przeszkadzało.

— Kiepsko ci idzie, egzorcysto od siedmiu boleści — powiedział z pogardą.

— Och, żaden problem, żeby szło mi lepiej — wycodził przez zęby i wyrwawszy z kieszeni rewolwer, wystrzelił do niego.

— Gratuluję — powiedział czarownik.

Stał teraz dwadzieścia centymetrów na lewo od miejsca, w którym był jeszcze przed chwilą.

— Za dziesięć minut będą tu gliny. Dużo glin.

Jakub rozejrzał się i wystrzelił ponownie, ale tym razem w zupełnie innym kierunku. W miejsce, gdzie powietrze troszkę migotało, tak jak w upalny dzień nad szosą. Czarownik natychmiast zmaterializował się właśnie tam. Trzymał się za przestrelone ramię.

— Sprytnie — przyznał. Skąd wiedziałeś?

— Stary Małaczkin-Wędrujący-Po-Białej-Rusi też to potrafił.

— Znałeś Małaczkina?

W głosie czarownika zabrzmiała nuta podziwu.

— Zabiłem Małaczkina. Twierdził, że jest nieśmiertelny, a jednak stał go pokonała. Ciekawe jak to będzie z tobą?

Wystrzelił ponownie, tym razem w stronę drzwi. Iwanów zmaterializował się tam natychmiast. Tymczasem jego wizerunek w poprzednim miejscu rozwił się w powietrzu. Tym razem krwawił z rany na przedramieniu i drugiej na udzie.

— Niezły jesteś — powiedział. Konczaj mnie.

Jakub wystrzelił mu w głowę. Ciało upadło na ziemię. Biło przez chwilę w powietrzu nogami i znieruchomiało. Jakub wystrzelił ponownie. Czarownik zmaterializował się tuż koło niego. Tym razem stracił kawałek ucha. Ciało, leżące na ziemi, zniknęło. Czarownik odrzucił nóż i złapał się za kolejną ranę. Jakub zauważył, że poprzednie częściowo już się zabił.

— Jesteś naprawdę dobry — powiedział wróg. Może jednak zechcesz się do mnie przyłączyć?

— Nigdy.

— Twoja wola — zeskoczył do piwnicy i zniknął.

W ciemności nie było widać, w którym miejscu powietrze zniekształca obraz. W tej samej chwili za Jakubem wyrosła postać Birskiego.

— No cóż. Rączki i dokumenty.

— Chyba mnie pan nie aresztuje? — zdziwił się Jakub naiwnie.

— Tym razem już się nie wywiniesz. A przy okazji opowiesz, do czego to strzelałeś.

— Ratusz — zażądał Jakub w myślach.

— A co z tego będę miał? — zaciekał się telepatycznie Iwanów.

Święty spokój aż do jutra, flaszkę bimbru i możliwość obejrzenia jego głupiej miny. Uczciwa propozycja.

— Na pewno musi mnie pan aresztować? — zdziwił się Jakub.

— Oczywiście, a broń zabieram do depozytu. Rączki. Egzorcysta wyciągnął ręce, a milicjant zatrzasnął na nich kajdanki.

— Do radiowozu — polecił.

Pistolet zapakował w plastikową torebkę i poszli. Wsadził więźnia na tylne siedzenie pojazdu i ruszył. Na posterunku nikogo akurat nie było, tylko dyżurny siedział za barierką.

— Daj klucz od dwójki.

— Po co ci?

— Muszę go zamknąć — Birski wskazał na Wędrowycza.

— Aha.

Z otrzymanym kluczem w ręce zszedł do piwnicy, gdzie znajdowały się cele. Zamknął więźnia w środkowej, sprawdził, czy zamek dobrze trzyma, po czym poszedł na górę złożyć zdobyczną broń w sejfie. Naszykował formularz zatrzymania i zaczął go wypełniać. Nie znał daty urodzenia aresztanta. Zszedł więc zapytać. Zdębiał. Na podłodze celi leżały nadal zamknięte kajdanki, za to więzień ulotnił się bez śladu. Posterunkowy zajrzał pod pryczę, ale i tam go nie było. Zgłupiał.

— Nie wychodził stąd ten, którego przyprowadziłem? — zapytał dyżurnego.

— Nie!

— Cholera!

— Coś się stało?

— Zniknął.

Przetrząsnęli we dwóch cały posterunek, ale nie znaleźli go w żadnym zakamarków.

— Czary, czy co? — zdenerwował się. — Ale mam jeszcze jego spluwę. Wyodrębni się odciski palców...

Otworzył sejf. Torebka opisana flamastrem leżała na miejscu. Pusta. Dyżurny poznał tego dnia wiele nowych brzydkich wyrazów w kilku językach.

Rozdział VIII

Prawdziwy Jakub wydobyl z kieszeni piersiówkę pełną dziewięćdziesięcioprocentowego bimbru i pociągnął łyk, aby udowodnić, że nie jest zatruta, po czym postawił ją wśród kamieni i poszedł sobie. Ostatecznie jedna klęska nic nie znaczy. Przegrał bitwę, a miał przed sobą całą wojnę. I ta perspektywa radowała go. Było już dobrze po piątej, gdy przyjechał wreszcie do swojego domu. Monika smażyła naleśniki.

— Jak poszło? — zaciękała się.

— Kiepsko. Prawie go nadziałem widłami, ale wywinął się.

— Chciał go pan zabić?

— Aha.

— To bardzo nieładnie.

— To nie jest człowiek. To czarownik. Złośliwy czarownik. Zresztą, co ja ci dużo będę mówił. Obiecał zabrać się za nas od jutra rana.

— Ojej. Znowu zobaczymy hitlerowców?

— Obawiam się, że to, co zobaczymy i to, co się z nami stanie, będzie tym razem dużo mniej przyjemne.

Zjedli. Po spóźnionym obiedzie dziewczyna pozmywała.

— Co jeszcze trzeba zrobić? — zapytała.

— Wyszczotkuj Marikę i nasyp jej owsa. Jeden kubełek. Wodę jeszcze ma. A potem może pouczę cię, jak stosować zioła na choroby drobiu.

Kiwnęła głową. Poszła do szopy, zaczerpnęła szaflik owsa i zaniósła do obórki. Klaczka odwróciła głowę i popatrzyła na nią zaciękawiona.

— No, hej — powiedziała Monika. — Masz tu coś do jedzenia i zabieramy się za szczotkowanie.

Klacz pokiwała głową, zgadzając się najwyraźniej z taką kolejnością. Zaraz też zanurzyła głowę w żłobie. Studentka zaczęła ją szczotkować. Bardziej łyse miejsca omijała. Semen wyjaśnił jej wczoraj, dlaczego klacz Jakuba tak wygląda, bo poprzednio dawało jej się, że to od nadmiernego czyszczenia. Spróbowała rozczesać jej ogon, ale nie dawało się. Był pozlepiany.

— Trzeba wziąć miednicę i namoczyć — odezwał się jakiś głos od progu.

Obejrzała się wystraszona. Na progu stali dwaj starszaki.

— Nu dziewczuszko, Jakub musi cię bardzo lubić, nikomu poza Semenem nie pozwałał się dotknąć do Mariki — powiedział ten drugi. On w domu?

— W domu — potwierdziła.

Zaraz też poszła zobaczyć, czy w czymś jeszcze może być przydatna. Jakub poprosił ją, aby rozpałała w samowarze. Siedli w pokoju przy stole i zaczęli gadać. Jeden z nich przyniósł bukłak wina. Pili je teraz szklankami. Dyskusja stawała się coraz bardziej ożywiona.

— A ja we wojnę czołg spaliłem!

— Chy, a ja dostałem dwadzieścia pięć lat za przynależność do UPA.

— Bo prokurator był idiota. Dał ci za przynależność, a ty tylko woziliś im kartofle!

— Ja woziliś kartofle?

— A ty Jakub, to byłeś u Wypruwacza od czarnej roboty. Ulotki naklejałeś, a ile razy prosiłeś go, żeby dał ci broń?

— Byłem jego prawą ręką! I gdybyście chcieli wiedzieć, to też spaliłem czołg!

— W czterdziestym siódmym to nie sztuka.

— A ja strzelałem aktywnie w czterdziestym piątym.

— Gówna prawda. Wtedy cię tu wcale nie było! Siedziałeś w Chełmie w mamrze za pijaństwo.

— Ja za pijaństwo?

— A Wypruwacz był ciemniak!

— Zatkaj się nieszczęsny! Wypruwacz był wykładowcą w Toronto. On tu przyleciał tylko dlatego, że chciał bronić swojej ojczyzny.

— Wy Ukraińcy zawsze sobie dziwne miejsca na obronę ojczyzny wybieracie!

Stopniowo, gdy wino zaczęło działać, ich rozmowa wkraczała na coraz bardziej bohaterские wyżyny. Licytowali się ilością spalonych czołgów i strąconych samolotów, sygnali setkami nazwisk swoich podkomendnych, a o niektórych kłócili się zajadle, kto był z kim. Wreszcie poszli sobie.

Monika wyłączyła przenośny magnetofon i otarła pot z czoła. Pod koniec ich rozmowy zaczęła się już poważnie zastanawiać, czy to nie ich partyzanckie armie zdobyły Berlin, a Armia Czerwona tylko przypisała sobie zasługę. Właściwie, to gdyby przyjąć ich bajdurzenia za prawdę, wychodziło na to, że to oni we trzech wygrali drugą wojnę światową i pozostawał jedynie problem, dlaczego zajęło im to aż tyle czasu. Jakub, oszołomiony winem i długotrwałym wyrzaskiwaniem swoich racji, położył się spać. Monika zaś poszła do obory. Marika nie spała jeszcze.

Przeżuwała siano, uśmiechając się do swoich końskich myśli. Dziewczyna siadła na zydłu i zaczęła jej się przyglądać. Chciała wiedzieć, o czym myśli. Mogła się tego jednak jedynie domyślać.

Myśli w końskiej głowie płynęły ciepłe i składne. Szkapie było dobrze. Bardzo dobrze. Popatrzyła na dziewczynę. Była ciekawa, o czym taka dwunoga istota może myśleć. Życie ludzkie musi być bardzo trudne i najeżone kłopotami. Monika wyciągnęła się na sianie obok klaczy i zapadła w sen. Jakub obudził się w nocy. Zobaczył, że jej nie ma. Pomyślał, że może wykopała jego oszczędności i uciekła. Poszedł do obory. Studentka leżała przytulona do ciepłego boku klaczy. Uśmiechnął się leciutko. Nakrył je obie derką. Noc była chłodna. Wyszedł na podwórko. Po niebie leciał meteor. Spadająca gwiazda. Pomyślał sobie wyjątkowo paskudne życzenie pod adresem istniejącego ustroju. Ponoć, gdy spada gwiazda, pomyślane życzenie zawsze się sprawdza. Cztery lata później sprawdziło się. Może budynki waliły się w czasie krótszym niż jedno ludzkie życie, ale były i rzeczy wieczne i niezmienne. Na przykład gwiazdy. Szary wilk przebiegł wzdłuż płotu. Węszył.

* * *

Była noc, gdy Iwanów stanął na cmentarzu koło kółka rolniczego. Miał w ręce saperkę. Przeszedł na bardziej zapuszczoną część cmentarza i zaczął rozgrzebywać jeden z grobów. Niebawem dotarł do sklepionej z cegieł niewielkiej krypty. Odwalił przegniłą drewnianą klapę i zeskoczył na dół. Zapalił świecę i saperką podważył wieko trumny. Wewnątrz leżało częściowo z mumifikowane ciało z tkwiącym w piersi osikowym kołkiem. Ponadto trup miał głowę przebitą żelaznym gwoździem i związane drutem ręce. Iwan szybkimi zręcznymi ruchami uwolnił ciało z tych zabezpieczeń, ale nieboszczyk nie zdradzał nadal najmniejszych oznak życia. Czarownik wygramolił się z grobu. Wyczuwał wyraźnie wszystkie miejsca, w których swojego czasu jeszcze w latach pięćdziesiątych walczyli z wampirami: czołowy egzorcysta okolicy Jakub Wędrowycz i jego dwaj pomagierzy. Ale wszędzie wyczuwał tę samą spokój i pustkę, co tutaj. Nieboszczycy leżeli, śniąc swoje sny o wieczności. Obudzić by ich mogły jedynie trąby na sąd ostateczny.

— Czy nikt tu do licha nie pozostał przy życiu? — zapytał w przestrzeń.

Odpowiedziało mu grobowe milczenie. Ale zaraz potem wychwyił słabiutki odzew. Coś w tym parku sztywnych jeszcze ciągle zdradzało pewną aktywność. Ruszył tym tropem. Niebawem stanął przed niewielkim obeliskiem z czerwoną gwiazdą. Na obelisku widniał częściowo już zatarty napis.

Eugeniusz Jakubowski.
Gminny sekretarz PZPR
1921 — 1958

Czarownik uśmiechnął się i spokojnie wybił saperką dziurę w zamurowanym wejściu. Wszedł do grobowca. Rozbicie trumny było fraszką. W trumnie leżał kościotrup. Nic nie wskazywało na to, aby mógł ożyć. Uruchomił znowu swoje ponadmysłowe moce i wychwycił słabe echo myśli nieboszczyka.

— Popeliłem wiele przestępstw jako podły sługa nieludzkiego systemu.

Iwanów spokojnie spuścił ostrze saperki na gardło nieboszczyka. Szept w jego głowie ucichł. Wychodząc z cmentarza, próbował jeszcze raz wsłuchać się w głosy zmarłych. Odpowiedziało mu milczenie.

* * *

Birski zaszedł do Semena z samego ranka w poniedziałek. Semen rąbał drwa na podwórzu. Obeszło się, więc bez zakładania stroju ochronnego i wizyty na terytorium carskiej Rosji.

— Dobry — zagadnął od furtki.

— A witam panie posterunkowy. Co pana sprowadza?

— Chyba znaleźliśmy konia. Tego, który załatwił Bardaka.

— Gdzie?

— W tym właśnie problem, że trochę daleko. Na przedmieściach Lublina. Chcieliśmy prosić pana, aby pojechał pan tam ze mną i spróbował dokonać identyfikacji.

— Dobra. Żaden problem. Na emeryturze ma się mnóstwo czasu. Kiedy?

— Gdyby mógł pan być gotów za godzinę...

— Żaden problem. Proszę po mnie wpaść i pojedziemy.

— Mam nadzieję, że podróż nie będzie dla pana męcząca.

— Proszę nie robić ze mnie zgrzybiałego starca! Nie mam stu lat. Tylko trochę więcej — szepnął sam do siebie, ale posterunkowy usłyszał.

— Dobrze, to przyjadę po pana.

Poszedł sobie. Staruszek założył marynarkę. Po raz pierwszy od dwudziestu, a może trzydziestu lat. Głupio czuł się w cywilnych łachach, ale ostatecznie miał jechać w gości gdzieś daleko. Przebrawszy się, usiadł na ławce przed domem i zaczął czekać.

* * *

Jakub właśnie kończył robić sobie śniadanie, a Monika myła się w łazience po nocy spędzonej bardzo miło, aczkolwiek niezbyt higienicznie, gdy na podwórko wszedł jakiś facet w garniturze z teczką pod pachą. Gospodarz przez chwilę obserwował go spod oka, a potem wyszedł przed dom.

— Nu co? — zagadnął.

— Dzień dobry.

— Dobry.

— Jestem dziennikarzem z „Tygodnika Chełmskiego”. Czy mam przyjemność z panem Jakubem Wędrowyczem?

— Macie przyjemność — wycedził Jakub przez zęby.

Można było w jego głosie odczytać, że jemu nie sprawia to przyjemności. Dziennikarz poprawił krawat.

— Piszę artykuły o ciekawych ludziach mieszkających na terenie województwa. Moje nazwisko Katowski.

— A jakże, czytałem — powiedział Jakub ponuro i otarł usta wierzchem ręki.

— No właśnie, słyszałem o panu i postanowiłem przeprowadzić z panem wywiad dla naszych czytelników.

— Nigdy nie przeprowadzali ze mną wywiadów...

— Zawsze musi być ten pierwszy raz.

— Nu, jeśli nie będzie to długo trwało...

— Dziesięć minut.

— No to siądźmy i możemy chwilkę pogadać. Usiedli na ławce i Katowski zaraz wydobył z torby przenośny magnetofon.

— Ile pan ma lat?

— Coś ze siedemdziesiąt. Nie wiem dokładnie, ale musi coś koło tego.

Jakub uwielbiał w rozmowach z przedstawicielami władzy grać wioskowego przygłupa. Nawet w sądzie mu to nieźle wychodziło.

— Jakie pan ma źródła utrzymania?

— Trochę z emerytury, a tak w ogóle to pożyczam od ludzi i im nie oddaję. Jestem, jak to się mówi, pasożytem społecznym.

— Z tego, co słyszałem walczy pan z wampirami i wygania z ludzi złe duchy...

— Hym? Pierwsze słyszę. Musi to dlatego, że byłem za młodu hieną cmentarną. Ludziom się ubzdurało, że ja tak wampiry wykopuję.

— Co pan myśli o obecnym ustroju? Czy podoba się panu aktualny główny sekretarz gminy i panujący w niej ład i porządek?

— Ustrój jest do niczego. Za cara było lepiej. A gminny sekretarz to typowy komuch. Złodziej i łapownik. Gada sloganami i o niczym nie ma pojęcia.

Monika właśnie wyszła z domu i przeszła do obory, aby nakarmić klaczkę.

— Pańska córka? — zaciekawiał się dziennikarz.

— Nie, to moja służąca. A przy okazji kochanka. Znaczy, tego, ja ją wykorzystuję, a za to pijemy na mój koszt wódkę i samogon.

— Czy miejscowa milicja nie ingeruje w pański społeczny tryb życia?

— Ni. To takie głupie gliniarze. Zresztą, oni siedzą u sekretarza w kieszeni i udają, że nie widzą, jak jego kumple chłają, aż ich trzeba z rowów wyławiać i kraść, co się da.

— Co zmieniłby pan na terenie gminy?

— Wszystko.

— Hmm. A jak by pan tego dokonał.

Jakub zamyslił się na chwilę.

— Najlepsza jest metoda warstwowa.

— Na czym ona polega? — zdziwił się dziennikarz.

— To proste. Warstwa ziemi — warstwa komunistów, warstwa ziemi i warstwa komunistów...

— No cóż, nie mam więcej pytań. Chyba, że chce pan się czymś podzielić z czytelnikami.

— No. Mam taką myśl. Ten państwowy monopol na alkohol to nie jest w porządku. Ja bym umiał i lepszą wódkę zrobić.

Dziennikarz zmył się. Przyszła Monika.

— Ładnie tak kantować bliźnich? — zapytała.

— No jak dziennikarz pyta, to trzeba mu powcisnąć trochę ciemnot — łagodnie uspokoił ją Jakub. Tacy pismacy mają szare życie. Czytelnicy też mają szare życie. Trzeba ich trochę rozbawić, no nie?

— Ciekawe, czy uwierzył, że jestem pana kochanką?

— Pewnie tak. Przecież wyglądam na wyjątkowo plugawego degenerata.

— Ale w tym wieku...

— Zaproponowałbym, żebyśmy poszli do stodoły na siano sprawdzić, jak to jest z moim wiekiem, ale ta propozycja mogłaby zostać źle odczytana.

Parsknęła śmiechem.

— Źle odczytana? A jak inaczej można ją odczytać?

W tym momencie na podwórku zmaterializował się Iwanów. W ręce trzymał niedużą, oślepiająco białą kulę.

— Ty, wyłącz tę spawarkę — poradził mu Jakub.

— Dlaczego? Zabronisz mi?

Egzorcysta splunął pod nogi.

— Nie boję się ciebie. Dla mnie jesteś tylko żalonym palantem.

— I wzajemne Wędrowyczu. Swoją drogą to kretyńskie nazwisko.

— Uwy. Odezwał się ten, który ma lepsze. Wiesz, ilu jest Iwanowów na wschód od Bugu? A Wędrowyczów jest mało.

— O jednego za dużo. Ale poradzimy sobie z tym. Cisnął kulą. Jakub błyskawicznym ruchem zerwał z szyi krzyżyk i cisnął jej na spotkanie. Kula eksplodowała. Zapaliła się ziemia, po chwili jednak wygasła. Jakub zacisnął dłoń na stylisku łopaty.

— I co ty na to łobuzie?

Czarownik zaczął się koncentrować. Powietrze wokół niego zamigotało. Złożył palce w dziwny znak i cisnął w stronę dziewczyny coś, co wyglądało jak przezroczysta kropla wody, a może zagęszczonego powietrza. Jakub odbił kroplę łopata. Uderzyła w jabłonkę w sadzie. Drzewko zakwitło, wydało owoce, które spadły na ziemię i uschło. Posypały się z niego liście, później gałązki, aż wreszcie rozsypało się na próchno.

— Ty, z czego jest ta łopata? — zdziwił się czarownik.

— Sam zobacz — odpowiedział obojętnie egzorcysta. W tej sekundzie jego postać siedząca na ławce zaczęła blednąć i rozpląwać się, on sam zaś pojawił się za Iwanowem i jednym cięciem łopaty obrąbał mu głowę. Chlusnęła krew. Ciało zaczęło padać, ale nim doleciało do ziemi, zniknęło. Iwanów zmaterializował się za Wędrowyczem. W ręce trzymał nóż. Zamierzył się do ciosu, ale jego uwagę przykuło zniekształcenie perspektywy koło pnia. Odwrócił się gwałtownie. W tym momencie Jakub zadał mu morderczy cios łopata. Czarownik zawył straszliwie. W ostatniej chwili uchylił się tak, że narzędzie ucięło mu nie głowę, ale rękę od łokcia w dół. Zaraz jednak powstrzymał krwawienie i przyłożywszy odcięty kawałek, przykleił go zrzęcznie.

— Srebro — powiedział z urazą w głosie. Zrobiłeś sobie łopatę ze srebra.

— Aha.

— Jeśli cały czas stoisz tu — to, co to było — to tam?

— Sam zgadnij.

Jakub pojawił się znowu za jego plecami i zadał kolejny cios łopata. Czarownik padł na ziemię zalany krwią i zniknął. Powietrze wystrzeliło z lekkim kłaśnięciem. Monika przypatrywała się temu z rozszerzonymi oczyma.

— Zdziwiona? — zapytał Jakub.

— Jak pan to zrobił? Gdzie on jest? Zabił go pan?

— Za dużo pytań naraz.

— To może po kolei?

— No dobra. Właściwie, to ten łobuz wcale nie ma tak dużej mocy magicznej. Posługuje się w znacznej mierze hipnozą. Zresztą sama zobacz, że jabłonka wróciła do normy, a i jabłka pod nią i liście gdzieś zniknęły. Metoda działania jest bardzo prosta. Na skutek silnej koncentracji pozostawia podczas rozmowy swój trójwymiarowy obraz wiszący w powietrzu, a sam oszukując nasze zmysły, wymyka się na bok i próbuje zająć nas od tyłu. Nie jest jednak zupełnie przezroczysty, a raczej powiem inaczej. Światło nie daje się tak łatwo oszukać i widać drobne zniekształcenia obrazu. Jeśli człowiek wie, gdzie ich wypatrywać, może wówczas dość łatwo go wysledzić. Wówczas wystarczy walczyć w to miejsce kijem czy łopata albo wystrzelić, aby go zranić.

— Ale przyczepił sobie tę uciętą rękę.

— No cóż, może panuje nad swoim ciałem, a może chciał, żebyśmy myśleli, że może to zrobić. Umie oszukać nasze zmysły. W sumie, gdy wczoraj pokazał mi, jak tego dokonać, to i ja to potrafię. Słyszałem, że podobnie jest z lewitacją. Gdy ktoś raz pokaże, jak tego dokonać, to potem możliwości wzrastają same.

— Lewitacja byłaby ciekawa.

— Byłoby co pokazać podczas obrony pracy magisterskiej?

— Sama już nie wiem, czy mam ją pisać. Ale chciałabym zobaczyć jak to jest z tym znikaniem.

Przyłożył jej dłoń do głowy. Skoncentrował się maksymalnie. Obok pierwszej Moniki pojawiła się na chwilę druga. Zaraz potem ta pierwsza wstała i przeszła kilka kroków. W tym momencie druga zniknęła. Jakub otarł pot z czoła.

— Zanadto się bronisz — powiedział. Zaufaj mi, co?

Kiwnęła głową. Druga Monika zmaterializowała się częściowo na pierwszej. Wyglądały jak jakiś koszmarny bliźniak syjamski.

— Zniknij się — polecił.

Wizerunek pozostał tylko jeden. Był za to zamazany. W powietrzu obok pojawiło się drganie. Były tam nawet kolory jej swetra.

— Zniknij to — wskazał wizerunek na ławce. Stała obok niego. Oddychała bardzo ciężko.

— Uf — powiedziała. Zmęczyło mnie to nieludzko.

Kiwnął głową.

— Nie upowszechniaj tego.

— Sama nie dam rady zniknąć.

— Może to i lepiej. Gdyby takie umiejętności poszły w lud, to strach pomyśleć, co mogłoby się stać.

— Dlaczego? To tylko zabawa... Chociaż...

— No właśnie. Twój chłopak i twoja kumpelka rozmawiają sobie z tobą, piją herbatę, a tymczasem ryćkają się w twojej własnej łazience.

— Co to znaczy „ryćkają”?

Wzniósł oczy do nieba.

— Naprawdę nie wiesz? To wprawdzie staropolskie i raczej gwarowe słowo, ale...

— Domyślam się.

— Wchodzisz do sklepu, targujesz się o jakiś drobiazg, a tymczasem podprowadzasz z zaplecza dzienny utarg, a im dalej, tym gorzej. Bandyty będą materializowali się za plecami ludzi, by wbijać w nich noże. Robotnicy będą skakali na piwo w godzinach pracy. Albo pomyśl o niewidzialnych typkach w twojej łazience.

Zaczerwieniła się, a potem popatrzyła podejrzliwie na Jakuba.

— Nigdy nie ośmieliłbym się — powiedział. Zresztą, byłoby ich trochę widać. Ale pomyśl o szpiclach podglądających dokumenty i podsłuchujących rozmowy.

— To chyba nie mogłoby rozwinąć się aż na taką skalę.

— Na razie nie. Mój rekord to siedem sekund. Ale z czasem mogą pojawić się lepsi. To się może źle skończyć. Dlaczego zielarze ukrywali całymi wiekami sekrety swoich mieszanek? Bali się wykorzystania ich wiedzy przez trucicieli.

— Aha. A wracając do lewitacji...

— Widzę, że niełatwo będzie wybić ci ten pomysł z głowy.

— A można go jakoś zrealizować?

— Dokładnie nie, ale jeśli chcesz nauczyć się latać, to mam pewną mieszankę, którą poznałem u znachorów z Dubienki, gdy leczyłem u nich zapalenie płuc. To taka maść. Rozbierzesz się do naga, nasmarujesz nią, kładziesz spać i w drogę. Ale później będziesz miała torsje i zawroty głowy przez kilka godzin.

— Z czego ona jest zrobiona?

— Same trucizny i to paskudne.

— Może lepiej obędę się bez latania.

— Zupełnie słusznie. Widzę, że jesteś rozsądną dziewczyną. Nauczę cię trochę o ziołach. Ale bez trucizn.

— Dobrze.

Wzięła swój notatnik. Poszli do szopy. Jakub ściągnął wysuszony pęczek spod sufitu.

— To jest macierzanka. Działa uspokajająco i moczopędnie.

— Jedno nie wyklucza drugiego?

— Ależ nie. A to jaskółcze ziele — wydobyl słoik wypełniony strąkami.

Każdy ze strąków był na końcu kapnięty kroplą butaprenu. Unosiły się w jakiejś cieczy.

— Mocno osolona woda — wyjaśnił.

Wyłowil jeden strączek i przełamał go. Z wnętrza zaczął wyciekać paskudny, żółty, lepki sok.

— To dość trujące — powiedział. Ale pomaga na kurzajki. Rozdrapujesz kurzajkę i smarujesz ją tym. Przechodzi, jak ręką odjął. Z kolei słoma makowa poza tą właściwością, że narkomani robią z niej kompot...

W tym momencie w drzwiach szopy pojawił się Iwanów. Widać było, że doszedł już trochę do siebie.

— Gramy dalej? — zapytał.

— A jakie zasady?

— Żadnych łopat.

— Zgoda.

Iwanów uśmiechnął się lekko.

— I żadnego znikania.

Jakub zmaterializował się za nim i strzelił mu w tył czaszki. Głowa czarownika eksplodowała na kawałki. Zaczął padać, ale i tym razem nie doleciał do ziemi. Zniknął. Po chwili znowu znalazł się cały i zdrowy. Siedział na belce stropowej pod dachem i bujał nogami.

— Miało nie być znikania.

— Aha — zgodził się Jakub.

Popatrzył na niego uważnie. A potem poderwał broń do oka i wystrzelił ponownie. Czarownik złapał kulę w powietrzu i obojętnie odrzucił ją na ziemię. Zeskoczył z belki i znalazł się tuż koło Jakuba.

— Zagramy w orła i reszkę? — zapytał.

— O co?

— Ta miła kicia cierpi na niedosyt wrażeń. Jeśli będzie orzeł, to możesz mnie zastrzelić. Jeśli będzie reszka, to ona może mnie zastrzelić.

— Hym, a jeśli nie zdoła tego zrobić?

— To gramy dalej.

— Dasz radę? — zapytał.

— W tym musi być jakaś pułapka — powiedziała. — Przecież to dla niego zbyt ryzykowne.

— Mądre dziecko — zauważył czarownik. — Niemniej jednak zrobię dokładnie tak, jak obiecałem.

— No to rzucaj swoją monetą.

— Jest w twojej kieszeni. Złota dwudziestodolarówka. Możesz ją udostępnić?

Jakub wyłowił z kieszeni złotą monetę i podał ją czarownikowi. Ten obejrzał ją uważnie, a potem podrzucił w górę. Egzorcysta odbezpieczył broń. Moneta upadła na krawędź i w tej opozycji zatrzymała się. Iwan parsknął śmiechem.

— Nierozegrane — powiedział. Może to znaczy, że powinienem was zabić?

— Tego nie było w umowie.

— Może było, ale nie wiedzieliście o tym? Powietrze cmoknęło i zniknął.

— Znowu zrobił się niewidzialny? — zapytała Monika.

— Nie. Powietrze wypełniło pustkę, która po nim została, a on sam jest gdzieś indziej.

— Tutaj — rozległ się jego głos zza ściany.

Pobiegli tam. Czarownik stał pośrodku obórki. Marika była przypięta na łańcuchu do kółka koło żłobu, choć Jakub nigdy jej nie przypinał. Starła się kopnąć tylnymi nogami, ale Iwanów stał akurat ociupinę za daleko.

— Ładny konik — powiedział — ale ździebko nerwowy, może warto by upuścić jej trochę krwi?

W jego ręce pojawił się paskudny, wielki, brudny nóż, a obok kubeł.

— Spróbuj, a będziesz zbierał swoje klejnoty z podłogi — zagroził Jakub.

— Masz tu nerwową klacz i niegłupią dziewczynę. Chyba wybiorę się na Nowy Majdan, poszukam czegoś do picia — powiedział. Tamtejszy bimber jest słynny...

— Metanolu mogę ci nalać.

— Wolę wino.

— Nie mam wina, które by się nadawało dla takiej skatiny, jak ty.

— Wiesz, dlaczego jeszcze żyjecie?

— Hym? No?

— Moje moce rozwijają się w starciu z wami. Im mocniej mnie ugodzicie, tym jestem silniejszy. Każdy cios jest wyzwaniem. Uczę się leczyć rany. Uczę się zadawać wam ból, abym mógł tym skuteczniej szkodzić wysłannikowi Watykanu. Jest jeszcze ciągle dla mnie zbyt silny. Ale już pomału nabieram wprawy. Na końcu zabiję was z pewnością, a na razie idę sobie. Tylko jeden mały żarcik na koniec. Masz nerwową klacz i niegłupią dziewczynę. Więc będziesz miał od tej pory nerwową dziewczynę i mądrą klacz. I niech ci wyjdzie na zdrowie.

Po czym zniknął.

— Chodźmy stąd — powiedział Jakub do Moniki. Dziewczyna stała na czworaka. Marika zarżała w przejmujący sposób, a potem spróbowała jakby coś powiedzieć. Popatrzył na nie obie i włosy stanęły mu dęba na głowie. W jednej strasznej chwili zrozumiał wszystko. Czarownik wymienił im dusze. Marika siedziała w ciele Moniki i w przerażeniu usiłowała rzeć. Monika w ciele Mariki szarpała za łańcuch i usiłowała coś powiedzieć, ale gardło końskie nie było zupełnie do tego przygotowane. I co najgorsze, Jakub nie miał pojęcia jak mógłby im pomóc. Delikatnie podniósł Marikę do pozycji wyprostowanej, a potem podszedł do Moniki i odpiął ją od kółka. Zarżała ponownie. Była to potworna parodia ludzkiej mowy.

— Nie rozumiem cię, niestety, — powiedział. Postaraj się mówić wolniej.

Płakała, ale starała się coś mu przekazać.

— Chodzi ci o uzdę?

Pokiwała głową.

— Rozumiem, że może to być dla ciebie krępujące.

Rozpiął jej pasek za uszami i zdjął ten element uprzęży. Marika oglądała z zaciekawieniem swoje ręce, a potem zaczęła zginać palce.

— Spokojnie — zwrócił się do Moniki. Postaram się zwrócić wam wasze ciała. Ale najpierw muszę wydusić tę informację od tego drania, a to nie będzie łatwe. Czy jeszcze czegoś potrzebujesz?

Zarząła z rozpaczą. Starał się wydedukować, o co jej chodzi.

— Sukienka? Chodzi ci o to, że jesteś goła? Tak, rozumiem, to może być trochę żenująca, ale nie przejmuj się. Ogon zasłania to, co najgorsze, a ja z całą pewnością nie będę tam ci zaglądał. A żadna twoja sukienka nie wbije się teraz na ciebie. Może ci uszyć coś?

Pokręciła głową.

— Dobrze. Masz w żłobie owies i siano. Woda jest w wiadrze. Może przyniosę ci tu radio?

Pokiwała głową. Popatrzył teraz na Marikę, która właśnie wypróbowała jak się odpina i zapina guziki.

— Postaraj się mówić po ludzku — poprosił. Teraz możesz. Pamiętasz mam nadzieję słowa?

Milczała chwilę. Wreszcie odpowiedziała z wysiłkiem.

— Tak.

Odetchnął z ulgą.

— Widzisz — zwrócił się do Moniki, która właśnie sprawdzała jak smakuje owies. Nie jest tak najgorzej. Wreszcie dowiem się jak głęboka jest inteligencja koni.

— Chcę mieć źrebaczka — powiedziała wolno Marika. Zawsze chciałam.

— Pomyślimy o tym, jak wrócisz do siebie — obiecał.

— Wkrótce będę mogła mieć, ale poczekam aż wrócę — powiedziała z trudem.

— Poczekamy. Przecież nie podstawimy Moniki pod ogiera.

Dziewczyna zamieniona w konia wydała z siebie długie oburzone rzenie. Jakub podszedł i pogłodził ją po boku.

— Przecież wiesz, że nie zrobiłbym ci czegoś takiego. Wiem, co czujesz. Możesz mi zaufać. Jeśli chcesz spać w normalnym łóżku, to w moim powinnaś się zmieścić.

— Trzeba będzie wzmocnić — powiedział Marika lekko charkotliwie. Zapasłem mnie Jakubie.

— Ja cię zapasłem? A kto stawał na tylnych nogach, żeby przez szpary wyskubywać siano ze strychu? Aha, jeszcze jedno. Może ty lepiej zrozumiesz, co twoje przyjaciółka ma do powiedzenia...

— Konie nie mówią. Nasze komunikaty są krótkie i mało treściwe. Ograniczają się do wymieniania powitań i nastrojów — powiedziała klacz zamieniona w dziewczynę. Chciałabym spróbować jak smakuje piwo, jeśli nie masz nic przeciwko.

— Znajdziesz butelkę w lodowce. Ale nie wypij naraz więcej niż połowę. Wystarczy nam tych kłopotów, które mamy.

Kiwnęła głową potakująco. Zupełnie jak wtedy, gdy była koniem.

— Ja pójde poszukam tego drania. Gdybym nie wrócił przez dwa dni, to skontaktuj się z Semenem. Może on coś wymyśli.

— Wróc.

— Jeśli nie wrócę, to będzie znaczyło, że nie żyję.

— Mogę cię wyszczotkować? — zapytała Monikę. Klaczka popatrzyła na Jakuba niepewnie.

— Ja już idę. Będziecie tu same. Musisz zadbać o swój wygląd. Opiekuj się nią — przykazał Marice.

— Zadbam o jej wygląd jak o swój własny — powiedziała.

Uśmiechnął się. Co za palant mógł pomyśleć, że konie nie mają poczucia humoru? Spod kurtki wydobyl kaburę z rewolwerem. Zawiesił ją na ścianie.

— To tak na wszelki wypadek — powiedział. — Jest nabity i zabezpieczony. Będziesz umiała?

Kiwnęła głową. Wszedł z obory i wyprowadziwszy z szopy motor, pojechał do wsi. Wyczuł Iwanowa niemal natychmiast. Iwanów wręcz go wzywał. Zatrzymał się przed gospodą. Wszedł do środka. Czarownik kiwał się przy stoliku, na którym stała bateria opróżnionych butelek. Przy nim stał agent i jeden glinowinka, praktykant.

— Próbował zapłacić tym — agent pokazywał złotą dwudziestodolarówkę.

— Zapiszmy w protokole. Moneta okrągła żółtego koloru z napisem twenty dolar... Zaraz to wyjaśnimy — powiedział praktykant.

Iwanów odgiął klapę marynarki i pokazał tkwiącą pod nią odznakę UB.

— Dokumenty obywatelu — glina był nieustępliwy.

— Jakub usiadł przy drzwiach.

— Pomóż mi — poprosił telepatycznie czarownik.

— Figę. Najpierw mi powiedz, jak odczarować dziewczyny.

— To bardzo trudne. Moglibyśmy pogadać gdzieś indziej?

— Co ci szkodzi, aby zniknąć?

— Przy dużym stężeniu alkoholu we krwi moje moce zawodzą. Jeśli Bieluch się o tym dowie, to będą kłopoty.

— Kim on właściwie jest?

— Zawsze był sługą mego pana, tak jak ja. Teraz przejął chyba kontrolę. Najwyraźniej jestem mu niepotrzebny.

— Dlaczego nie wrócisz do siebie?

— To nie takie proste. Mój pan mnie potrzebuje. Czekał już tyle wieków.

Niewidzialny Jakub podszedł do siedzącego i położył mu rękę na głowie. W jedenaście sekund później siedzący zniknął niespodziewanie w połowie jakiegoś usprawiedliwienia. Jednocześnie z depozytu w kieszeni gliniarza wyparowała złota dwudziestka.

Rozdział IX

Herberto był twardym człowiekiem. Zresztą, mięczaków nie szkolono na egzorcystów.

Wisiał w paskudnej piwnicy o pomalowanych olejną farbą ścianach. Nadgarstki związane drutem przerzucone miał przez bloczek. Przez dwa inne przecignięto sznury zaczezione o jego kostki. Wisiał więc w powietrzu w wyjątkowo niewygodnej pozycji. Tortura ta zwana była niegdyś kołyską Judasza i stosowała ją święta Inkwizycja. Wiedział o tym, uczęszczał na cykl wykładów z dziedziny archeologii prawa. Miejscowi ubecy stosowali ją bardziej na wycucie, ale dawała podobnie paskudne efekty.

— Pytam po raz ostatni — facet z mordą małpy był bardzo cierpliwy. Dlaczego cię tu przysłano?

— Obowiązuje mnie tajemnica spowiedzi. Ubek zgasił papierosa na jego pięcie.

— Takich szpiegów jak ty należy likwidować.

— Zostałem aresztowany pod zarzutem niszczenia rzeźby z dziesiątego wieku, choć rzeźba wykonana z takiego surowca nie przetrwałaby na wolnym powietrzu nawet roku, o tysiącu nie wspominając. Fakt, że uważa mnie pan za szpiega, jest dla mnie nowy i głęboko zasmucający.

— Portugalski duchowny, który przyleciał z przesiadką w Rzymie, a mówi po polsku jak rodowity Polak. To cholernie ciekawe. Nie masz tu rodziny ani znajomych, więc po co przyjechałeś?

— Moją rodziną jest cała ludzkość.

— To masz pecha, bo twój własny kuzyn chce się dowiedzieć, co inny kuzyn kazał ci zrobić.

— Nie odpowiem na żadne pytania. Przysięgałem milczeć.

Pitekantrop zapalił zapalniczką świeczkę i postawił ją pod stopą więźnia na podłodze.

— Mamy mnóstwo czasu. Poczekamy sobie aż staniesz się bardziej rozmowny.

Niebawem Herberto zaczął wyc. Wył jak zwierzę. Trwało to całymi godzinami. Tracił przytomność. Gdy ją odzyskiwał po oblaniu kubłem wody, zaczynał ponownie krzyzczyć. Pierwszy poddał się małpolud. Spuścił go na ziemię i zawlókł do celi.

— Jutro pogadamy znowu — obiecał.

Zakonnik nie odpowiedział. Popadł w całkowite odrętwienie.

* * *

Gdy czarownik odzyskał przytomność, leżał związany jak baleron w kałuży wody w jakiejś na wpół zatopionej piwnicy. Jakub siedział opodal i rozżarzał pogrzebacz nad palnikiem gazowym.

— No to, co, pogadamy? — zapytał.

— Nie mamy o czym.

— Na przykład o dziewczynie zamienionej w konia.

— A czy jej jest źle?

— Wiesz, o co mi chodzi. Nie o to, czy jest jej źle, czy może raczej głupio się czuje. Ja pytam, jak to odkręcić.

— Nie wiem, jak to odkręcić. Nie uczyłem się tego. Całe umiejętności przelano mi bezpośrednio do mózgu.

— Tym gorzej dla ciebie. Myślę, że na początek wypalę ci przyrodzenie.

— Jeśli to zrobisz, to dziewczyna nigdy nie odzyska swojego ciała.

— Chyba się wygadałeś.

— No dobra. Można to odkręcić. Muszę tylko sobie przypomnieć jak.

— Masz pięć minut.

Czarownik natężył swoją wolę. Alkohol we krwi i w żołądku bardzo mu przeszkadzał. Spróbował wydalić go przez skórę. Poszło. Nim upłynęło pięć minut był trzeźwiuteńki jak niemowlak.

— Czas minął — powiedział Jakub. — Gadaj.

Czarownik rozpląnął się powoli w powietrzu. Pozostała po nim tylko kałuża czystego spirytusu.

Mury ratuszowej piwnicy miały ponad sto pięćdziesiąt lat, ale nigdy w czasie swojego istnienia nie usłyszały takiej porcji wymyślnych przekleństw. Klątwy Jakuba wsiąkały w ściany. I pozostały tam na wieki. Każdy budynek ma swoją aurę. I w zależności od tego, czy przebywają tam źli, czy dobrzy ludzie, aura jest jasna lub ciemna. Hotele z reguły mają aurę bardzo ciemną i ona później oddziałuje na ich mieszkańców. Lepiej żyje się w hotelach nowych. Choć są i stare o dobrym rezonansie. A z domami bywa różnie. Jeśli mieszkali w nich dobrzy ludzie, atmosfera takiego domu koi jak dobre stuletnie wino. Jeśli ich mieszkańcy byli źli, atmosfera jest zabójcza dla dobrych ludzi.

Stają się źli, a ci źli jeszcze gorsi. W ratuszu bywali różni ludzie. Łotry, kanalie i karierywicy. Dobrych było niewielu. Jeśli chodzi o przenikanie przez ściany, to zły czarownik ma niewielkie szanse przeniknięcia przez ściany domu dobrych ludzi.

Przez ściany ratusza Iwanów przeniknął bez trudu. Podróżowanie pod ziemią było nawet dla niego niemożliwe, natrafił jednak na jakiś zapomniany loszek. Tam pozbył się więzów i poczekał aż Jakub, ciągle miotając wściekłe klątwy, głównie pod swoim adresem, odejdzie. Dopiero później przybrał niewidzialność. Ukrył się w bagażniku autobusu i odjechał. Do Uchań. Alkohol osłabił go. Musiał odpocząć przed ostateczną rozprawą z Wędrowyczem.

* * *

To była ciężka noc. Jakub pił i robił sobie wyrzuty. Miał wroga w ręku, a ten go przechytrzył. Monika leżała w łóżku nakryta pikowaną kołdrą i płakała nad swoim losem. Marika, która wypróbowała przez cały wieczór ludzką garderobę i kosmetyki, siedziała teraz w samej bieliźnie i starała się ją pocieszyć. Rżały coś do siebie. A potem poszły spać w jednym łóżku. W łóżku Jakuba, ale on nie miał im tego za złe. Sam przespał się na ławie w kuchni. Nad ranem obudził się i zaczął się intensywnie zastanawiać. W Chełmie przebywał egzorzysta. Egzorzysta wysłany, by rozprawić się z Iwanowem. Może on potrafiłby pomóc? Rano, gdy tylko dziewczęta wstały i zjedli śniadanie, Jakub wyszczotkował kurtkę.

— Muszę jechać do Chełma — powiedział.

— Kiedy wrócisz? — zapytała Marika.

Zdażył się już przyzwyczaić do jej głosu.

— Myślę, że po południu.

Pocałował każdą z nich w czoło, a potem wsiadł na motor i pojechał. Atak przypuścił od razu z grubej rury. Zaparkował motor u stóp Górki i pieszo wdrapał się na nią.

Jego znajomy Ksiądz Franciszek Daszyński kopał coś na grządkach za budynkami gospodarczymi.

— Niech będzie pochwalony — zagadnął Jakub, zdejmując czapkę.

— Na wieki wieków. Proszę, proszę. Jakub Wędrowycz się zjawił. Cóż pana sprowadza?

— Och, straszne problemy. Mam pytanie.

— Jeśli tylko będę umiał na nie odpowiedzieć...

— Czy nie słyszał ojciec o przybyłym z Hiszpanii egzorcyście, który ma tu walczyć ze złośliwym kapłanem?

Ksiądz złapał się za głowę.

— Skąd wiecie o tym Jakubie? Ojciec Saleta przekazał tą informację, z tego, co wiem, tylko mnie i to poufnie.

— Chym, no cóż, ja trafiłem na tego drugiego. Potrzebuję pomocy tego egzorcysty.

— To bardzo źle. Aresztowało go UB. Z tego, co mi wiadomo, na żądania konsula o dopuszczenie go do aresztanta wyparli się wszystkiego.

— Czy ojciec wie, gdzie go trzymają?

— Mają zakonspirowany areszt w dawnej siedzibie generała Hansa Hosena.

— O! Znam to miejsce, ale nie wiem, jak można by go stamtąd wydostać.

— Za to ja wiem. Odbędzie się dzisiaj powrót Wypruwacza z Chełma. Synu...

— Dziękuję za pomoc. Do zobaczenia ojcie.

Zbiegł po schodkach do motoru. W biegu przekształcił swój wygląd. Poczul się znowu młody. Znowu miał trzydzieści lat i był prawą ręką legendarnego Wypruwacza. Z przyczepki wydobył pepeszę i milicyjny mundur. Założył talerz naboju. Sprawdził, czy ma na podorędziu granaty. Ruszył aż się za nim kurzyło.

Przed była siedzibą generała był po dziesięciu minutach. Wydobył zza pazuchy granat i wyrwawszy zawleczkę, wrzucił go w uchylone drzwi. Budynkiem wstrząsnęła eksplozja. Wdarł się do środka. Jakiś ogłuszony częściowo detonacją ubek wybiegł z pomieszczenia z boku. Ruchy Jakuba były precyzyjne. Tak jak wtedy, gdy wiele tak temu oddział Wypruwacza zdobył już raz ten budynek. Tak jak wtedy, gdy jako egzorcysta odcinał szkieletowi głowę łopatą. Teraz wrócił do swoich wcześniejszych wcieleni. Złapał ubeka za gardło i rzucił nim o ścianę. Poprawił kolbę karabinu w żołądek. Ubek zwałił się na ziemię i tam zastygł. Jakub wygarnął w sufit z pepeszy krótką serię.

Brzęk szkła świadczył o tym, że pozostali kamraci ogłuszonego opuszczają siedzibę w takim pośpiechu, że nie uważają za słuszne tracić czas na otwieranie okien. Zbiegł do piwnicy, gdzie mieściły się cele i mała sala tortur pomysłu jeszcze generała. Z pomieszczenia z boku wyskoczył Małpiasty. Jakub nigdy nie czytał książek o pochodzeniu człowieka, ta gałąź wiedzy jakoś do tej pory umykała mu. W pierwszej chwili pomyślał, że ma do czynienia z oswojonym gorylem. Małpolud wziął straszny zamach i walnął go lewym sierpowym. W sekundę wcześniej drugi Jakub Wędrowycz pojawił się za jego plecami i rąbnął go z całej siły kolbą karabinu w łeb. Zmarnował nie więcej niż dziesięć sekund na wymalowanie na ścianie, krwią ciekącą z rozbitego łuku brwiowego leżącego, wielkiego i krzywego napisu.

„Wszystko zostanie pomszczone. Wypruwacz”.

Odstrzelenie kłódki, którą zamknięto celę, było dziełem jednej chwili. Zakonnik był przytomny.

— Kim pan jest? — wykrztusił na widok gościa w milicyjnym mundurze uzbrojonego w karabin.

— Ojciec Saleta?

— Tak. A kto pyta?

— Teraz jestem Wypruwaczem z Chełma, ale normalnie nie. Proszę za mną.

— Dokąd?

— Na wolność.

Pobiegli po schodach do góry. Jakiś ubek przechylił się przez poręcz. Jakub zawył potępieńczo i wypuścił w sufit kolejną serię. Funkcjonariusz zwiął. Motor czekał przed wejściem. Jakub zdarł z siebie milicyjny mundur i wtoczywszy zakonnika do przyczepki, ruszył ostrym gazem. Dyszał ciężko.

— Dokąd jedziemy? — zapytał Herberto.

— Do Wojsławic — wydyszał egzorcysta. Mam tam dla ojca robotę.

— Przepraszam najmocniej, ale powinienem pozostać tu na miejscu. Tego wymaga dobro mojej misji.

— Furda. Iwanów ukrywa się gdzieś w moich stronach i zbiera siły, aby się z księdzem rozprawić. Teraz mamy okazję go załatwić.

— Ale powinienem zniszczyć jeszcze posąg...

— Zdążymy.

Wepchnął pepeszę do przyczepki. Wyjechali na szosę do Wojsławic.

— Gonią nas — zauważył Herberto.

Faktycznie, narastający ryk i odległe jeszcze rozbłyśki niebieskiego światła wskazywały na zbliżający się pościg. Skoncentrowanie się podczas jazdy było bardzo trudne, ale Jakub ciągle jeszcze był w stanie totalnej euforii i dlatego udało mu się to. Milicjanci z nadjeżdżającego radiowozu zobaczyli jak z uciekającego przed nimi motocykla najpierw zniknął kierujący, potem rozwiął się w powietrzu pasażer razem z przyczepką. Sam motocykl jechał jeszcze kawałek, po czym przyśpieszył i także zniknął.

Obaj funkcjonariusze wyskoczyli z radiowozu i wgapiali się w zdumieniu w pustą drogę.

— Co to było? — Zdziwił się jeden z nich.

— Bo ja wiem? Słyszałeś, co powiedzieli przez radio? Że ścigamy człowieka podającego się za legendarnego Wypruwacza. Ponoć wdarł się do UB.

— Cholera, wszyscy kombinują jak stamtąd nawiać, a on chciał do środka?

— A może to był duch? Nie podoba mi się to, jak zniknął.

— Jest tam!

Motor właśnie zniknął za kolejnym wzniesieniem. Wskoczyli do glinowozu i wcisnęli gaz do dechy. Motor stał tuż za szczytem pagórka na szosie. Zatrzymali się obok. Na motocyklu siedzieli Herberto i Jakub.

— Dokumenty, rzućcie broń — zakomenderował starszy glina.

Obie postaci posłusznie podniosły ręce do góry, po czym motor zniknął. Odwrócili się zdezorientowani. Ich radiowóz właśnie rozpływał się w nicość. Jakubowi nie udało się to do końca. Pojazd pozostał półprzezroczysty.

— Kurwa! — zdenerwował się jeden z funkcjonariuszy. Kawałek dalej na drodze zmaterializował się na chwilę motor. Był w nim jedynie pasażer. Obaj dzielni obrońcy prawa złapali broń i ruszyli za nim. Powstrzymał ich silny wybuch. Odwrócili się i zobaczyli jak ich pojazd zamienia się w wypalony wrak. To Jakub wtoczył pod podwozie granat. Odwrócili się, aby przynajmniej złapać pasażera, ale motoru już nie było. Pojawił się dopiero na następnym wzniesieniu, ale oni nie mieli już siły, aby go gonić. Zresztą, na piechotę nie mieli specjalnych szans. Za to jeden miał krótkofalówkę. Wywołał posterunek w Chełmie i zaczął nadawać.

— Do wszystkich patroli. Sprawca napadu na siedzibę Urzędu Bezpieczeństwa ucieka czarnym motocyklem marki Zundapp szosą w kierunku Wojsławic...

* * *

Birski i Semen Korczaszko weszli na podwórko niewielkiego zadbanego gospodarstwa w pobliżu Lublina. Świeciło słońce. Dwójka małych dzieci bawiła się w oswojenie konia. Dawały mu kłaczki siana i usiłowały po przystawionym stołku wdrapywać się mu na grzbiet. Koń pozwalał ze sobą robić wszystko. W pewnej chwili podniósł głowę i spostrzegł Semena. Parzyli sobie przez chwilę w oczy. Zza szopy wyszedł gospodarz.

— Dzień dobry, moje nazwisko Birski — przedstawił się posterunkowy. Dzwoniłem do pana...

— Aha, tak. Pamiętam.

— To pan zgłaszał konia, który się przybłąkał?

— Tak, ja. To ten. Ogier, ale tak spokojna bestia, że w życiu takiego nie widziałem.

— Panie Korczaszko?

Semen podszedł do konia i przyjrzał mu się uważnie. Koń był niewątpliwie ten sam. Mrugnął do niego.

— To nie ten — powiedział.

— Jest pan pewien?

— Jasne. Po pierwsze jest mniejszy, po drugie miał gwiazdkę na czole innego kształtu, po trzecie zaś to jest ogier, a tamto to był koń.

— Jest pan pewien?

— Z pańskim prapradziadkiem pasalem konie dla hrabiego Alojzego. Pasaliśmy ich dużo. Cały tabun, w tym kilka było jego gości. Tylko raz się pomyliłem. Hrabia natarł mi wtedy uszy. To było dziewięćdziesiąt osiem lat temu. Od tamtej pory nie popełniłem ani jednego błędu.

I znałem wszystkie konie w okolicy. Mogę po kolei mówić, kto miał jakie konie i jak się nazywały, kiedy je kupił i kiedy poszły na kielbasę.

— No cóż. Skoro pan tak twierdzi.

— To co ja mam z nim zrobić? — Zaciekawiał się gospodarz.

— Na razie proszę przechowywać u siebie. Jeśli przez pół roku nie zjawi się właściciel, nabywa pan prawa do własności.

Poszli spisać protokół z oględzin konia. Semen podszedł do szkapy.

— Biorąc pod uwagę, co chciał ci zrobić, jesteś w moich oczach usprawiedliwiony — powiedział. Ale na przyszłość postaraj się nie zabijać ludzi.

Koń pochylił łeb w czymś w rodzaju pokłonu.

— No już dobrze — powiedział starzec i poklepał go po szyi, a potem dołączył i podpisał protokół.

Wykaligrafował swoje nazwisko staranną, przedrewolucyjną cyrylicą. Birski schował kopię protokołu do etui i wrócili do radiowozu. Wsiadając, Semen odwrócił się i popatrzył raz jeszcze na konia. W oczach ogiera coś zamigotało. Może to były łzy szczęścia?

Może popełniłem błąd — pomyślał, — ale do cholery mam prawo. Ostatecznie jestem już w najlepszym wieku, aby mieć starczą demencję.

Tymczasem Birski uśmiechał się do swoich myśli. Dlaczego stary podpisał się po rosyjsku? Może faktycznie, jak przebąkiwali co poniektórzy, nie znał polskiego alfabetu?

Dojeżdżali już prawie do Wojsławic, gdy odezwała się krótkofalówka w radiowozie.

— Do wszystkich patroli. W stronę Wojsławic ucieka czarny niemiecki Zundapp model 1942. Podróżują nimi Herberto Saleta, niebezpieczny szpieg oraz niezidentyfikowany osobnik podający się za legendarnego Wypruwacza.

Należy ich zatrzymać. Zachować ostrożność, są uzbrojeni w broń automatyczną.

Krew żywiej zakrążyła w żyłach Birskiego. Co nieco wiedział o pewnym czarnym motorze tej marki i niezidentyfikowanym osobniku nazwiskiem Jakub Wędrowycz, który miał zakopaną broń automatyczną, dużo amunicji i który urozmaicał sobie emeryturę różnymi drobnymi przestępstwami. Wysadził Semena na krzyżówkach, a sam ruszył ze znaczną szybkością w stronę Chełma. Zaraz koło bazy rolniczej minął go motocykl. W przyczepce siedział faktycznie jakiś Hiszpan w podartej sutannie, ale za kierownicą tkwił nie Jakub, ale jakiś trzydziestoletni na oko facet, o chorobliwe białej cerze i rozwianej grzywie białych włosów.

Motor miał czerwone siedzenia, podczas gdy ten Jakuba miał siedzenia wypłowiałe zielone. Motor przemknął koło niego jak burza. Zawrócił radiowóz i właśnie chciał wciśnąć gaz do dechy, gdy znieruchomiał zdumiony. Na szosie nie było ani motoru, ani ludzi. Potrząsnął głową. Zanim z komendy przyjechał jego zastępca Malinowski gazikiem, zdążył już przeszukać wszystkie rowy. Ale uciekinierzy rozwiali się jak sen.

Jakub wjechał motorem do szopy i zniweczył swój kamuflaż. Znowu był starcem. Starym dziadem. Herberto przyglądał się temu, milcząc ponuro.

— No cóż, dziękuję za uwolnienie — powiedział wreszcie.

— Nie dziękuj, nie jesteś wolny.

Herberto na wszelki wypadek udał, że nie rozumie.

— Komu zawdzięczam wydobycie z tej paskudnej piwnicy i późniejsze kiwanie gli-niarzy po drodze?

— Jestem Jakub Wędrowycz, miejscowy egzorcysta amator.

— Hym, a ja jestem Herberto Saleta. Można powiedzieć egzorcysta z wykształcenia i z zawodu.

— Zapraszam na obiad.

Weszli do domu. Przy kuchni krzątała się dość nieporadnie dziewczyna. W pokoju stała ładna, nieco wyleniała klacz i udzielała jej pouczeń modulowanym rzeniem.

— Pan pozwoli, że przedstawię — powiedział gospodarz. — To moja klaczka Marika — wskazał dziewczynę. A to panna Monika, studentka socjologii z Lublina.

— Czy jest pan pewien, która jest która? — zaniepokoił się egzorcysta.

— Całkowicie. Moje drogie. To jest Herberto Saleta. Wyśłannik z Watykanu. Ma wal-czyć z Iwanowem.

— Wolałbym, zachować incognito — zastrzegł się Herberto. Czy mogę spróbować telepatii?

Przenosił wzrok z dziewczyny na klacz i z powrotem.

— Proszę. Mamy nadzieję, że pomoże nam pan w naszych problemach. W zamian za to oferujemy pomoc z Iwanowem.

Herberto skoncentrował się. Wyczuł dość silnie aurę Jakuba. Rozpoznał w nim dziwnego człowieka, którego minął swojego czasu na Górcie w Chełmie. Potem skoncentro-wał się na stojącej przy kuchni dziewczynie. Znalazł w jej umyśle wizje wielkiego si-wego ogiera z ogromnym intereselem i małego brązowego źrebięcia. Ponadto było tam pragnienie trawy i owsa. Drobne łakomstwo skierowane pod adresem stojącej na stole cukiernicy wypełnionej cukrem w kostkach. Brwi uniosły mu się lekko do góry.

Skoncentrował się dla odmiany na klaczy. Klacz rozmyślała o swoim temacie pracy magisterskiej i denerwowała się faktem, że jest całkiem goła w obecności dwu męż-czyn. Wyłączył swoje zdolności.

— Do licha — mruknął. One faktycznie mają wymienione dusze.

— Odkrycie Ameryki w konserwie. Chciałbym, żeby ojciec coś z tym zrobił.

— Mogę spróbować egzorcyzmować. Ale wtedy, co najwyżej wygonię duszę na ze-wnątrz.

— No i świetnie.

— Ale nie wciśnie się w tą drugą.

— A może by tak jednocześnie?

— Jutro o wschodzie słońca. To najlepsza pora. Ale pod pewnymi warunkami.

— Spełnię każdy.

— Po pierwsze synu twoje zdolności do znikania. Skąd człowiek taki jak ty posiadał takie umiejętności?

— Może to zabrzmiało nieskromnie, ale wydarłem je w starciu z Iwanowem.

— Zmuszony będę ci je odebrać.

— Tylko tego brakowało! — zdenerwował się.

— Widziałem takie sztuczki tylko dwa razy w życiu i o dwa razy za dużo. To zbyt niebezpieczne. Nie zdołasz utrzymać tego w swoim umyśle. Wkrótce stada twoich wizerunków będą błąkały się po okolicy.

— Śmiem wątpić.

— To wzrasta w postępie geometrycznym. Ile czasu możesz teraz utrzymywać swój wizerunek po swoim faktycznym zniknięciu?

— Choćby i pół godziny.

— Sam widzisz. Znikają samochody, motocykle, zmieniasz swój wygląd. Wkrótce rozprzestrzenisz się na całą okolicę. Twoje widma będą chodzić po ulicach Warszawy, Berlina, wszędzie gdzie znajdziesz jakieś zaczepienie.

— Więc Iwanowowi też się nie uda...

— Wiesz, dlaczego książę Daniel przybył w te strony i z łatwością opanował tę ziemię? Było tu wielu wojowników, którzy wedle legendy, wyglądali tak samo. Ale byli głupi jak buty i z łatwością można było ich przechytrzyć. Aż któryś z jego ludzi zabił tego właściwego i wszystkie pozostałe widma zniknęły. Wielki Niedźwiedź potrzebował uwielbiającego go tłumu. Było mu obojętne, czy składać się będzie z prawdziwych ludzi, czy z wizerunków jednego człowieka powielanych w nieskończoność. I na tym przegrał.

— Innymi słowy jest fajnie, ale muszę się kontrolować?

— Nie, nie dasz rady tego opanować.

— Więc, co mam zrobić? Powiesić się od razu?

Herberto wyciągnął dłoń i dotknął jego czoła. Skoncentrował się na chwilę. Gdy cofnął dłoń, Jakub poczuł jakby ubył mu kawałek mózgu.

— Gotowe. Wybacz pan, ale naprawdę nie było innego wyjścia.

Klacz zarżała. Podeszedł do niej.

— Ty też? — zdziwił się.

Zamiast odpowiedzi pojawiła się obok jeszcze raz. Wówczas ta pierwsza zniknęła. Po chwili i ona była wolna od tej ciekawej umiejętności. Zarżała jakieś mętne pytanie.

— Nie rozumiem — powiedział ze smutkiem.

— Pyta o lewitację — odpowiedziała Marika z kuchni.

— Nigdy jeszcze nie spotkałem nikogo, kto umiałby latać — odpowiedział. Choć wielu udawało, że umie. Iwanów może także udawać. Jest mistrzem złudzeń.

— Jadą do nas gliny — odezwała się Marika. Dwa radiowozy.

Zakonnik pobladł, ale Jakub już odsuwał łóżko. Otworzył klapę i wepchnął gościa do bunkra, następnie zasunął łóżko na miejsce. Ledwo zdążył się z tym uporać, wjechali na jego podwórko. Z pierwszego radiowozu wysiadł Birski. Z drugiego jeden z ubeków z Chełma. Z tylnego siedzenia wygramolił się pitekantrop. Łeb miał obwiązany chustką. Zapukali. Jakub otworzył drzwi.

— Ojej, ilu gości — ucieszył się.

— Jakub, tym razem chyba się doigrałeś — powiedział smętnie Birski.

— Coś znowu przeskrobałem? — zdziwił się Jakub. Cywil wyjął z kieszeni jakiś papier.

— Urząd Bezpieczeństwa. Mamy nakaz ścisłej rewizji.

— Coś podobnego? — zdumiał się gospodarz. — To już UB się mną zainteresowało?

Ubek zajrzał do pokoju.

— Trzymacie konia w mieszkaniu? — zdziwił się.

— A nie wolno? — zdziwił się Jakub.

— Wolno, dlaczego by nie.

— Daj spokój — powiedział Małpiasty do ubeka. Przecież ten stoi nad grobem.

— Nic podobnego — oburzył się Jakub.

— Czy wyobrażasz sobie tego dziadka z pepeszą w ręce rozwalającego mi łeb kolbą?

— No faktycznie wygląda nieszczególnie, ale to o niczym nie świadczy. Gdyby zaszedł od tyłu, a to chyba było od tyłu?

— Przyjechał jeden. Na motorze. Wyjechali dwaj. On i ksiądz. Patrol, któremu spalili radiowóz twierdzi, że ten na motorze był młody i jasnowłosy.

— Ja też to obserwowałem — dodał Birski.

— Obejrzymy jeszcze twój motor — powiedział ponuro pitekantrop.

— Aha — poszli do szopy.

Motor prezentował się nieszczególnie. Był zapaćkany.

— Siedzenia są innego koloru — powiedział ponuro małpolud.

— Mógł zmienić.

— To sobie zobacz śrubki.

Ubek zajrzał.

— Faktycznie zardzewiałe na amen.

— Na chodzie? — Małpiasty zapytał Jakuba.

— W zeszłym roku jeździłem. Ale ostatnio wolę konno. Konie są mądrzejsze. I nie potrzeba do nich benzyny. Zresztą, odruchy mam już osłabione i bałbym się jeździć szybko.

— Trzymanie koni w mieszkaniu jest niehigieniczne — pouczył go małpison.
— Jedziemy.

I wynieśli się w diabły. Pojechali szosą do Uchań, gdzie podobno mieszkał ktoś, kto także miał niemieckiego Zundappa. Zaraz za kapliczką przy drodze na Hutę minęli staruszka o złośliwym spojrzeniu, który utykając lekko, wędrował w stronę wsi. Staruszek popatrzył za nimi ponuro, mrużąc oczy i wyszeptał przekleństwo tak straszne, że w chwilę później złapali gumę. Niebawem zszedł z drogi i wdrapawszy się na szczyt Zamczyska wyciągnął ręce w stronę Starego Majdanu.

— Ziapu! eł! Aąuk. Lubużia! — wyrzeszczał na wiatr, składając ręce w osobliwy znak.

Skutki czaru pojawiły się dopiero przed wieczorem. Ludzie śpieszyli z całej okolicy. Zbierali się w grupki i wędrowali na Stary Majdan do chaty Jakuba. Nim ogon pochodu wyszedł z Wojsławic pierwsze grupki dotarły już na miejsce. Jakub siedział właśnie przed domem na ławce i rozmyślał, gdy pojawili się pierwsi goście. Tak się złożyło, że w pierwszej grupie był Tomasz.

— Co was tu sprowadza, może napijecie się herbaty? — zagadnął.

Tomasz odchrząknął i zaczął mówić jako pierwszy.

— Jakub, krowy straciły mleko.

— Jakie krowy? — zdziwił się egzorcysta.

— Wszystkie krowy. W promieniu dwudziestu kilometrów.

— Pomożesz? — zapytała jakaś babina. Jakub nie znał jej osobiście, ale kojarzył, gdzie mieszka.

— A, co ja wam mogę pomóc? — zapytał bezradnie.

— Zapłacimy, no nie? Ktoś inny zdjął z głowy kapelusz. Cała wieś się zrzuci.

— Może lepiej wezwijcie weterynarza — zaproponował.

— Jestem — powiedział facet w sportowej kurtce. Żadnych widocznych przyczyn.

— Tylko ty możesz odczynić urok — powiedział Tomasz.

— Urok... Ciekawe, kto go rzucił.

Większość przybyłych podejrzewała właśnie jego i robiła teraz rachunek sumienia, co też mogli przeskrobać.

— Potrzebuję białej kury, butelki białego wina, może być na przykład ruski szampan oraz jednej krowy w celu wypróbowania zaklęć — zażądał.

Wszystko dostarczono z wsi w mgnieniu oka. Największy problem był z tym białym winem, ale i butelkę czegoś takiego udało się zdobyć. Monika wytknęła głowę przez okno. Marika siadła na progu. Ludzie ustawili się w krąg, otaczając krowę, kurę i egzor-

cystę. Herberto przebrany „po cywilnemu” wmieszał się między ludzi i także obserwował. Jakub wyrysował na ziemi krąg. Naciął sobie palec i obszedł, skrapiając krąg krwią. Kura i krowa pozostały w środku. Odkorkował butelkę i pociągawszy uprzednio solidny łyk, zaczął odmawiać nad krową mętne zaklęcia.

— Idź precz szylgana, ja ci to rozkazuję. Wróc mleko z nawiązką. Czumuk, tabul Acher.

Urznął głowę kurze i podrzucił ją wysoko. Wykrzykiwane przez niego słowa stawały się coraz trudniejsze do wymówienia. Wreszcie ręką umazaną w winie i krwi dotknął czoła krowy. Jej wymię zaczęło puchnąć aż napełniło się jak balon. Strumyczki mleka trysnęły na ziemię. Jakub kręcił się dookoła własnej osi coraz szybciej i szybciej. Wokoło jego postaci pojawił się wir powietrzny.

Ludzie przycisnęli czapki rękoma i cofnęli się do tyłu. Wir wolno rozchodził się i słabł. Jakub padł na ziemię. Z ust i kąsików oczu ciekła mu krew. Stracił przytomność. Marika podbiegła do niego i uniosła mu głowę. Zaraz też podbiegł weterynarz. Egzorcysta otworzył oczy.

— Wina — szepnął.

Podano mu prawie pustą butelkę. Wypił chciwie jej zawartość.

— Wody — poprosił.

Przyniesiono z obory wiadro. Wypił połowę i znowu opadł na ziemię. Był wycieńczony.

— Sprawdźcie jak reszta — powiedział.

Po chwili ludzie wrócili z radosną wieścią.

— Krowy mają mleko.

Ktoś zaraz zadzwonił do Wojsławic sprawdzić jak się tam sprawy mają. Mleko wróciło. Kapelusz krążył pośród tłumem. Gdy wrócił, był pełen banknotów. Ludzie wrzucali od stu do tysiąca złotych. Egzorcysta usiłował się wymówić, ale wreszcie przekonano go. Wziął pieniądze i pożegnawszy tłumy wielbicieli, wrócił do domu. Wysypał stos pieniędzy na łóżko.

— Przelicz proszę — zwrócił się do Mariki.

— Nie umiem liczyć — zaprotestowała. To znaczy nie aż tyle. Liczę worki na wozie. Wszedł Herberto.

— Trochę się różnymi metodami działania, ale chylę czoło — powiedział.

— Możesz ojcie pomóc przeliczyć ten niesamowity zarobek?

— Ależ oczywiście.

Liczył długo, a tymczasem gospodarz leżał na łóżku i dochodził do siebie.

— Dwadzieścia pięć tysięcy złotych — powiedział wreszcie. Z niewielkim ogonem.

— Marika, weź jakiś słoik. Wiesz, co to jest?

Kiwnęła głową.

— Wiem. Gdzie zakopać?

— Nie zakopuj. Postaw na strychu. Przyda się później. Niespodziewanie na ścianie zaczął pojawiać się napis.

Czekam na ciebie na zamczysku. Pośpiesz się.

Jakub zaklął.

— Właśnie wtedy, gdy jestem w kiepskiej formie.

— Może o to mu chodziło, gdy rzucał urok? — zagadnął Herberto. Pojedziemy razem?

— Nu, tylko tego mi brakowało, żeby mnie gliny z tobą przyuwały.

— Pojedziemy przez pola, jeśli się da?

— Można.

— Jestem po cywilnemu, a oni szukają zakonnika. Może uda nam się załatwić tego całego Iwanowa.

— Nie możemy go załatwić. Jeśli nie uda nam się odczarować naszych drogich przyjaciółek...

— Myślę, że będziemy walczyć z potęgą jego umysłu. Może uda nam się wydrzeć mu jeszcze coś.

— Nie byłbym takim optymistą. Ale niewykluczone.

— Kiedy wyruszymy?

— Za pół godziny będzie ciemno. W ciemności nie będzie widać, czy nie przemieszcza się jako niewidzialny. Musimy wyruszyć natychmiast.

Minutę później sadowili się na motorze. Droga, którą pojechali, była potworna. Same wyboje i głębokie koleiny wydarte w miękkim lesie przez koła traktorów, a potem skamieniałe po wysuszeniu. Przemknęli koło żydowskiego cmentarza. Herberto, który starał się wyczuwać echa okolicy, poczuł z tego miejsca cała lawinę emocji. Musiały wsiąknąć w ziemię, bo większość nagrobków rozkradziono. Emocje były różne. Leżeli tu ludzie, którzy żyli sobie całkiem nieźle i inni, którzy żyli gorzej. Była w nich jednak radość życia. Nad ich grobami unosiła się miłość pozostających i żal po starciu przyjaciół. I odrobina nienawiści promieniująca z tych najnowszych najświeższych grobów.

Przy okazji wyczuł myśli Jakuba. W jakiś sposób wiązały się z tym miejscem. W jego myślach walczyły ze sobą różne uczucia. Niechęć do kogoś. Żal po kimś, miłość, ale do kogoś, kto leżał gdzie indziej. To uczucie było szczególnie silne i bolesne. Sięgnął głębiej. Pod zewnętrznym pancerzem był mrok. Były tam myśli o zemście. Zadowolenie z powodu licznych ofiar tego uczucia. Dawno zaschła krew. Mściwa satysfakcja. Worek odrąbanych niemieckich głów przyniesiony tu na cmentarz, a potem wrzucony do rzeczki. Duchowny wzdrygnął się. Było tam też coś o spirytusie zaprawionym arsenikiem. Coś o okupantach, którzy zwijali się w agonii, podczas gdy jego współpasażer czytał spokojnie gazetę. Wycofał się z jego umysłu. Był wstrząśnięty. Niespodziewanie poczuł się, jak gdyby znalazł się pomiędzy młotem a kowadłem.

Co on, przybysz z dalekiego obcego kraju, mógł zrobić tu, gdzie wzięli się za bary złośliwy kapłan zamierzchłych kultów oraz samozwańczy egzorcysta-amator, a przy okazji kłusownik i wielokrotny zbrodniarz wojenny? Każdy z nich dysponował lisią chytrą, brakiem jakichkolwiek zahamowań do robienia bliźnim rozmaitych krzywd i przy tym sporą dawką chłopskiej logiki pozwalającą rozwiązywać nierozwiązywalne z pozorów problemy za pomocą ognia i noża. Jakub zwolnił.

— Ta góra to Zamczysko — wskazał ręką. Ja pojedę naokoło od strony stajni dworskiej. To te ruiny na szczycie.

Ty przemknij się od strony piaskowni. Powinna tam być ścieżka.

— Dobra. Nie zaczynaj beze mnie.

— Tego nie mogę obiecać. Iwanów może od razu zabrać się za mnie.

— Słusznie.

Zakonnik zeskoczył z przyczepki i pobiegł kłusem w stronę wyrobiska piasku, zaś Jakub pojechał dalej. Zaparkował koło ruin stajni.

— Jestem — powiedział głośno.

— Widzę — powiedział Iwanów. Zmaterializował się powoli. Był gotów do ucieczki lub ataku.

— Po, co mnie wezwałeś?

— Zagramy?

— O co?

— Jeśli będzie orzeł, to odczaruję dziewczyny. Jeśli reszka, to możesz mnie zastrzelić.

— Wolne żarty. Zabrałeś moją monetę.

— Masz jeszcze w kieszeni piętnastorublówkę.

— Mam też peerelowskie dziesięć złotych. Też jest na nim orzeł.

— Skąpiec — powiedział Iwanów z przekonaniem. Jakub wyszarpnął z kieszeni pistolet i wystrzelił, nawet nie celując za siebie. Rozległ się skowyt bólu i postać przed nim zaczęła znikać. Odwrócił się. Za nim stał czarownik. Był bez jednej ręki i brakowało mu kawałka ucha. Stojąc na jednej nodze, trzymał się za stopę drugiej.

— Niech cię cholera. Mogłeś mnie zabić!

— Och, proszę o wybaczenie. Co właściwie robiłeś za moimi plecami?

— Chciałem ci zasłonić oczy i zapytać „zgadnij, kto to”. Głupie pytanie. Tak swoją drogą, to chyba straciłeś zdolność do rozdawania się.

— Oddałem ją przestrzeni. Nieistotne.

Wystrzelił raz jeszcze znowu ponad ramieniem. Tym razem nie trafił. Ale czarownik i tak pojawił się w tym miejscu.

— Jesteś szybki, ale zezowaty — powiedział.

— Zez nie przeszkadza w celowaniu. Chyba, że jest połączony z astygmatyzmem.

— Tak... Gramy dalej?

Jakub wydobyl z kieszeni monetę.

— Jeśli będzie orzeł, to cię zabiję. Jeśli będzie reszka, to też cię zabiję. Jeśli upadnie na krawędź, to odczarujesz dziewczyny.

— Ech Jakub. Ty nawet o swojej klaczce mówisz „dziewczyna”. Rzucaj.

Rzucił. Moneta zniknęła.

— Chyba mnie obrabowałeś już drugi raz?

— Wybacz, ale sam mnie do tego zmusiłeś. Niezależnie od tego, jak by upadła, zabiłbyś mnie.

— Odczaruj dziewczyny.

— Ech, nie.

— Dlaczego nie?

— Przyłącz się do mnie. Będziemy razem władali tą ziemią.

— Będziemy niewolnikami niedźwiedzia.

— To nie jest zły pan.

— Nie obronił cię przed księciem Danielem.

— No cóż, nikt nie jest doskonały.

— Co oferujesz mi, w razie gdy się przyłączę?

— Patrz.

Część ściany stajni zamieniła się jakby w ekran projekcyjny. Pojawiła się na nim Monika. Była naga. Jakub poczuł przypływ pożądania.

— Nie tylko ona — szepnął Iwanów. — Także możliwości w tej dziedzinie, jakich nie miałaś nigdy w życiu.

— Nigdy nie myślałem za pomocą rozporoka. Co dalej?

Na ekranie pojawił się młody Jakub. Taki, jaki wizerunek nadał sobie przed południem. Silny, wysoki trzydziestolatek z grzywą jasnych włosów na głowie. Prawa ręka Wypruwacza. Fachowiec od mokrej roboty. Szaleńczo odważny i bardzo silny.

— Młodość — powiedział Iwan. Młodość prawie wieczna.

— Co jeszcze?

Na ekranie pojawiły się samochody, jakieś lokale, alkohol w zagranicznych butelkach.

— Oferuję ci władzę równą mojej.

— A, co trzeba by zrobić?

— Znajdziesz niejakiego Herberto de Saletę i zabijesz go.

— Dlaczego sam tego nie zrobisz?

— Nie umiem go znaleźć. Jego obraz jest dla mnie niepoznawalny.

Herberto wyrósł za jego plecami i zarzucił mu strunę fortepianową na szyję.

— Mamy go — powiedział.

Czarownik usiłował złożyć z palców jakiś znak, ale Jakub dał mu po łapach. Okazało się przy tym, że tylko jedna jest prawdziwa. Druga była niematerialna. Przywiązali go do drzewka za stajnię.

— A teraz gadaj — powiedział egzorcysta. Jak odczarować dziewczyny?

— Nic ze mnie nie wyciśnecie.

Jakub pobiegł do motoru. Wrócił z kanistrem benzyny.

— Obawiam się, że wkrótce staniesz przed obliczem odźwiernych piekła — powiedział spokojnie.

Herberto powstrzymał go gestem.

— Poczekaj. Zawsze zdążymy go spalić. Najpierw niech mówi. Gdzie jest posąg?

— Gównu ci do tego. Nigdy go nie dostaniecie. Nawet Daniel go nie tknął, bo się nie odważył.

— O tym sami zadecydujemy.

— Przyłączcie się do mnie — zachęcił. Dostaniecie wszystko, czego wam będzie trzeba. Wszystkie marzenia. Absolutna władza.

— Tak? — zdziwił się Hiszpan. Na przykład?

Naga Monika pojawiła się w powietrzu. Zasłaniała sobie wstydliwie najintymniejsze detale, ale uśmiechała się zachęcająco.

— Wiesz, dlaczego nie damy się nabrać na lep twoich obietnic? — zapytał Jakub.

— Dlaczego? — zaciekał się związany.

— Dlatego, że niczego nie obiecujesz naprawdę. Jesteś mistrzem złudzeń. Zsyłasz na nas obrazy. Wszystko jest dla ciebie iluzją, a tymczasem odrąbałem ci rękę. Wyobraziłeś sobie nową i sprawiłeś, abyśmy ją widzieli, ale nie jesteś w stanie powstrzymać nas przed zabiciem ciebie.

— Zagramy?

— Co? — zapytał zakonnik.

— Masz przy sobie złote ośmiorealowe peso. Wicekrólestwa Peru. Wybierasz znak mennicy w Limie czy herb Kastylii.

— A co będzie stawką?

— Jeśli wypadnie Lima, wypuscicie mnie. Jeśli herb, ja wypuszczę was. Jeśli stanie na krawędzi, moneta wzbogaci moją kolekcję.

— Odczaruj dziewczyny.

— Nie.

— Postoisz do rana, to może zmądrzejesz.

W tym momencie strzeliły płomienie. Sznur spalił się na popiół. Ziemia wokół zadymiła. Czarownik uwolniony z więzów przeszedł kilka kroków w bok.

— Nigdy już nie uda wam się dostać mego ciała — powiedział.

Jakub strzelił do pnia. Kula zagłębiła się w drewno, okruchy żaru rozprysły się wo-koło.

— Wcale nie panuję tylko nad złudzeniami. Zresztą, krowy naprawdę straciły mleko — powiedział. Pogadamy?

— Możliwe — odezwał się Herberto. O czym chcesz mówić? My chcemy cię zabić. Ty chcesz nas przekabacić. Chyba nie mamy o czym.

— Na przykład o tych biednych zamienionych miejscami kiciach, ale może później. Na razie pokażę wam trochę swojej mocy.

Stanął na krawędzi skarpy i wyciągnął ręce ponad wieś. Wyrzucił z siebie długie mętne zdanie. W kilkudziesięciu miejscach jednocześnie wystrzeliły płomienie. Było je doskonale widać w ciemności. Ludzie krzycząc, biegali między domami. Zaraz też poja-wiły się dwa wozy strażackie. Ale strażacy nie radzili sobie z żywiołem.

— Złóżcie mi pokłon, aby ratować tych ludzi — rozkazał.

— Idź się wypchaj — powiedział Jakub.

Po pierwsze w gminie mamy tylko jeden wóz strażacki, a poza tym jak szybko on się pojawił? W pięć sekund po wybuchu pożaru?

— Lepiej przyjdźcie jutro — powiedział Iwanów ze złością i zniknął.

— Wracamy — zdecydował emisariusz Watykanu. — Już za ciemno, żeby się dalej bawić w te podchody.

— Dobra. Ale jutro znowu spróbujemy.

Wsiedli na motor i pojechali. Na Zarowie. Wbrew pozorom Jakub nie zapomniał o wampirach na austriackim cmentarzu. Zaparkowali w starym miejscu.

— Po co mnie tu przywiozłeś? — zapytał Herberto.

— Zapolujemy?

— Na co?

— Na wampiry.

Daleko na polach pojawiło się niebieskie, migoczące światełko. Radiowóz.

— Cholera — zaklął Jakub. — Znowu ten idiota.

— Znikamy?

— Tak!

Uruchomili motocykl i pojechali przez las do szosy. Raz jeszcze udało im się zwiać.

Znalazszy się na cmentarzu, Iwanów rzucił ukradziony rower w krzaki, a następnie zniweczył obraz radiowozu z włączonym kogutem. Stanął pośrodku cmentarza i wsłu-chał się w głosy zmarłych. Ziemia ziała nienawiścią. Nienawiść była straszna. Nie wia-domo, kto nazwał to miejsce bratnią mogiłą. Ci, którzy leżeli w masowych grobach, mimo upływu siedemdziesięciu lat, gotowi byli skoczyć sobie nawzajem do gardeł. Kilku tylko zdołało się jakoś porozumieć. Tych zdecydował się pominąć. Potrzebował nienawiści. Strasznej nienawiści. Odszukał najsilniej promieniujące nią miejsca i tam

zaczął kopać. Niebawem natrafił na resztki skrzynek z amunicją, które zakopywali tam niegdyś partyzanci. W tej chwili poczuł za swoimi placami czyjąś obecność. Nie zdążył się odwrócić, gdy otrzymał silny cios kijem w głowę. Upadł nieprzytomny na ziemię. W chwilę później z grobu, którego nie zdążył rozkopać do końca, wyłazł wampir. Wampir był typowym przedstawicielem swojego gatunku. Za życia Rumun, imieniem Ilon. Obecnie o nieco zdefasonowanej urodzie. Zęby miał oczywiście takie jak trzeba. Popatrzył na leżącego.

Drugi wampir, Mefiu, stał nad leżącym, trzymając jeszcze ciągle w ręce kawał kija.

— Co to za hiena? — zaciekał się mieszkaniec rozgrzebywanego grobu.

— Musi Jakub Wędrowycz.

— No, co ty. Gdyby to był Wędrowycz, to zbierałbyś teraz swoje resztki z okolicznych drzew. Nie zapominaj, ilu naszych załatwił.

— Dostanę order?

— Durniu, Wędrowycz nie dałby się tak łatwo załatwić.

— To co robimy z tą padliną? Można by trochę krwi...

— Tak, oczywiście. Znowu ci się chce po tamtej jałówce?

— Dlaczego by nie?

— Obzartuch. Mieliśmy mnóstwo czasu.

— Tak. Mieliśmy.

— To teraz poczekamy sobie na następną okazję.

— Mamy go zostawić?

— Tego nie powiedziałem. Wędrowycz miał kumpli. To zapewne któryś z nich.

Trząchnij nim, niech dojdzie do siebie.

Palce wampira zapadły się w ciało.

— Ki diabeł? On jest niematerialny?

— Niemożliwe. Przecież go stuknąłeś.

Ciało na ziemi zniknęło. Iwanów zmaterializował się kawałek dalej.

— Czołem sokoły — powiedział.

— A ty, kto?

— Och mniejsza o to. Nazywają mnie Iwan Iwanowicz.

— Ruski?

— Aha.

— Całkiem jak ci Ruscy, którzy nas zabili. Co z nim zrobimy?

— Ja myślę, że można by...

Iwanów zmaterializował się tuż przed nim z kluczem francuskim w łapie. Jednym ruchem wybił wampirowi kiel, a potem znowu zniknął.

— Chyba nic mi nie możecie zrobić — odezwał się, pojawiając na gałęzi drzewa. Bo widzicie, jestem dla was za sprytny — stał teraz za nimi. Ale możemy się dogadać.

— Dogadać? — zdziwił się Ilon.
— Mamy wspólnych wrogów. Co powiecie na to, żeby załatwić Wędrowczyca?
— Nie wiemy nawet, gdzie mieszka.
— Ja wiem.
— Co w zamian? — Mefm chciał za wszelką cenę coś wytargować.
— Możecie wyssać krew z niego, dziewczyny, która z nim mieszka i jeszcze jednej szkapy. Nie wspominając o tym, że właściwie nie macie innego wyjścia.
Kiwnęli głowami. Zaczęli tłumaczyć im drogę.

* * *

Dziewczyny poszły spać do obory. Herberto spał na ławie w kuchni, a Jakub w swoim łóżku. Spał czujnie, tak jak zawsze. Około północy obudził go cichy dźwięk. Coś usiłowało podważyć okno. Zsunął się cicho z łóżka i wymknął na zewnątrz. Pierwszy raz w życiu widział wampira. Dwa wampiry. Wampiry usiłowały otworzyć okno. Cichutko przebiegł do szopy.

— Tu jestem niedojdy — powiedział.

Łopata, ta srebrna, stała na podorędziu. Buchnęły dwa kłęby dymu. Wampiry zamieniły się w nietoperze i ruszyły pikującym lotem w jego stronę. W ostatniej chwili, gdy były już tuż tuż, machnął w powietrzu siecią rakarską. Oba wpadły w pułapkę.

— Herberto! — wrzasnął.

Nadbiegł zakonnik.

— Co się stało? — zapytał.

Krzyk gospodarza wyrwał go ze snu.

— Mam dwa wampiry. Potrzęsnał siecią.

— Zwykle nietoperze — zaprotestował rozbudzony. — Zostaw, są pod ochroną.

— Tak myślisz? Potrzymaj.

Zakonnik wziął sieć w ręce. Jakub ujął łopatę w spracowane dłonie a potem dotknął ostrzem obu nietoperzy. Przemiana zaszła błyskawicznie. W sieci, która wpiła się teraz w ich ciało do kości, miotali się dwaj austriaccy żołnierze.

— Zwykle nietoperze, co? — zakpił egzorcysta amator.

— Zwracam honor.

Przyładował im z całej pary łopatą i chyba udało mu się ich ogłuszyć. Wywlókł sieć na środek podwórza i polał sporą ilością benzyny z kanistra.

— Ma pan ogień? — zapytał zakonnika.

— Chyba nie chcesz ich spalić? — zdenerwował się.

— Dlaczego nie?

Herberto zamyślił się. Faktycznie nie było żadnego powodu, dla którego nie mieliby się z nimi rozprawić. W minutę później oba wampiry płonęły jak pochodnie. Wkrótce pozostała z nich kupka popiołu. Egzorcysta amator wykopał niewielką dziurkę w ziemi i zgarnął do niej resztki przepalonych kości.

— Gotowe — powiedział. Poszli spać.

Rozdział X

Tymczasem Marika w samej halce przemykała się cicho przez Stary Majdan. Mimo ciała dziewczyny, wiódł ją koński instynkt. Miała też swoją pamięć. I korzystając z względnej swobody poruszania się, mogła coś sprawdzić. Nikt jej nie widział. Wieś spała. Wślizgnęła się do stajni naprzeciw remizy. Przywarła do ściany. Księżyc dawał słabe światło. Wypatrzyła jednak w poświacie padającej z okienka wielkiego, karego ogiera. Przyglądała mu się długo. Oceniała, czy nadaje się, aby dzielić z nim przyjemność dawania życia. Czy będzie odpowiednim kandydatem na ojca małego, brązowego źrebaczka? Wreszcie doszła do wniosku, że chyba się nadaje. Wymknęła się ze stajni i puściła się biegiem przez pola za wsią. A potem nagle poczuła, że nie jest sama. Coś biegło za nią. Wielki szary wilk. Końskie przerażenie ogarnęło jej ciało, ale koński instynkt podpowiedział jej, co ma zrobić. Padła na kolana, a gdy zbliżył się na odpowiednią odległość, wyrzuciła z całej siły obie nogi do tyłu. Jak koń, który się broni. Trafiła go obiema stopami w głowę. Rozległ się paskudny chrzęst, gdy pękał mu kręgosłup. W ostatniej sekundzie agonii zdołał ją złapać zębami za łydkę. Nawet tego nie poczuła. Poderwała się i puściła się dalej biegiem. Dobiegła do źródła. Zrzuciła halkę i zanurzyła się w wodzie. Był początek marca, woda była lodowata, ale Marika nie odczuwała chłodu. Popływawszy chwilę, założyła na mokre ciało bieliznę i pobiegła dalej. Nawet się od tego nie zaziębiła. Miała końskie zdrowie, mimo ludzkiej powłoki.

* * *

Świtało. Jakub wraz z Herberto Saletą stali na podwórzu. Każdy z nich koncentrował się z całej siły. Jeden na klaczy, drugi na dziewczynie. Pot spływał z nich ciurkiem. Herberto wyrzucał z siebie łacińskie formułki egzorcyzmujące. Jakub wyrzucał formułki po starocerkiewnosłowiańsku. Przyroda milczała. Dusze klaczy i dziewczyny prawie były już oddzielone. Niestety, w decydującej chwili spokój niezbędny do właściwej koncentracji zburzyła syrena radiowozu. Nastrój prysł. Powietrze przestało drgać. Nie udało się. Herberto zapadł w bunkrze. Radiowóz wjechał na podwórze.

— Zabiję kiedyś tego palanta — powiedział Jakub do Moniki i Mariki.
Birski nadszedł dziarskim krokiem.

— Jakub, mam z tobą do porozmawiania.

— Coś się stało?

— Tak jakby. Bedryszko nie żyje.

— To źle pan trafił. Ja do niego nic nie miałem. Ani on do mnie.

— Nie o to mi chodzi. Wcale cię nie podejrzewam. Wyobraź sobie, ktoś złamał mu kark. Kopnięciem, jak wynika z oględzin, ale musi to potwierdzić jeszcze kryminalista.

— Kopnięciem?

— Aha. Miał może, jakich wrogów?

— Wszyscy we wsi byli jego wrogami. Poza mną i moimi sąsiadami. Nie lubili go. Był bardzo tajemniczy. Często włóczył się nocą po polach. Odludek i dziwak, ale żeby ktoś go miał zabić? Nawet nie było motywu. Był biedny jak mysz kościelna.

— Jakub.

— Tak?

— Ty go nie zabiłeś?

— Nie.

— Tak myślałem. Jesteś kłusownikiem i alkoholikiem, ale nie mordercą... Za to jesteś miejscowym znawcą magicznych sztuczek i zabobonów.

— Staram się. To wreszcie pan uwierzył, że nie jestem hieną cmentarną?

— Moja wiara nic tu nie znaczy. Dla sądu liczą się fakty.

— Miałem złych adwokatów.

— Wyjaśnij mi, co to znaczy, jeśli mamy psi trop, a na końcu leży martwy człowiek.

— A trop się w tym miejscu urywa?

— Właśnie. Za to są jeszcze ślady ludzkich stop. Drobnych i bosych.

— Osoba o drobnym stopach przyniosła ciało na to miejsce i rzuciła na ziemię, a za to podniosła psa.

— A jeśli zapytam, po co?

— Zapewne dla zmylenia milicji, która będzie tą zagadkę rozwiązywała.

— Gdyby niosła nieboszczyka na plecach, to nie mogłaby biec. A ślady wskazują na to, że biegła i to biegła szybko.

— Też jest na to wyjaśnienie. Bedryszko miał na nogach specjalną nakładkę imitującą ślady psa. Widziałem takie w muzeum w Anglii, jeszcze przed wojną. Tamte udawały ślady krów. Zakładali je rozbójnicy na nogi koni.

— Hym. A jak pan wyjaśni fakt, że nieboszczyk był nagi? Butów też nie miał.

— Obawiam się, że nie potrafię wyjaśnić tej zagadki. Ktoś nieźle obznajomiony z ludowymi zabobonami mógł udać, że nieboszczyk był wilkołakiem i dokonał całej inscenizacji. Okręcił sobie nogi szmatami, żeby nie zostawiać śladów.

— Czy pan ma jakichś wrogów?

— Całą wieś. Wyzywają mnie od ukraińskich świń, malują gwiazdy Dawida na ścianach, rzucają kamieniami.

— A na dniach ściągęli tu tłumnie.

— Ciemniaki. Kilka krów straciło mleko. Myśleli, że to ja rzuciłem urok. Taka ciemnota.

— Dobrze, nie mam więcej pytań. Pożegnam pana.

— Żegnam i ja.

Odjechał. Jakub zamyślił się. Iwanów zmaterializował się powoli. Było ich trzech. Każdy inaczej ubrany.

— Trochę nie wyszło. Co? — zagadnął.

— Co miało nie wyjść?

— Odczarowanie dziewcząt.

— Słuchaj, mam dla ciebie propozycję nie do odrzucenia.

— Tak?

— Odczaruj je, a ja pozwolę ci pójść sobie wolno i nie będę przeszkadzał, jak się weźmiesz za wykańczanie Herberta.

— Ciekawe. Ale nie jestem zainteresowany. Nie dacie już rady mnie pokonać. Nie wiecie nawet, który ja jestem tym prawdziwym. A wkrótce będzie mnie jeszcze więcej. Nadamy moim wizerunkom pozory życia. Będzie ubaw. Możecie się przyglądać. Nie zabraniam wam.

— Słuchaj, to, że Bedryszko stał się wilkołakiem, to twoja zasługa?

— Trochę. Ludzie mają różne zdolności i różne pragnienia. Ja pomagam je wydobyć. Uczynić z nich sens ich życia. W zamian za to płacą służbą mojemu panu. Możesz mieć, co tylko zechcesz. Przemyśl to.

— Na przykład?

— Marika rozmyśla o ogierze. Ma na tym punkcie obsesję. Zbyt długo nie pozwalała jej mieć żrebaka, a Monika myśli o pewnym artyście. Mogę sprawić, że będzie myślała tylko o tobie. Jestem mistrzem złudzeń. Mogę ci ofiarować jej miłość. Nie do odróżnienia od prawdziwej.

Pstryknął palcami i naga dziewczyna już tuliła się do gospodarza.

— No i jak? Dziewczyna zniknęła.

— Była materialna?

— Złudzenie absolutne nie różni się niczym od rzeczywistości. A mam w zanadru jeszcze wiele ciekawych sztuczek. Pomyśl o tym.

— Jak się z tobą skontaktować, jeśli podejmę jakieś decyzje?

— Napisz cegłą na ścianie obory. Przyjdę. Rozwiął się w powietrzu. Herberto wyszedł z szopy.

— Wszystko słyszałem.

— To niedobrze. Pójdziemy w pole?

— Po co?

— Chcę poszukać pewnego zioła.

— O tej porze roku?

— Może znajdę zeszłoroczne na miedzy.

— No to chodźmy. I tak nie mamy nic do roboty. To znaczy powinniśmy ścigać tego łobuza i zabić go.

— Najpierw dziewczyny. Jeśli nie uda się ich odczarować, to nie możemy go zabijać. To dla nich jedyna droga do odzyskania właściwych ciał.

— Polemizowałbym. Dziś rano prawie się udało.

— Niejakemu Adolfowi prawie udało się wygrać wojnę.

— Jutro uda się z pewnością. Zresztą, uważam, że dusze na niewłaściwych miejscach trzyma jedynie wola tego drania. Jeśli się go pozbędziemy, to może uda się...

— Sprawdźmy. Na razie chodźmy w pole poszukać trawki. Może nie będzie trzeba uciekać się aż do zabijania Iwanowa.

— Hym?

— Jesteś pan panie Saleta egzorcystą, a nie łowcą duchów. Spróbujmy wygnać z Iwanowa duszę czarownika.

— To mi nie przyszło do głowy.

— Ech, ciemnoto jasnowidzów.

Zostawili obie dziewczyny i poszli. Niebawem drogą od pekaesu nadszedł młody ćwok w berecie przekrzywionym malowniczo na bok. Niósł teczkę na rysunki. W jego krwi znajdowało się duże stężenie różnych substancji chemicznych, dzięki czemu był na niezłym haju. Dopytawszy się najpierw, gdzie mieszka Jakub Wędrowycz, przy czym okoliczna dzieciarnia miała mnóstwo uciechy, wskazując mu różne błędne adresy, wszedł wreszcie na właściwe podwórze. Zaraz też spotkał Marikę.

— Cześć Moniko. Znalazłem cię. Nieładnie tak uciekać bez pożegnania.

— My się znamy? — zaciekawiła się

— Nie zgrywaj się. Tęskniłem za tobą.

Monika wybiegła ze stajni i złapała go niespodziewanie zębami za siedzenie. Zawył. Rzuciła go na ziemię i zatańczyła kopytami i o centymetry od jego twarzy. Rżała przy tym, starając się jak najlepiej wykorzystać końskie struny głosowe do wydawania ludzkich dźwięków. Artysta zbladł.

— Jezu — wymamrotał — ta szkapa mówi?

— Szkapa? — zdenerwowała się Marika. Uważaj, co mówisz. Długo pracowałam nad swoim wyglądem.

Głos był inny niż u prawdziwej Moniki. Usłyszał to.

— A kim ty właściwie jesteś — zdziwił się. Jesteś tak podobna do Moniki... Może jesteś jej siostrą?

— Jestem Marika. Jestem kłaczą Jakuba Wędrowczya, a Monika stoi za tobą palancie.

— Odwrócił się i popatrzył na stojącą za nim kłacz.

— Pierdoły — powiedział wreszcie.

Monika znowu próbowała mówić. Tym razem wsłuchiwał się uważniej.

— Coś podobnego — wymamrotał. Bardzo mi miło, Tomek jestem.

Iwanów zmaterializował się z powietrza.

— Wot te na — powiedział. Przedstawiciel młodego pokolenia. Artystyczna Bohema?

— Można tak to określić.

Monika podkradła się od tyłu i kopnęła czarownika.

— Chodźmy gdzieś, gdzie będziemy mogli pogadać — powiedział. Na przykład do tej chałupy.

Weszli do domu Jakuba. Siedli w „salonie” na fotelach.

— Wygląda mi pan na człowieka, który wie, czego chce — powiedział czarownik, uśmiechając się. Miałbym dla pana małe zlecenie.

— A co ja z tego będę miał?

— Dostaniesz Monikę. Bo do tej pory zdaje się nie lubiła cię?

— Aha.

— Będzie ci posłuszna. Uległa. Co ty na to?

Młody artysta roześmiał się.

— Wolne żarty.

— Uważasz, że nie zmuszę jej do tego?

— Nie wiem jak. Zresztą, co to za heca z tą zmianą miejsc?

— Drobnostka. Postanowiłem urozmaicić jej życie.

— Kurde, jeszcze w życiu nie miałem takich majaków po prochach.

Iwanów obraził się.

— Wrócę jak wytrzeźwiejesz.

— Nie chcę trzeźwieć. Jestem artystą.

Czarownik zniknął. Artysta zażył sobie jeszcze jedną tabletkę wynalazku produkcji swojego kumpla i zapadł w niebyt. Jakub i Herberto nadeszli po godzinie.

— A to, co za padlina? — zdziwił się gospodarz, widząc na podłodze leżącego bez przytomności, a za to z błogim uśmiechem na ustach, chłopaka.

— Przyjechał do Moniki w odwiedziny. — wyjaśniła Marika. Artysta. Gadali o czymś z Iwanowem, a potem łyknął coś i zwałił się na podłogę.

Herberto otworzył jedno oko leżącego. Żrenica wypełniała je prawie całkowicie.

- Przedawkował jakiś narkotyk — powiedział.
- Narkotyk? — zaniepokojony się Jakub. Ojciec zna się na tym?
- Trochę.

Egzorcysta amator padł na kolana i zaczął przeszukiwać kieszenie leżącego. Znalazł trochę jakichś tabletek w słoiczku i buteleczkę czegoś.

- Co to? — zaniepokojony podsunął buteleczkę zakonnikowi.
- Zakonnik odkorkował i powąchał.
- Chyba LSD. Mocny środek. Wywołuje halucynacje i zaburzenia jaźni.
- Chyba wiem, co zrobimy.
- Co?
- Zobaczysz. Na razie pomóż mi zawlec to ścierwo do piwnicy.
- Zawlekli. Następnie Jakub napisał kawałkiem kredy na ścianie stajni:

Chyba się dogadamy. Wpadnij, potargujemy się jeszcze przy piwie.

Czarownik niebawem się zjawił.

- Wierzyłem w wasz rozsądek — powiedział, sadowiąc się za stołem. A gdzie ten miły młodzieniec?
- Poszedł do Wojślawic dokupić piwa. Ale wróci przed wieczorem. A na razie łyknijmy to, co mamy — podsunął mu kufel.
- Niezłe. Co to jest?
- Nazywa się „Perła Chmielowa”. Produkują je chyba w Lublinie. Najlepsze piwo w Polsce.
- Dobrze. Co chcecie targować?
- Jesteś kapłanem, no nie?
- Aha.
- Podzielimy strefy wpływów. Ty zostajesz arcykapłanem i masz władzę nad całą Polską.
- Aha. A wy?
- Herberto pojedzie do Hiszpanii...
- Do Portugalii — sprostował emisariusz.
- Słusznie. Do Portugalii. Ja pojedę na Ukrainę. Założymy wszędzie świątynie nowego kultu.
- Zgoda, ale muszę to jeszcze konsultować z moim panem. W tym celu muszę... Cholera, co muszę?... Ach tak. Muszę znaleźć jego posąg i odprawić specjalne rytuały.
- W tym momencie LSD wzięło go na całość. Oczy stanęły mu w ślup. Padł na ziemię.
- Ile mu dołałeś? — Zaniepokojony się zakonnik.

— Dwie łyżki.

— Idioto! Wykituje zaraz!

Podwórko zaczęło zapełniać się tłumem Iwanowów. Niektórzy mieli rogi na głowie, inni ogony. Część ziała ogniem. Kilku przechodziło intensywny proces rozkładu.

— I co teraz, ha? — zagadnął Herberto.

— Hy! Bierzem łopaty i ciukajem ich. Lepiej, żeby się nie rozleźli po okolicy.

Poszli do szopy i ruszyli do boju z dwiema łopatami. Rąbali widma, a one padły na ziemię i buchała z nich krew. Nie broniły się nawet. Zakonnik i egzorcysta pościągali trupy na wielki stos pośrodku podwórza. Wrócili do domu. Iwanów nadal był nieprzytomny. Z jego ust wydobywał się nikły błękitny płomień. Jakub wzruszył ramionami i postawił czarownikowi czajnik na twarzy.

— Nu, niech się zagotuje — powiedział.

— Co robimy?

— Można by go teraz łatwo zaciukać, ale lepiej byłoby wysondować, co ma w tym swoim mózgu? Spróbujesz?

— Aha.

Herberto skupił się z całej siły. Umysł starca był jeszcze gorszym śmietnikiem niż jaźń Wędrowczyca. Miotaly się w nim niedźwiedzie. Białe i brunatne. Małe i duże. Ponadto kotłowały się tam rozmaite umiejętności.

— Chyba wiem, jak odebrać mu zdolność do rozdawania się — powiedział. Ale to chwilę potrwa.

— Spróbuj, a ja pójde na zewnątrz, bo chyba znowu mam gości.

Birski stał właśnie zdumiony obok radiowozu i wgapił się w niemym przerażeniu w stos ciał.

— Cco to jest? — zapytał.

— Gdzie? — Jakub udał, że nic nie widzi.

— Nie zgrywajcie obywatelu idioty. Przecież tu jest cały stos nieboszczyków.

— Pierwsze słyszę. Jacy znowu nieboszczycy?

— No, ci tu — wskazał górę ciał.

— Nadal będę twierdził, że niczego tu nie ma. Po prostu błoto.

W tym momencie stos trupów zniknął jak kamfora. Birski, milcząc, wpatrywał się dłużej chwilę w puste podwórko, a potem podreptał do radiowozu i wyjął ze skrytki balonik do badania podejrzanych o jazdę po pijanemu.

Chuchnął węń i zaniepokojony przypatrzył się, czy nie zmienia koloru.

— Zapewne jest pan przepracowany — zauważył dobrotliwie Jakub. To się nazywa urojenia maniakalne. Ale można to wyleczyć. Ja też takie kiedyś miałem. Wydawało mi się, że istnieją wampiry. Nawet poszedłem siedzieć. Ale w więzieniu wyleczyli mnie.

Posterunkowy ciężko otarł pot z czoła.

— A co pana do mnie sprowadza?

— Och, zobaczyłem z drogi stos ciał. Boże, ale mi się mózg polasował.

— To z pewnością od ugania się za kryminalistami — wyjaśnił Jakub. Po dniach, po nocach, a odpocząć nie ma pan kiedy. Trochę w tym i mojej winy, bo wyglądam tak obrzydliwie podejrzanie.

— Nieważne. Przepraszam za najście.

— Nic nie szkodzi. Zawsze jestem rad gościom. Birski pojechał, a Jakub wrócił do chałupy.

— I jak? — zapytał.

— Doszedł do siebie na skutek moich penetracji i zwiął. Nie mówiłeś, że potrafi się teleportować. Nieważne. I tak musimy go gonić.

— Birski właśnie pojechał na Tróściankę. Będzie łapał bimbrowników. Zejdzie mu do wieczora. Pojedziemy przez pola?

— Zgoda.

— Dokąd?

— Wspominałeś, że ma jakąś kryjówkę w oranżerii?

— Aha, ale mógł sobie znaleźć nową. Musimy go dopaść, póki jest oszołomiony. Strach pomyśleć, co będzie jak wytrzeźwieje.

— Tak, czy siak, nie będzie specjalnie zadowolony.

Pojechali. Szosą. Zaraz za młynem natrafili na drodze na dziwną zasłonę z mgły.

— A to co? — zaniepokoił się Jakub, zatrzymując motor.

— Zobaczymy — mruknął jego towarzysz, wchodząc w mgłę. Wygląda zwyczajnie, ale ma pewien magiczny potencjał. Myślę, że nie powinno się nic stać, jeśli przejedziemy przez nią szybko.

— Dobra.

Wsiedli na motor i przejechali. To, co stało się później, było dla nich całkowitym zaskoczeniem. Gdy wyjechali z mgły okazało się, że jadą nie po asfaltowej, ale po zwykłej polnej drodze, w dodatku na dwóch koniach. Otaczały ich chylące się ku ziemi chałupinki.

— A niech mnie! — krzyknął Jakub. Zeskoczyli z koni, które zaraz zniknęły.

— Gdzie my jesteśmy? — zdziwił się Herberto.

— Poznają ten dom — Jakub wskazał na niewielką chałupę lśniąca nowością. Gdy byłem mały, był to jeden z najstarszych domów w okolicy. Cofnęliśmy się w czasie.

— Poczekaj. To niemożliwe.

— To się rozejrzyj.

— To tylko złudzenie. Nie zapominaj, z kim mamy do czynienia.

— Hmm...

Jakub zamknął oczy i nachyliwszy się, dotknął powierzchni drogi.

— I co?

— Przez chwilę czułem asfalt, a potem zamienił się w to, co widać.

— Co robimy?

— Myślę, że powinniśmy jednak pójść do oranżerii. Trafę, ostatecznie układ ulic nie mógł się bardzo zmienić.

— Ciekawe, skąd bierze te obrazy.

— Zapewne z umysłu Semena Korczaszki. To najstarszy człowiek w tej okolicy.

W ułamku sekundy wszystko wróciło do normy. Stali pośrodku szosy i pędził nad nich pekaes. Herberto wykazał się niesamowitym refleksem. Złapał Jakuba i jakimś chwytem ze szkoły judo wyrzucił jego i siebie na bok. Pekaes przemknął tuż koło nich i zniknął. Razem z dwudziestym wiekiem. Znowu byli w przeszłości.

— Wesoło się zaczyna — powiedział Jakub.

— Wesoło. To była tylko próbka.

— Słuchaj, jeśli ten pekaes stanął, to zaraz kierowca przyleci obić nam gęby.

— Możliwe. Zaczekamy na niewidzialne ciosy?

— Ojciec, jako chrześcijanin, chyba powinien. Ja mam raczej ochotę kogoś zabić.

— Do usług — powiedział Iwanów, pojawiając się po drugiej stronie drogi. Jakub wyciągnął rewolwer. Rewolwer był drewniany. Choć Jakub nigdy nie bawił się drewnianymi zabawkami o takim kształcie. Wycelował w kamień obok drogi i wystrzelił. Drewniana broń szarpnęła mu się w rękę i kamień wyszczerbił się uderzony pociskiem.

— No cóż, Iwanów. Myślę, że broń nie musi być metalowa, aby była skuteczna — wziął go na muszkę.

— Nie wygłupiaj się — powiedział czarownik. Nie wystrzelisz do mnie.

— Zakład? — złożył się do strzału.

— Pomyśl o tym, że między nami może być na przykład małe dziecko albo niewinna szkapa, bo konie lubisz chyba bardziej od ludzi. To, co widzisz, ja tworzę. Strzelaj, jeśli masz odwagę.

Egzorcysta opuścił broń.

— Będę czekał w oranżerii — powiedział Iwanów. Jeśli dotrzecie tam żywi, to możemy pogadać.

Zniknął.

— I, co ty na to? — zagadnął egzorcysta egzorcystę.

— Hmm — zastanowił się Herberto. Mam chyba pewien pomysł. Jeśli to tylko obraz, a nie rzeczywistość, to przy odpowiednio silnej koncentracji mogę chyba kontrolować, co się wokół nas w rzeczywistości dzieje. Nie wiem tylko, czy jesteśmy widzialni dla reszty mieszkańców. Jeśli nas widzą, to będą hamowali. Jeśli nie, to może być niewesoło.

Usiadł na ziemi i zaczął się koncentrować. Trwało to kilka minut. Wreszcie zniechęcony wstał.

— Nic z tego.

— Dlaczego?

— Kapłan mi przeszkadza. Jest w stanie częściowo kontrolować moje myśli.

— U, to już zupełnie źle. Masz jakiś pomysł?

— Nie mam żadnego. Może będziemy mieli szczęście. Chyba nie ma w Wojsławicach zbyt wielu samochodów.

— Trochę jest, ale jeśli nie ma innego wyjścia, to chyba trzeba ruszać w drogę.

— Tak. Trzeba ruszać w drogę. Czy wiesz, na ile różni się obecna zabudowa od tej poprzedniej?

— Nie bardzo. Te chałupy, to gdzieś pierwsza połowa ubiegłego wieku. Wszystko się pozmieniało. Ale główne budynki jak: cerkiew, synagoga czy ratusz powinny stać.

— No to do dzieła. I trzymajmy się chyba bliżej ścian. Większe szansę, że tam nie będzie szosy.

Ruszyli. Jakub patrzył na rodzinną wieś rozszerzonymi oczyma. To było niesamowite. Drewniane chałupy budowane na zrąb i kryte po części słomą, a po części drewnianym gontem. W miejscu domu Paczenków królowało spore bagienko. Dotarli do rzeczki. Przerzucony był przez nią paskudnie przekrzywiony drewniany most. Herberto chciał na niego wejść, ale Jakub powstrzymał go za ramię.

— Zaczekaj.

— Coś nie tak?

— Nie podoba mi się ten mostek.

— Wygląda paskudnie, ale myślę, że utrzyma jeszcze nasz ciężar.

— Nie o to chodzi. On jest w innym miejscu. Niech no pomyślę. Jeśli na niego wejdziemy, to zwalimy się do wody.

— Słusznie. Iwanów jest mistrzem iluzji, ale jego iluzje, choć niektóre wydają się być twarde, to jednak nas nie utrzymają.

— Ale z kolei, jak przejdziemy po moście, którego nie widać. I co będzie, jeśli tam zapoluje na nas jakiś traktor?

— Myślę, że to nasze ryzyko.

— Tylko czy warto? Czy nie możemy przejść normalnie w bród? Ta rzeczka wygląda na raczej płytką.

— Tak wygląda. Ale ma paskudnie grząskie dno. Odnaleźli most kilkanaście metrów w górę rzeki. Nie było go widać, za to był wyczuwalny. Ruszyli po nim ostrożnie. Wszystko było w porządku. Właśnie mieli odetchnąć z ulgą, gdy w jednym ułamku sekundy wszystko wróciło do normy. Znowu byli w dwudziestym wieku i to, co gorsza na widelcu, znowu tuż przed maską rozpedzonego pekaesu. Tym razem to Jakub zareago-

wał pierwszy. Złapał Herberto za klapy i wyskoczyli z mostu przez barierkę. Zanim dolecieli do wody, byli znowu w przeszłości. — Grząskie dno — zauważył zakonnik, gramoląc się z cudownie mięsistego czarnego blocka.

— Aha — zgodził się Jakub.

— Dziękuję. Zostałaby z nas miazga. Dlaczego na tym moście nie ma chodników dla pieszych?

— Za wąski. Gdyby jeszcze dodać chodnik, byłyby kłopoty z mijaniem się.

Czarna kurtka Jakuba stała się jeszcze bardziej czarna. Zresztą, jego buty, spodnie i twarz też były czarne. Starał się zebrać ręką część blocka, ale tylko pogorszył efekt. Zakonnik usiłował się domyc wodą. Na jego twarzy pozostały paskudne smugi.

— To co, wracamy na drogę? — zapytał.

— Nie. Sądzę, że możemy pójść korytem rzeczki. Albo brzegiem. Dojdziemy trochę naokoło, a za to nic złego nas nie spotka.

— Dobra myśl.

Więc poszli. Błoto miesiło się pod ich nogami. Chwilami wpadali po kolana. Wreszcie wyszli na łąki u stóp Zamczyska. Łąki wyglądały na totalnie zabagnione, ale jak się okazało, można było po nich przejść. Niebawem stanęli przed oranżerią. Wyglądała wręcz futurystycznie. Śliczna i nowiutka.

— Sądźysz, że on tam na nas czeka?

— Tak myślę.

— Jak wejdziemy?

— Znam tu każdą dziurę w murze — wiejski egzorcysta odzyskał nieco pewności siebie.

— Ale tu nie ma dziur.

— Zakład?

Ruszyli naprzód. Zaraz jednak zatrzymała ich niewidzialna kolczasta przeszkoda.

— Drut kolczasty — wyjaśnił Jakub. Skoro kłuje, to znaczy, że można by wymacać furtkę.

Udało im się. Po chwili stali pod murem oranżerii.

— Tędy — wniknął w litą, wydawałoby się, ścianę. Wysłannik Watykanu bez namysłu wszedł za nim.

Wszystko wróciło do normy. Iwanów stał po drugiej stronie dziury w podłodze.

— Coś podobnego — zdziwił się. Jakim cudem tu dotarliście?

— Powiedzmy, że poznaliśmy tajemnice lewitacji — wycedził Herberto.

— Coś podobnego — powtórzył. A dlaczego jesteście cali usmarowani błotem?

— Kawalek przepelzaliśmy pod ziemią — wycedził Jakub. Dziwnie szybko wyleczyłeś się z LSD.

— Wydałem przez skórę. Swoją drogą to nie sądziłem, że możecie otruć gościa.

- Gościa nie. Ale w czasie wojny wolno stosować fortele.
- Ty to nazywasz fortem? Mało ducha nie wyzionąłem.
- Niewielka strata dla ludzkości. Żądam po raz ostatni. Odczaruj dziewczyny.
- Nie.

Jakub wyciągnął rewolwer.

- Więc zginiesz.
- Nie wiesz, czy ktoś nie stoi między nami.
- Na dziurze idioto?

Strzelił. Czarownik złapał się za przestrzelone ramię. Jedna z jego rąk rozwiła się w powietrzu. Upadł na kolana, ale zaraz poderwał się. Zmodyfikował swój wygląd. Znowu miał obie ręce. Brudny sweter zamienił w garnitur z krawatem.

- Bardzo śmieszne — powiedział.

Jakub wystrzelił z znowu. Tym razem trafił go w okolice stawu biodrowego. Ranny zatoczył się i oparł o mur.

— Sam także umiem strzelać z rewolweru — powiedział. W jego dłoni błysnęła poniklowana lufa jakiegoś archaicznego samopału.

Herberto wydobył z kieszeni sztylet i rzucił. Trafił czarownika w gardło. Ten osunął się na kolana.

- Ty sukinsynu — wycharczał z uznaniem, a potem znieruchomiał.
- Zabity? — zaciekał się Jakub.
- Chyba tak.

Podszedł do ciała. Zwłoki przemieniły się. Leżał przed nimi trup wychudłego starca o ciele pokrytym bliznami. Trup nie miał lewego przedramienia. Ręka kończyła się paskudną szarpaną raną od cięcia łopaty.

- Co dalej?
- Może by zakopać?

Egzorcysta amator zepchnął ciało do piwnicy. Wziął sztylet zakonnika i odciął leżącemu głowę.

- Nie chciałbym, aby przyszedł którejś nocy wypić mi krew — wyjaśnił.

Następnie spędzili dwie godziny na ciężkiej pracy. Spychali na dół kamienie i cegły aż piwniczka została wypełniona po brzegi.

- To już koniec — powiedział Jakub. Wracasz ojciec do siebie?
- Chyba na razie pojedę do Chełma. Chcę poszukać jeszcze tego posągu.
- Nie wiadomo, gdzie jest?
- Góra Dziewic. Obląziłem całą Górkę. Cmentarz, kościoły, przejrzałem dokumentację. Nie ma śladu.
- Góra Dziewic? To nic dziwnego, że nic nie znalazłeś.
- Dlaczego?

— Pewnie chodziło o miejsce zwane Dziewiczą Górką. To niedaleko od miasta. I chyba nawet stoi tam kamień z jakimś napisem.

— Sprawdzę to, ale najpierw musimy zobaczyć, czy dziewczyny zostały odczarowane.

— Aha.

— Czekają nas długi spacer.

— Pójdziemy do Tomasza. Niech nas podwiezie swoim traktorem.

Godzinę później znaleźli się na Starym Majdanie. Monika wyszła im naprzeciw.

— I jak? — Zapytał egzorcysta.

— Wszystko wróciło do normy. Ja to już ja.

— W porządku. Tedy zabieramy się dalej do twojej pracy magisterskiej. Nauczę cię dzisiaj wywoływać suszę.

Zakonnik skrzywił się a potem zniechęca przyłożył Jakubowi dłoń do czoła. Gospodarz znieruchomiał jak sparaliżowany, a zaraz potem osunął się bezwładnie na ławkę.

— Przykro mi, ale takie są zasady — powiedział Herber — Zostaw te sprawy specjalistom.

— W tych stronach to ja jestem specjalistą — wycedził Jakub. A jeśli ci się wydaje, że nakładaniem rąk jesteś w stanie zatrzeć ścieżki mojej pamięci, to jesteś, z całym szacunkiem, skończonym frajerem.

Niespodziewanie poderwał się z ławeczki, zawył i wydarł z płotu sztachetę. Zakonnik rzucił się do ucieczki. Starzec gonił go dobre dziesięć minut. Wrócił zadyszany.

— Cholera — powiedział. I pomóż tu takiemu.

— Chyba jednak nie napiszę tej pracy.

Jakub uśmiechnął się. Objął ją ramieniem.

— Marice załatwię ogiera na jutro rano — powiedział. A twój chłopak siedzi w piwnicy.

— Wykastrujemy go? — zaproponowała. Śmieli się długo.

Epilog

Wysłannik Watykanu, egzorcysta Herberto Saleta został znaleziony dwa dni później na szczycie Dziewiczej Górki, na przedmieściach Chełma. Wedle zeznań naocznego świadka to coś, co wypruło mu wnętrzności przypominało skrzyżowanie goryla z człowiekiem, względnie goryla z niedźwiedziem. Wobec faktu, że owa charakterystyka dobrze pasowała do pewnego funkcjonariusza polskiego kontrwywiadu, rząd Portugalii pozwolił sobie na ostry protest dyplomatyczny.

BESTIA

Światła ciężarówki oświetlały szosę.

— Napiłbym się piwa — westchnął z rozmarzeniem kierowca. — Szesnasta godzina na trasie...

— Napijemy się — powiedział sennym głosem konwojent. Zaraz zadzwonię przez komórkę do dyrektora. Niech przyszykuje kilka puszek w lodówce.

Kierowca nie słuchał go. Zasnął za kierownicą. Konwojent zauważył to o sekundę za późno.

— Jasna cholera! — wrzasnął, łapiąc rozpaczliwie za kierownicę. Pasy splątały się na nim. Samochodem zarzuciło. Przez chwilę balansował na krawędzi szosy, po czym wyłamawszy kilka słupków, zwałił się ze skarpy. Pojazd utknął w gęstych krzakach.

Konwojent odciął nożem pasy i uwolniwszy nieprzytomnego kierowcę z szoferki, odciągnął go kawałek. Kierowca otworzył oczy.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał.

— W Polsce. Chyba już nie wybuchnie, co?

— Już nie powinno. Jak ładunek?

— Sprawdzimy.

Podbiegli do skrzyni. Jedna z klatek pękła podczas upadku.

— Ciemno, psia krew — zaklął kierowca.

— Zaraz, mam latarkę.

Zaświecili w głąb rozbitej klatki. Była pusta.

— Kurwa! Zwiął!

— Daleko nie ucieknie. Ty w lewo, ja w prawo. Weź jakiś klucz, ja mam spluwę.

— Łapałeś kiedyś coś takiego uzbrojony we Francuza?

Rozbiegli się, ale kierowca zaraz zawrócił, nie miał latarki. Przedarli się przez gęste krzaki. Przed nimi toczyła swoje mętne wody Wisła. Charakterystyczne trójpalczaste ślady na brzegu nie pozostawiały żadnej wątpliwości.

— No to kicha — powiedział konwojent.

Chmielaki w Krasnymstawie były właściwie imprezą młodzieżową. Rozbawiony tłum tańczył na ulicach, popijając piwo wszelkich gatunków z plastikowych kufli. W amfiteatrze przygrywały zespoły.

Jakub Wędrowycz oczywiście nie opuścił tak wesołej imprezy. Przez pierwsze dwa dni święta wędrował od budki do budki i próbował różnych gatunków piwa. Usiłował ustalić, które mu najbardziej smakuje. Obecni byli przedstawiciele wszystkich polskich browarów, w dystrybutorach drzemały wszystkie gatunki i odmiany jego ukochanego napoju, toteż zanim doszedł do końca, nie pamiętał już jak smakowały te pierwsze i musiał powtarzać całą rundkę.

Trzeciego dnia i przy piątej rundzie osiągnął dziwny błogostan. Świat chwiał się wokoło, błyszcząc nieziemskimi kolorami, małe białe pieski i złośliwe krasnoludki biegały po nim, ale przestało mu to przeszkadzać. Miał trochę problemów z utrzymaniem równowagi, ale tłum był na tyle gęsty, że właściwie nie miał szansy się przewrócić.

Niespodziewanie ocknął się pod mostkiem, nad Wieprzem. Potrząsnął głową. Świat przestał mu wirować przed oczami. Rzeka też się uspokoiła i nie usiłowała go otoczyć. Z plecaka, w którym mile chlupotały dwie nienapoczęte pięciolitrowe baryłki, wy dobył dętkę od traktora i małą, jak zabawka, pompkę produkcji kapitalistycznej.

Dwie godziny później pomacał dętkę. Była już dobra. Koło niego pojawił się śliczny różowy kucyk.

— Wiesz jak to jest — powiedział do niego Jakub. Spłukałem się trochę, a chcę jeszcze pojechać do wnuczka w odwiedzin. Mieszka w Warszawie, a Wieprz wpada do Wisły.

Kuc pokiwał głową.

— Cieszę się, że się ze mną zgadzasz — powiedział egzorcysta. — Wszystkie rzeki wpadają zasadniczo do Wisły, a Wisła do morza. Tego Północnego. A jak po drodze jest Warszawa, to ja spłynę na dętkę do samego miasta.

— Genialne — powiedział koń, a potem jego róz wykwitł błękitem i zamienił się w rosłego gliniarza. Przez chwilę patrzyli na siebie zdumieni.

— To ty nie jesteś goryl? — zdziwił się gliniarz.

Był co najmniej tak samo ululany jak Jakub.

— Do zobaczenia — powiedział egzorcysta i spuściwszy dętkę na wodę, usiadł na niej.

Prąd rzeki powolutku niósł go do morza. Woda była lodowata, ale nie przeszkadzało mu to specjalnie. Jego umysł odbierał zaledwie ułamek tego, co działo się wokoło.

Wisła nie zrobiła na Jakubie wrażenia. Ot, rzeka jak każda inna, tylko trochę szersza. Piwo w obydwu beczułkach nie zakrywało już dna i teraz rozpoczął się niemiły, aczkolwiek nieodwracalny proces trzeźwienia.

Jakub rozejrzał się po rzece. Wstawał świt i woda była lodowata. Zaczął to czuć. W dodatku miał ochotę coś zeżreć.

— Ciekawe, czy są tu ryby? — zastanowił się.

W tym momencie coś dziwnego dziabnęło go w nogę. Wydobył ją z wody i obejrzał. Jakaś uzębiona paszcza obgryzła mu obcas i kawałek pięty razem ze skarpetką. Skarpetek Jakub nie zmieniał od kilku tygodni, ale i tak zrobiło mu się szkoda.

— Musi szczupak — zaciekał się.

Lubił mięso ze szczupaka. Wsadził rękę do wody. Coś kłapnęło mu koło palców. Wyjął z kieszeni paralizator elektryczny kupiony na lewo od Ruskich i wsadziwszy rękę w wodę, wcisnął guzik. Poczłł potworne kopnięcie prądem, a potem stracił przytomność. To było niesprawiedliwe, bo gdy chodził do szkoły, jeszcze nie uczyli, że woda jest dobrym przewodnikiem elektryczności.

Los czuwał nad nim. Dwadzieścia kilometrów w dół rzeki, pod mostem był posterunek policji rzecznej. Dzielni gliniarze wystartowali motorówką, gdy tylko niezidentyfikowany obiekt pływający pojawił się w ich polu widzenia. Dogonili dętkę.

— I cóż tam macie? — zapytał sierżant przez radiotelefon.

— Czyciel Bachusa na dętce traktorowej — zameldował funkcjonariusz. Zabieramy do żłobka. Wezwijcie patrol z wozem.

— Przyjęte.

— Zaraz, tu coś jeszcze. O karwia! Szefie, tu jest krokodyl.

— Co za krokodyl?

— Brązowy. Taki ze dwa metry. Płynie do góry brzuchem. Zdechły chyba. Wziąć na hol?

— A! To ten, który zgubili tacy dwaj w zeszłym tygodniu. Mówicie zdechły?

— Zupełnie zdechły.

— Weźcie na hol. Zawiadomimy ZOO. Może sobie zabiorą, a jak nie, to zdejmujemy skórę i będzie ozdoba posterunku.

— Tak jest.

Po chwili, pod mostem przybiła do brzegu motorówka z nieprzytomnym Jakubem. Motorówka holowała za sobą dętkę od traktora i zdechłego krokodyla.

* * *

Sala, w której robiono sekcje w warszawskim zoo, mieściła się w budynku kwarantanny. Światło żarówek odbijało się w śnieżnobiałych kafelkach. Na stole sekcyjnym leżał zdechły krokodyl. Dwaj weterynarze, jeden z Warszawy, a drugi z Krakowa, siedzieli pod ścianą i palili pety, czekając na wyniki badań treści żołądka.

— Bardzo silna trucizna organiczna — powiedział zaciągając się krakowianin. Neurotoksyna. Mózg prawie mu rozpuściło. Czego on się nażarł?

— Może kurara? — podsunął warszawiak.

— I jeszcze Indianin z łukiem? Musiał coś zjeść. Tylko co? Niespodziewanie drzwi otworzyły się i wszedł profesor.

— I jak? — zagadnął gość z Krakowa. — Co zjadł?

— To go zabiło — profesor pokazał im słoik wypełniony roztworem.

W słoiku pływał odgryziony kawałek zielonej skarpetki Jakuba Wędrowycza.

MIECHO

Jakub Wędrowycz poprawił węzeł krawata. Strzepnął niewidzialne pyłki z klap marynarki. Kawalkiem skórki od boczku przejechał po włosach, żeby lśniły i gładko przylegały. Szyba panoramicznego okna uchwyciła na chwilę obraz wesołego, schludnie ubranego staruszka. Za oknem ciągnęło się aż po horyzont gigantyczne betonowe blokowisko.

— Tatko? — zagadnął jego syn Marek.

— Haw?

— Lecę do roboty. Będę tak o czwartej. Odbierz Maciusia ze świetlicy. O pierwszej wróci Gośka, to zrobi obiad.

— Hy. Obiad to ja sam mogę zrobić.

— Dobrze. Kup jakiegoś mięsa. Pieniądze są...

— Wiem gdzie. A ty nie mów głośno, bo te ściany mają uszy. Jeszcze jakiś sąsiad usłyszy i będzie nieszczęście.

— No, co ty, kto by tu podsłuchiwał?

— Nie musi podsłuchiwać. Nie wiesz, że wielka płyta jest najlepszym przewodnikiem dźwięku?

Trzasnęły drzwi wejściowe. Jakub włączył telewizor i pokręcił takim dziwnym pudefkiem, co było od anteny satelitarnej. Na ekranie pojawiła się tępą gęba, z kwadratowym podbródkiem, ozdobiona u góry szopą jasnych włosów. Gęba mówiła coś po niemiecku.

— A idźże w cholerę! — wrzasnął Jakub i pokręcił gałką.

Szkopa zastąpiła jakąś kicia z dekoltem, która czytała coś z kartki. Wsłuchał się w śpiewny bełkot, który z siebie wyrzucała i pokręcił ze zrozumieniem głową.

— Cholera — powiedział z uznaniem. Musi o żarciu gada. Bo wszystkie Francuzy to mają we łbach tylko żarcie, — pokręcił gałką, — i migdalenie, — patrzył przez chwilę z niejakim zdumieniem na parkę szykującą się właśnie do miłego bara-bara.

Pokręcił jeszcze.

— A o żarciu nie mają pojęcia. Żaby wcinają i ślimaki. Zupełnie jakby nie mogli wychodować sobie prosiaczka albo cieliczki.

— Goworit Moskwa! — powiedział kolejny lektor.

— Hy! To jest konkret! — ucieszył się staruszek i na parę minut zaprzestał kręcenia.

Popatrzył na zegar i podjął decyzję. Czas uciekał, trzeba było zaopatrzyć się w prowiant na obiad. Ściągnął z siebie garnitur. Przyoblekł ciało wygrzebaną z plecaka złachaną kurtkę. Namacał w kieszeni procę, kilka „nindzowskich” gwiazdek wyciętych z blachy od siewnika oraz zwiniętą linkę hamulcową zaopatrzoną w pętlę, po czym wyruszył na polowanie.

* * *

Gniazdo gołębi zlokalizował bez trudu, w szczelinie między płytami tworzącymi ścianę sąsiedniego bloku. Gniazdo było na wysokości, mniej więcej, siódmego piętra dziesięciopiętrowego budynku. W sklepie, parę ulic dalej, zakupił dwadzieścia metrów sznura do wieszania bielizny i ruszył do szturmu. Przedostanie się na dach wymagało sforsowania dość wymyślnego zamka produkcji kapitalistycznej, ale w młodości Jakub obrabiał banki i nie było zamka, którego nie byłby w stanie pokonać. Na dachu nieźle wiało. Zamotał sznur fachowym, kłusowniczym węzłem, wokół podstawy anteny satelitarnej i śmiało spuścił się w trzydziestometrową otchłań. Wiatr trochę nim majtał.

— To chyba nie był najlepszy dzień na wspinaczkę — stwierdził kłusownik, mijając ósme piętro.

Wyciągnął z kieszeni flaszkę z piwem i odkapslowawszy ją o mijany parapet, pociągnął z lubością kilka łyków. Środek dopingujący sprawił, że teraz mógł spuszczać się szybciej. Wreszcie wyhamował łagodnie koło szczeliny. Z wnętrza dobiegało gruchanie gołębi. Twarz Jakuba wykrzywił dość wredny uśmiech. Puścił się jedną ręką liny. Wiatr znowu zamajtał nim trochę, ale to go nie zraziło. Zapuścił wolną rękę w szczelinę i... W tym momencie opatrność, czuwająca nad gołębiami, uważała za stosowne zainterweniować. Antena, o którą zaczepił linkę, wyskoczyła ze swojego gniazda i koziółkując, zaczęła lecieć w dół.

— Wot te na — zdumiał się egzorcysta, po czym odczepił się w ostatniej chwili od sznura, zanim antena zabrała go ze sobą ku ziemi. Zwiślał na jednej ręce, trzymając się szczeliny. Wiedział, że za kilka minut tam na dole zgromadzi się cały tłum. Ze szczeliny wylazł gołąb i zaczął delikatnie stukać go dziobem po palcach.

— Wynocha — powiedział Jakub.

Gołąb nie przestał. Z palca egzorcysty wyciekło trochę krwi.

— Słuchaj, jak przestaniesz mnie dziobać, to daruję ci życie — obiecał kłusownik.

Ptak nie skorzystał z wielkodusznej oferty. Kłusownik, wisząc na jednej ręce, wyhuśtnął się w bok i złapał ręką za parapet. W następnej chwili parapet urwał się, ale pod blachą był solidny mur. Podciągnął się i wywalił głową okno. (Widział kiedyś taką sztuczkę na filmie „Terminator 2” i umiał powtórzyć). Wczołgał się do cudzego mieszkania i dopiero wtedy popatrzył, co dzieje się na dole. Zgodnie z jego przewidywaniami do zwalonej anteny pomału schodzili się ludzie żądni sensacji.

— Raz jeszcze udało się przeżyć — powiedział w zadumie, sam do siebie.

Koło okna stało akwarium, w którym mieszkały trzy świnki morskie. Stary kłusownik zanurzył rękę i wyłowił jedno zwierzątko. Podniósł je na wysokość oczu i obracał przez chwilę.

— A cóż to jest takiego? — zdumiał się. Coś jak chomik polny, ale innego kształtu. Jakiś taki szczur, ale bez ogona... To się je?

Nie był pewien. Wpuścił zwierzaka z powrotem do klatki. W mieszkaniu nie było nikogo. Sforsowanie zamków od środka nie było specjalnie trudne. Nieco więcej miał kłopotów z zamknięciem drzwi od zewnątrz, ale i to mu się udało. Popatrzył na zegarek i zagryzł wargi. Czasu było coraz mniej. A jeszcze musiał się zemścić. Ze śmietnika wygrzebał kawał rurki wodociągowej. W sklepiku kupił kawał wołowiny, a w sąsiednim chemicznym kilka przydatnych substancji. Objuczony wrócił do mieszkania syna.

* * *

Z szafki wyjął dwa garnki, do pierwszego wrzucił mięso i postawił go na małym ogniu, drugi napełnił wodą i wstawił do zamrażarki. Po godzinie mięso ugotowało się. Woda w drugim garnku zamarzała. Zaniósł bryłę do łazienki i zakorkowawszy zlew, narzucał do środka kawałków lodu. Następnie umieścił w zlewie blaszaną miskę.

— Dobra — mruknął przez zęby. Ja wam teraz pokażę, pierzaste paskudztwa.

Do miski wlał litr kwasu azotowego. Ostrożnie dolał litr siarkowego, po czym zaczął mieszać zawartość metalowym prętem. Opary, unoszące się w łazience, były nieprzyjemne, zakaszłał sucho. Począł, aż mieszanina dobrze się schłodzi, po czym przyniósł z kuchni dziesięć buteleczek kupionej w aptece gliceryny kosmetycznej. Gliceryna pachniała kwiatkami, ale to go specjalnie nie zraziło. Lał powoli, ostrożnie, nadal mieszając.

Chwilami substancja zaczynała syczeć, przyspieszał wówczas mieszanie. Syczenie z reguły po chwili się uspokajało. Wreszcie miska wypełniona była żółtą, oleistą, charakterystycznie cuchnącą cieczą. Jakub uśmiechnął się.

— No to mamy nitroglicerynę — powiedział w przestrzeń.

Z kuchni przyniósł pięć buteleczek po bobofrucie i napełnił je ostrożnie. Cztery zmagazynował chwilowo na balkonie, a piątą wpuścił do kieszeni i ruszył w świat.

* * *

Bez większego trudu wyszukał odpowiedni blok znajdujący się około stu metrów od tego zamieszkałego przez złośliwe gołębie, a za to o połowę niższy. Wlażł na dach i rozejrzał się. Szczelina z gniazdem była niemal dokładnie naprzeciwko niego. Uśmiechnął

się sadystycznie. Z kieszeni wyciągnął długą cienką gumę, wyciachaną z dętki rowerowej. Przywiązał ją do dwu anten. Wziął butelkę w dłoń. Jego szczerą słowiańska twarz miała w tym momencie wyraz wprost straszny.

Ostrożnie trzymając za butelkę, naciągnął potężnie zaimprovizowaną procę, po czym puścił gumę, padając płasko na dach. Butelka trafiła precyzyjnie w szczelinę. Po chwili rozległ się upiorny wybuch. Jakub podniósł się z dachu, otrzepał i popatrzył na swoje dzieło.

— O job twoju — powiedział sam do siebie.

Zlazł, czym prędzej z dachu i kłusem oddalił się z miejsca przestępstwa.

* * *

— Znakomita ta pieczeń — pochwaliła Jakuba synowa.

— To bardzo stary przepis. Myślałem, szczerze mówiąc, że będzie coś z drobiu, ale...
W tym momencie wszedł Marek.

— Czemu tak późno? — zagadnęła żona, podrzucając w dłoni wałek.

— Wybacz kochanie, ale w sąsiednim bloku wypadła cała ściana frontowa.

— Jak to cała? — zdumiała się.

— Cała. Od dziesiątego piętra aż do parteru. Ludzie słyszeli wybuch...

Jakub zawsze interesował się katastrofami, ale tym razem nie pytał o żadne szczegóły. Siedział na krześle, a jego, pobladła nagle, twarz wyrażała niewinną obojętność. Małżonkowie zamilkli i obrzucili go podejrzliwym spojrzeniem. Jakub uśmiechnął się z przymusem.

— Coś podobnego? — wyraził swoje zdumienie.

KOCIOŁ

Sobotni wieczór w knajpie zapowiadał się cholernie miło. Na zewnątrz dał wiatr, chwilami zaciął deszcz. W środku było cudownie przytulnie. W starym żeliwnym piecyku typu koza buzował ogień, z magnetofonu sączyła się delikatnie pieszcząca uszy muzyczka disco-polo. Piwo chłodziło się w potężnej ruskiej lodówce. Z zaplecza buchał sącący zapach szaszłyków z nutrii smażonych na starym oleju.

Semen siedział wygodnie rozparty za stołem. Mundur rosyjskiej kawalerii z pierwszej wojny światowej poprzecierał się nieco na łokciach, a z przodu zdobyły go plamy piwa, ale i tak wysoka postać starca robiła wrażenie. Grupka słuchaczy sączyła z kufli, słuchając piętnasty raz z rzędu opowieści z wojny w Mandżurii. Opowieść za każdym razem wzbogacana była o nowe ciekawe elementy i w miarę, jak wznagał się kompleks kombatancki starca, jego oddział zdobywał coraz większe łupy i coraz bardziej zbliżał się do Pekinu.

Drzwi odtworzyły się i do środka wszedł przemoczony niemal na wylot Józef. Odetchnął głęboko ciepłym powietrzem, nasączonym mile wonnym dymem sportów i ekstra mocnych. Przepchał się do kontuaru, wziął sobie piwo z kostkami lodu. Nigdy wcześniej takiego nie próbował, a agent powiedział, że to najnowsza zagraniczna moda i w najlepszych lokalach tak podają. Miło było sączyć złocisty napój ze świadomością, że w zwykłej wiejskiej knajpie człowiek obsługiwany jest niczym jak w jakimś Sheratonie.

Józef, opróżniając powoli porcję, dosiadł się do stolika starego kozaka. Ten zakończył opowieść tradycyjnie. Straszliwą jatką, w której polegli wszyscy jego towarzysze broni, a tylko on z częstką łupów zdołał ująć cało.

— Nie widziałeś Jakuba? — zagadnął przybysz.

Semen odstawił na stół dziesiąty pusty kufel.

— Dzisiaj go nie było — wyjaśnił.

— Nie wiesz, gdzie jest?

Kozak wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia — powiedział. Może go diabli wzięli...

Diabli wzięli Jakuba z zaskoczenia. Rąbał właśnie drewno na paliwo do kotła z bimbrem, gdy nieoczekiwanie huknęło, powiało siarką i na jego podwórzu pojawili się dwaj kosmaci kolesie. Egzorcysta obrzucił ich uważnym spojrzeniem, po czym wrócił do pracy. Wyższy bies chrząknął delikatnie.

— Czego? — zagadnął uprzejmie gospodarz.

— Jak by to powiedzieć — zaczął diabeł. Nazywam się Asmodeusz...

— Po naszymu Smoluch — poinformował go Jakub życzliwie, po czym rozwalił solidny pniak jednym mocnym uderzeniem topora. Tydzień temu odkrył, że sproszkowana viagra, zmieszana z olejem maszynowym i wtarta w skórę, utwardza mięśnie. Wprawdzie sporo Ukraińcy chcieli za te niebieskie tabletki, ale opłaciło się. W życiu nie miał takiej pary w łapie.

— Smoluch? — skonfundowany diabeł popatrzył na kumpla.

Ten odpowiedział mu równie zaskoczonym spojrzeniem. Jakub rozwalił jednym ciskiem gruby dębowy konar.

— Przyszyła nas Boruta — wyjaśnił niższy z diabłów.

— I czego chce ten palant? — zapytał Jakub.

Zebrał naręcze polan i wszedł do szopy, gdzie na palenisku czekał już potężny blaszany kocioł z zacierem.

— A więc Boruta... — zaczął niższy diabeł.

Egzorcysta złapał go zręcznym ruchem za kark, zgiął w pół i potężnie szarpnął za ogon. Bies zionął ogniem prosto w palenisko. Drewka zajęły się płomieniem.

— Dziękuję za współpracę — staruszek otrząpął ręce z sadzy.

Diabeł złapał się za nasadę ogona i jęknął.

— A więc mamy problem — powiedział wyższy z diabłów, na wszelki wypadek odsuwając się o krok.

— Znacie moje warunki finansowe — rzekł spokojnie gospodarz. Płatność złotem albo walutą połowa z góry, połowa po robocie.

— Trochę się nie zrozumieliśmy — bąknął niższy, ciągle masując ogon.

— Jak nie przyszliście mnie wynająć, to po cholere dupę zawracacie? — zdenerwował się Jakub.

— Widzisz Jakub, dostaliśmy pewne — nazwijmy to — polecenie służbowe.

— Że co? — zdumiał się egzorcysta. Gadaj jaśniej do cholery.

— A o czym tu gadać — wzruszył ramionami Asmodeusz.

Jego pomocnik wyciągnął z kieszeni kij do bejsbola i przyładował Jakubowi w łeb. Smoluch strzepnął wielkim czarnym workiem i zręcznie wtłoczywszy egzorcystę do środka, zarzucił podwładnemu na plecy.

— Eins, zwei, draj — mruknął i oba diabły wraz z pakunkiem zapadły się w ziemię. W szopie unosił się jeszcze przez chwilę zapach siarki, a potem i on się rozwiął.

* * *

Posadzka z czarnego bazaltu lekko drgnęła, gdy oba diabły zmaterializowały się na jej powierzchni.

— Nareszcie w domu — czart ze wzruszeniem wciągnął przesycone siarką i dymem powietrze.

Nieoczekiwanie wydał dźwięk jak nagle odkorkowany zlew. Na jego wargach pojawiła się krew i runął na twarz. Worek pękł z trzaskiem i wygramolił się z niego egzorcysta. Jednym ruchem wyciągnął bagnet od kałasznikowa z pleców leżącego i wytarł go o rękaw swojej esesmańskiej kurtki.

— Ja cię nauczę pałą w łeb walić — kopnął leżącego.

Asmodeusz cofnął się o krok i wyciągnawszy z palca antenkę, zadzwonił po pogotowie. Właśnie kończył rozmawiać, gdy coś ostrego ukłuło go w mostek.

— A ty co, też chcesz w pierdziel obskoczyć? — warknął Wędrowycz. Gdzie ja do cholery jestem?

— W piekle — poinformował go szatan.

— Widzę — parsknął egzorcysta. Tylko po jaką cholere? W tej chwili nadbiegło dwóch sanitariuszy z noszami.

Jeden pochylił się nad zarzniętym.

— Rana cięta, zadana posrebrzonym, poświęconym ostrzem — raportował przez telefon komórkowy. Przygotować blok reanimacyjny.

— Wyjdzie z tego? — zaniepokoił się Asmodeusz.

— Tak, serce mu sklonujemy nowe, ale będzie potrzebował wielu miesięcy rehabilitacji.

— Cholera. Idziemy — zwrócił się do Jakuba. Ale więźnia już tam nie było.

* * *

Egzorcysta ostrożnie wyjrzał z pomieszczenia na szczytki. Syrena alarmowa ciągle wyła. Chyba zauważono jego ucieczkę. Obciągnął na sobie esesmańską kurtkę. Jak zauważył wielu funkcjonariuszy tu takie nosiło, a w półmroku brak rogów, na szczęście, nie był specjalnie widoczny.

— Kurde, gdzie tu może być winda na górę? — zastanowił się. Trza by kogoś przydusić, to może wyśpiewa.

Po kamiennej posadzce zadudniły buciory. Spory oddział najwyraźniej biegł na jego poszukiwania.

— Głupie kutasy — mruknął sam do siebie. Ano rozglądnijmy się.

Korytarz kończył się masywnymi wrotami. Wybiegały spod nich tory kolejki.

— Centralny Ośrodek Resocjalizacji Grzeszników I.N.F.E.R.N.O. Dystrykt Polska. Wydział Przypadków Beznadziejnych — odcyfrował z tabliczki. Kierownik J. Boruta.

Pchnął wierzeje.

— Hasło, okazać przepustkę — warknął, stróżujący po ich drugiej stronie, diabeł.

W ułamek sekundy później leżał na ziemi z jakubowym bagnetem w sercu, sprawiony jak wieprzek.

— Takie coś mogą zregenerować — mruknął egzorcysta. No jasne, diabły są nieśmiertelne, ale ciekawe jak u nich z częściami zamiennymi.

Wyciął narządy wewnętrzne i wrzucił do kosza na śmieci stojącego pod ścianą. Następnie zawłókł ciało do pakamery. Upitolił głowę i położył ją na torach w nadziei, że niebawem nadjedzie pociąg.

— Dobra — mruknął.

Przyczepił sobie obciachany wrogowi ogon i trzymając w dłoni znaną w kieszeni tamtego przepustkę, wrócił do drzwi. Wszedł śmiało do środka.

— Hy, sporo tych beznadziejnych resocjalizantów — mruknął.

W ogromnej hali, wykutej w czarnych bazaltowych skałach, płonęło wiele ogni. Dym i para trochę przesłaniały widok. Tory biegły środkiem sali. W połowie jej długości, jakiś kilometr od miejsca, w którym stał, potępińcy rozładowywali pociąg z węglem. Kotły ciągnęły się w kilkunastu rzędach. Były płaskie, miały co najwyżej półtora metra wysokości, ale bardzo szerokie. Jakubowi przypomniał się od razu składany basen, który widział w jednym supermarkecie. Pod kotłami płonął ogień. W kotłach gotowali się grzesznicy. Inni widocznie już częściowo zresocjalizowani podkładali do ognia, dziarsko machając łopatami. W pierwszej chwili sądził, że grzeszników nikt nie pilnuje, ale zaraz spostrzegł swoją pomyłkę. Przy paleniskach kręcili się zarówno obozowi kapo, jak i diabły z widłami w rękach.

— Aha — mruknął. Dobra. Do windy i chodu. Właśnie którąś muszą ich ładować.

Ruszył możliwie najbardziej zacienioną alejką biegnącą pomiędzy kotłami. Nieoczekiwanie złowił uchem czyjś znajomy głos. Obrócił głowę.

— Kubuś, wnusiu — ryczał łysy staruszek zanurzony w ukropie.

— Dziadek? — zdumiał się Jakub — wiedział, że jego dziadek był straszną szują i wysoce prawdopodobnie było, że trafi do piekła, ale żeby zaraz na oddział przypadków beznadziejnych?

Podszedł bliżej.

— Gdzie? — odepchnął go wachman. Rozmowa z więźniami wzbroniona. A tak w ogóle, to kto ty jesteś?

— Sekundkę — powiedział Jakub do dziadka — muszę tu wyjaśnić jedno zabawne nieporozumienie.

Prawy sierpowy, wzmocniony viagrą, zadany lekko z dołu, zbił kapo z nóg. Padając, uderzył się głową o krawędź gara.

— Co do cholery? — zaczął i zaraz umilkł, bo Wędrowycz zdekapitował go szpadem.

Zwłoki wepchnął do paleniska, w ślad za nimi kopnął głowę i dla pewności dorzucił jeszcze dwie szufle węgla.

— No i czego się dziadek wydzierasz? — egzorcysta zwrócił się do swojego przodka.

— Kubuś, wyciągnij mnie stąd — poprosił stary lizusowskim głosem.

— Tak, teraz to Kubuś, a kto zwinął złoto? — odwarknął.

— Jakie złoto? — nieszczerze zdziwił się stary.

— Jak to jakie? — wściekł się Wędrowycz. Ty złamasie, całe oszczędności tatki i stryjka zwinąłeś i zwiąłeś.

— Daruj wnusiu, chciałem na konto w Szwajcarii wpłacić. Zresztą, co ty byś z nimi zrobił? A mi by się przydały.

— Wszystko przechlałeś, co?

— Co za idiotyczne podejrzania. Zresztą, było, minęło, tu i tak forsa nie będzie ci potrzebna — stary uśmiechnął się złośliwie. Za co wsadzili?

— A cholera ich wie — mruknął Jakub. Słuchaj, muszę już lecieć.

— Chyba mnie tak nie zostawisz? — na twarzy dziadka odmalowało się szczere zdumienie.

— Należy ci się, stary pierdzielu.

Jakub odwrócił się na pięcie i uszył naprzód.

— Stój! Powiem, gdzie je schowałem — darł się dziadek.

— Za późno — odkrzyknął Jakub. Sam zarobiłem. Niespodziewanie wpadł na kogoś.

— I jak spotkanko rodzinne? — zapytał Asmodeusz.

— Miło było — mruknął Jakub.

Ciął bagnetem od spodu, usiłując trafić w tętnicę udową, ale diabeł zręcznie uskokczył i wytrącił mu nóż.

— Niegrzeczny chłopiec — powiedział z naganą.

— W tej części piekła trzymacie tylko Polaków? — zainteresował się egzorcysta.

— Tylko.

— To dziadka powinniście przenieść do sektora ukraińskiego — mruknął.

— Jak wypełniał ankietę personalną, twierdził że narodowość polska — mruknął strażnik. Test językowy i kontrolę stężenia alkoholu we krwi przeszedł bez trudu.

Zorientował się, że mówi do powietrza. Więzień znowu zniknął.

— Kurwa! — zaklął.

W tym momencie szpadel przedzwonił mu w czachę. Asmodeusz padł jak długi w węgiel.

— Brawo, bis — zawyli potępiency z najbliższego kotła. Kasuj imperialistę.

— A wy co za jedni? — zdziwił się egzorcysta.

— Polscy komuniści — odezwał się facet z resztkami przypalonej brody — Feliks Dzierżyński, do usług.

— Krwawy Feliks — zidentyfikował — rewolucjonista, komunista, twórca ruskich służb specjalnych...

— ...hobby tortury i marnowanie ludziom życia — dokończył Dzierżyński ochoczo. Choć oczywiście to pozałowania godna sytuacja, że jestem torturowany, zamiast torturować.

— Zamknij jadaczkę, myślę.

Od płomienia pod kotłem odpalił skręta z machorki. Przez chwilę cmokał gryzący dym.

— Dobra Feliks — powiedział i wstał. — Przydacie mi się. Wytępicie mi szybciotko jednego kapitalistę.

— Ku chwale klasy robotniczej!

Złapał Smolucha za klapy i wrzucił do kotła.

— Zajmijcie się nim, jak to wy komuniści potraficie.

— Możesz nam zaufać. Zaopiekujemy się pacholkiem.

Sadząc z odgłosów, diabeł został wdeptany w dno kotła. Jakub ruszył dalej. Gdzieś w oddali wyła syrena, ale dzięki kamuflażowi nikt nie zwracał na niego uwagi. Łazł i łazł, i ciągle nie mógł znaleźć wyjścia.

— Do dupy z taką robotą — mruknął, a potem usiadł przy jednym z kotłów.

Odczepił od spodni ogon strażnika i ściągnąwszy skórę z włosami, upiekł go sobie na węglach. Pociągnął łyk bimberku, zakąsił, choć mięso zajeżdżało smołą, chlapanął na drugą nogę.

I w tym momencie go dopadli. Czterech komandosów rozciągnęło go na bazaltowej podłodze. Szarpnął się, ale ważyli po co najmniej sto kilogramów i bynajmniej nie było to sadło.

— Mefistofeles, Urząd Ochrony Piekła — poinformował go szpakowaty typek w garniturze. Przykro nam, musimy zrewidować.

Założył gumowe rękawice i przeszukał kieszenie powalonego. Różaniec od razu rzucał do ognia. W ślad za nim poleciały także pieniądze, zużyte chusteczki do nosa, zapomniana prezerwatywa sprzed trzydziestu lat i klucze od motoru.

— Kurr... — warknął Jakub, ale ci czterej tylko mocniej dodusili go do ziemi.

Mefistofeles wyciągnął mu z kieszeni granat. Do cytrynki przyklejony był ruski metalowy znaczek z głową Lenina. Sklejenie tych dwóch przedmiotów było całkowicie przypadkowe, po prostu kiedyś Jakubowi pękła w kieszeni tubka z butaprenem. Diabeł oglądał dłuższą chwilę granat.

— A to co? — zapytał wreszcie zaskoczony.

— Pamiątka z mauzoleum Lenina — warknął Wędrowycz. — A przepraszam. Przedmioty kultu satanistycznego może pan zatrzymać — wsadził granat na miejsce. Kajdanki.

— Czyli jednak Lenin był antychrystem — pomyślał Wędrowycz.

Ruszyli spieszonym krokiem. Czterej komandosi wycelowali w niego karabiny, zupełnie jakby się bali, że im ucieknie. Niebawem dotarli aż pod ścianę. Mijali co jakiś czas drzwi oznaczone numerami.

— Co to za pomieszczenia? — zagadnął więzień. Gdzieś tu musiała być przecież winda na górę.

— Takie tam gabinety odnowy moralnej — wyjaśnił Mefistofeles.

— A tu? — wskazał drzwi zaopatrzone tabliczką „pokój 101”.

— Jak się będziesz stawiał, to tu trafisz — wyjaśnił diabeł — tu czeka cię to, co dla ciebie najgorsze.

— Ciekawe — egzorcysta położył skute dłonie na klamce i uchylił drzwi.

Ze środka zionęła błękitna poświata. Dopiero po sekundzie zorientował się, że bije od regałów, zastawionych od podłogi do sufitu, opakowaniami esperalu.

— Robi wrażenie — puścił klamkę i blask zgasł.

Ruszyli naprzód, kierując się w kąt hali.

— Jeniec doprowadzony — zameldował Mefisto.

— Rozkuć — powiedział ponury, przepity głos.

Stali przed solidnym dębowym stołem. Zza niego podniósł się zwałisty szlachcic w nieco osmolonym kontuszu. Na głowie miał przepisowe rogi, a na palcu sygnet z herbem.

— Obyło się bez problemów? — zapytał.

— Kusego właśnie operują, poświęcony bagnet w sercu. Asmodeusza znaleziono w kotle u komunistów, nic mu nie będzie. W klinice właśnie przeszczepiają mu nową skórę i oczy. Dzierżyński, ścierwo, go tak załatwił. Nie wiemy, jakim cudem bez narzędzi.

— Komuniści potrafią gołymi rękami — wyjaśnił kierownik. Dzierżyński niby szlachcic, ale wsadźcie go na miesiąc do wrzącego oleju. Coś jeszcze?

— Nie możemy się doliczyć strażnika na bramie, znaleźliśmy tylko jego ogon i narządy wewnętrzne w koszu na śmieci. Zniknął też jeden kapo. Ale jeszcze poszukamy.

— Dobrze, odmaszerować — diabeł skinął głową. Boruta jestem — uściśnął dłoń Jakuba.

— Jakub Wędrowycz, egzorcysta — przedstawił się więzień.

— Wiem, siadaj — wskazał mu wyściełane pałacowe krzesło.

Pstryknął palcami. Na stole wyrósł gąsior węgrzyna i dwa kielichy. Jak spod ziemi pojawił się młody diabełek, napełnił naczynia i zniknął.

— Wypijmy za spotkanie — Boruta stuknął kielichem o brzeg naczynia Jakuba.

Wypili.

— Dlaczego tu trafiłem? — zaciekał się Jakub.

— No cóż — gospodarz wydobył spod spodu opasłą teczkę ubeckiego typu. Nazbierało ci się grzeszków — wyciągnął kilka kart z wołowej skóry. Masz oczywiście prawo zapoznać się z uzasadnieniem wyroku i materiałem dowodowym. Ale możesz mi wierzyć, my nie mylimy się nigdy.

— Na co umarłem? — zaciekał się egzorcysta.

— Na nic. Widzisz, w szczególnych przypadkach porywamy bezpośrednio do piekła.

— Tak na żywca? — upewnił się.

— Właśnie. To swojego rodzaju zaszczyt, od trzystu lat się nie zdarzyło.

Wypili na drugą nogę.

— Gdzie tu są windy? — zaciekał się Jakub.

— Stąd nikomu się nie udało zwiać. Chodź, coś ci pokażę — powiedział Boruta.

Dźwignął się ciężko zza stołu. Poszli. Pod ścianą stał solidny stalowy kocioł. Kilku grzeszników właśnie rozpalało pod nim ogień.

— Sześć tysięcy litrów oligoceńskiej — wyjaśnił Boruta. Specjalnie dla ciebie.

— Nie jestem zainteresowany kąpielą — powiedział Jakub.

— Ależ nawet nie będziemy pytali cię o zdanie. Rozbieraj się i wskakuj.

— Wała — warknął z przekonaniem, po czym pokazał Borucie międzynarodowy obraźliwy gest.

Jak spod ziemi, za plecami gospodarza pojawiło z dziesięć diabłów w dresach adidas. Byli łysi, w rękach trzymali pały.

— I co teraz frajerze? — zapytał Boruta. Myślisz, że będziemy się patyczkować? Lepiej wskakuj po dobroci.

Egzorcysta wyjął z kieszeni manierkę z bimbrem, a z niej wyłowił fiolkę z wodą święconą.

— Wiesz, co to jest? — zapytał spokojnie — H₂O św.

— A wiesz, ilu przed tobą przeszmurowało tu wodę święconą? — prychnął Boruta. Co można zrobić z taką ilością, jednego diabła powierzchownie oparzyć? Policzyłeś nas?

Oczy Jakuba spokojnie przetoczyły się po jaskini. Diabły wyłaziły z wszystkich zakamarków, roily się pomiędzy kotłami. Niektóre wyposażone w skrzydła polatywały pod sufitem. Wszystkie pchały się w tę stronę, widać zainteresowane zajściem. Za nimi przywędrowało jeszcze kilku kapo.

— Będzie was około tysiąca — powiedział spokojnie.

— Ponad tysiąc trzystu — roześmiał się Boruta. Na ciebie jednego. Wiesz, ile wody święconej byś potrzebował? Ze sześć tysięcy litrów.

Oczy egzorcysty zabłysły.

— Sześć tysięcy litrów? — powtórzył. To da się zrobić.

Przechylił fioletową i jej zawartość skapnęła do kotła. Powierzchnia załśniła. Woda święcona się nie rozcieńcza.

— Ty ciulu — syknął diabeł. Jak my to teraz zneutralizujemy! A tobie to nic nie pomoże. Bo co, ręką będziesz nabierał i chlapał?

Opar pary znad kotła liznął ścianę. Na kamiennym murze pojawiły się natychmiast głębokie wżery.

— Będę chlapał — syknął Jakub. I to jak.

Boruta spojrzał na Wędrowycza. Nie spodobało mu się spojrzenie błękitnych świńskich oczek egzorcysty. Było harde, wyzywające. Jakby zupełnie nie czuł lęku. A przecież.

— Odsuń się od kotła — powiedział ostro, celując w Jakuba widłami. To jest absolutnie ostatnie ostrzeżenie.

Naraz dostrzegł, że tamten trzyma w ręce odbezpieczony granat. Zrozumienie uderzyło go jak młot.

— Padnij! — wrzasnął.

Cytrynka wpadła do kotła. Trzy sekundy później opadła na dno. Zadziałał opóźniacz i zapalnik...

BUUUUM!

W gabinecie Lucyfera zawył alarm. Zapaliło się jednocześnie kilkadziesiąt kontrolek.

— Co do diabł... — zaczął, ale zaraz się zreflektował. Siadł przed terminalem komputerowym i wywołał programy kontrolne.

— W polskim sektorze nastąpiło skażenie wodą święconą. Przewidywana ilość substancji toksycznej — pięć — sześć tysięcy litrów — poinformował go system.

— O cholera — zerwał się na równe nogi. Służby bezpieczeństwa chemicznego w stan gotowości! — ryknął w słuchawkę interkomu. Ogłaszam czerwony alarm dla całego podkontynentu. Wszystkie jednostki medyczne skierują się natychmiast w rejon sektora polskiego. Szpitale przygotować się na przyjęcie rannych.

Rzucił się korytarzem. Przy bramie natknął się na ekipy ratowników. Z wnętrza właśnie wynoszono straszliwie okaleczone czarty. Szereg noszy ciągnął się w nieskończoność. Rozpoznał poparzenia trzeciego stopnia. Tkanek diablińskiego ciała tak mocno ranić mogły relikwie lub woda święcona.

— Starszy ratownik Czortek — zameldował niski diabeł, ubrany w kombinezon przeciwchemiczny.

— Raport — polecił Lucyfer.

— Nie wiemy, co się stało. Wygląda to na ingerencję Góry... — diablík spojrział nerwowo na sufit.

— Niemożliwe, jeszcze jest trochę czasu do końca świata — mruknął Lucyfer, ale na wszelki wypadek sprawdził w kalendarzyku. Tak, to jeszcze ładnych parę lat — powtórzył uspokojony.

— Nie wiemy, co spowodowało takie zniszczenia. Prawdopodobnie woda święcona, w środku ciągle unoszą się jej opary.

— Skąd tu woda święcona!?

— Nie wiemy. Ale było jej naprawdę dużo.

— Ranni?

— Wynieśliśmy dotąd ponad trzystu, ale spenetrowaliśmy dopiero część jaskini czwartego poziomu. Wielu jest uwięzionych pod gruzami. Co więcej, potępięcy rozleźli się po całym terenie, zrabowali magazyn z żywnością, zdobyli broń. W sklepieniu jest dziura, wojska wewnętrzne usiłują bronić...

— Długość szczeliny?!

— Około dwa kilometry.

— Cementować natychmiast, zanim powierzchniacy zobaczą. Kombinezon dla mnie, poprowadzę zwiad!

Po chwili Lucyfer na czele kilkunastoosobowego zespołu ratowników wkroczył do wnętrza hali. Wszędzie walały się poprzewracane kotły. Resztki węgla żarzyły się pod nogami. Część sufitu runęła. Oświetlenie nie działało. Szkła reflektorów szybko matowiały, spod sufitu ciągle obrywały się ciężkie krople święconej wody.

— Co tu się stało? — zapytał po raz kolejny władca. Nikt mu nie umiał odpowiedzieć.

— Może bomba atomowa? — zasugerował któryś.

— Bzdura, nie narobiłaby aż takich zniszczeń!

Narzędzia tortur i wymyślne maszyny, zniszczone eksplozją, torowały przejście. Zewsząd dobiegały jęki rannych i przywalonych. Zza zaimprovizowanej barykady komuniści obrzucili zwiadowców kamieniami. Dalszą drogę torowała kupa poskręcane metalu. Runęła kratownica dźwigu. Ratownicy uruchomili palniki acetylenowe. Wszystkie metalowe części nosiły oznaki szybko postępującej korozji. Woda święcona

przeżerała piekielne stopy w błyskawicznym tempie. Jeden z diabłów zaczął gwałtownie kichać, a oczy zaszyły mu łzami. Musiał wycofać się z rejonu katastrofy. Prawdopodobnie przez drobną nieszczelność kombinezonu przeniknęły do środka opary broni chemicznej, co spowodowało natychmiast silną reakcję uczuleniową.

Koło kotła rozerwanego w wyniku eksplozji, w samym rogu hali, leżał diabeł. Święcona woda spaliła mu skórę i mięśnie aż do kości. Po resztkach szabli i kontusza rozpoznali Borutę. W pierwszej chwili sądzili, że nie żyje, ale oczywiście diabli są nieśmiertelni. Żył, choć był w fatalnym stanie.

— Co tu się stało? — huknął Lucyfer. Gadaj, to twoja robota?

— Nic nie wiem — zełgał szlachcic.

— Co znaczy nie wiem? — wściekł się władca. To twój sektor.

— Nie wiem — szedł w zaparte.

Lucyfer podniósł z ziemi osmoloną manierkę. Odchylił szybę hełmu, ryzykując zatrucie i ostrożnie powąchał jej zawartość.

— Jakub Wędrowycz — zidentyfikował po zapachu producenta bimbru.

— A właśnie, że Jakub — Boruta zhardział. Należało się sukinsynowi do kotła. Tyle lat nas za nos wodził.

Kawał sufitu z jękiem runął za pobojuwisko. Remont milenium. Co najmniej rok minie, zanim piekło znowu podejmie normalną pracę. Wargi Lucyfera ułożyły się w uśmiech pobłażania. Złość przeszła mu, jak ręką odjął.

— Ty, Boruta, jak trzeba wypić, łeb masz mocny, ale za to mózg jak ser szwajcarski — powiedział. — Tobie się wydawało, że Jakub Wędrowycz tak po prostu da się wpakować do piekła?

— Tak. I prawie się udało...

— Ty kretynie. Nie tacy próbowali.

SPIS TREŚCI

HIENA	2
Dwa dni później	11
Trzy dni później	15
Koło południa dnia tego	17
Następnego dnia	19
CZAROWNIK IWANOW	21
Rozdział 1	22
Rozdział II	29
Rozdział III	38
Rozdział IV	44
Rozdział V	50
Rozdział VI	65
Rozdział VII	75
Rozdział VIII	90
Rozdział IX	103
Rozdział X	123
Epilog	136
BESTIA	137
MIĘCHO	142
KOCIOŁ	147